HENRYK MOJKOWSKI

KOLEDZY

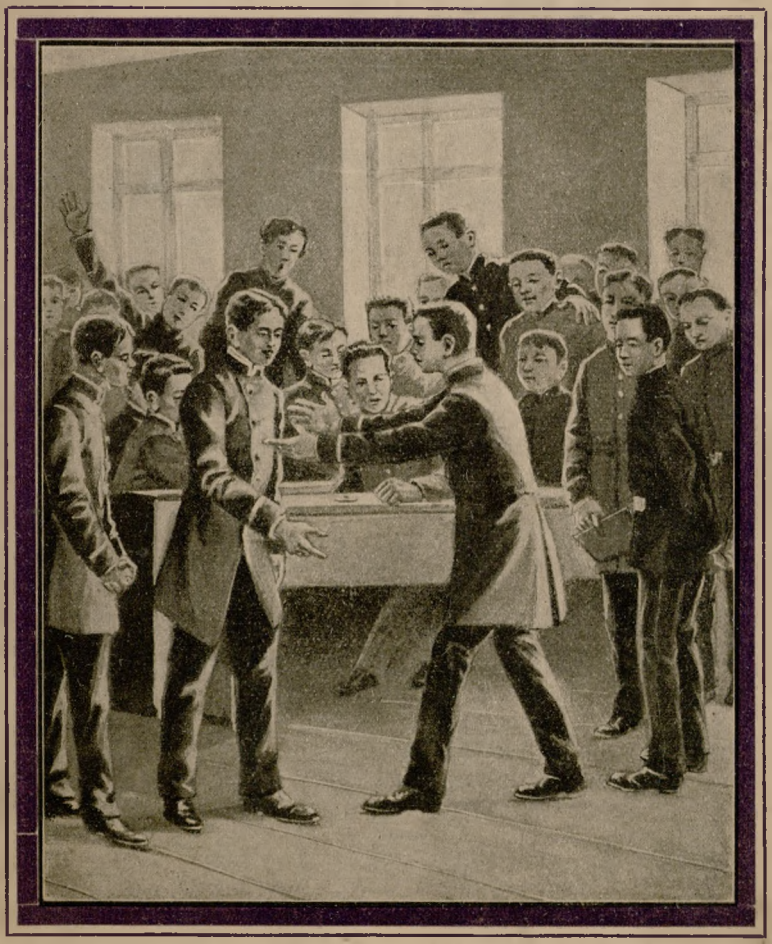

Kolegium Związku Narodowego Polskiego

Cambridge Springs, Pa.

POLISH NATIONAL ALLIANCE COLLEGE
INCORPORATED DEC. 16, 1914
CAMBRIDGE SPRINGS, PA.

dnia 17 go Czerwca 1915.

Stęczyński Mirosław E.

z klasy III a.

W nagrodę pilności i wzorowych obyczajów.

R. Giełbowski. J. Bargiel

Rektor. Gospodarz klasy.

KOLEDZY

HENRYK MOJKOWSKI

KOLEDZY

KARTKI Z ŻYCIA SZKOLNEGO

DR. EDWARD C. AND LODA ROZANSKI COLLECTION
FILES ON DEPOSIT
133613

3630

WARSZAWA 1914. KSIĘGARNIA
IGNACEGO RZEPECKIEGO. NOWY-ŚWIAT 9.

DRUK. W. PIEKARNIAKA. WARSZAWA, NOWY-ŚWIAT № 34.

I.

Egzamin.

W trzeciej klasie jednego z gimnazyów warszawskich, pośród licznej gromadki uczniów (było ich czterdziestu kilku), panował niezwykły nastrój. Jakiś niepokój i trwożne oczekiwanie malowało się prawie na twarzach wszystkich. Kilku chodziło nerwowo po klasie, inni przerzucali gorączkowo książki lub kajety, chcąc widocznie utrwalić sobie w pamięci jakieś reguły, inni zaś rozmawiali ze sobą, ale jakoś poważniej i ciszej, niż zwykle...

Dochodziła już dziesiąta godzina...

Czemuż przypisać ten niepokój, który zmroził zwykłą wesołość młodzieży?

Nie słychać wcale śmiechów, a najwięksi figlarze i zbytnicy, jakoś najsmutniejsze miny mają, jakoś najniespokojniej patrzą na zegar, wiszący nad katedrą...

Cóż to się stało takiego?

Na odgłos dzwonka wszyscy drgnęli mimowoli i zaczęli dążyć na swoje miejsca.

Nawet ten dzwonek, którym tak dzielnie macha stary stróż Onufry, dziś jakoś drga niespokojnie, jakby w obawie przed czemś groźnem, a nieuniknionem... Przestał już dzwonić, a jeszcze chwli kilka głos jego krąży po gmachu, coraz cichszy i cichszy, wciskając się w najskrytsze jego zakątki i wywołując dreszcz nawet w najbardziej zaufanych w sobie...

Był to pierwszy dzień egzaminów...

Do klasy wbiegł nagle zadyszany Staś Barwiński, prymus, chluba klasy, najzdolniejszy ze wszystkich uczniów i rzekł:

— Omal się nie spóźniłem!

Rzucił się na swoje miejsce i począł ocierać chustką zroszone potem czoło...

W tej chwili podszedł do niego Oleś Korczyński, którego koledzy poprostu „Korkiem" nazywali, i zaczął go prosić, by wyjaśnił mu pewną kwestyę arytmetyczną, tyczącą się procentów...

Staś zmierzył go pochmurnym wzrokiem i cierpko rzekł:

— Daj mi pokój, widzisz przecież, że jestem zmęczony!

A gdy Oleś zaczął nalegać i przekładać, że kwestya ta dla bardzo wielu jest niezrozumiałą, zniecierpliwiony odparł:

— Tem lepiej, że nie rozumiecie, więcej się was obetnie!

Słowa te wywarły powszechne wzburzenie; gwar tłumiony dotychczas, wybuchnął całą siłą, a nad żalącymi się głosami wszystkich górował donośny głos Romana Żelskiego, który krzyczał:

— A nie mówiłem, że nic wam nie powie ten egoista i samolub?! Mało to razy mieliście sposobność przekonać się o jego koleżeńskich uczuciach?! Głupcy jesteście wszyscy, że się do niego zwracacie i tyle... a najgłupszy Korek!

Staś mruknął pod nosem:

— Osły!

Podparł się na ręku i obojętnie słuchał rozmaitych przycinków, które jak grad zaczęły się nań sypać ze wszystkich stron...

Pomimo bardzo sympatycznej powierzchowności Stasia, koledzy go nie lubili, i oto, prymus, ulubieniec nauczycieli, chluba klasy, ten, który jeszcze ani razu czwórki nie dostał, który już kilka pierwszych nagród zdobył, siedzi zły, nachmurzony, i nikt do niego nie podchodzi z pociechą, przeciwnie: oczy wszystkich niemal z nienawiścią rzucają spojrzenia na tego wybrańca losu...

Nagle usłyszano głos młodego chłopca:

— Uciszcie się, jeżeli ten pan nie chce wam dać potrzebnego objaśnienia, to może ja będę mógł wam służyć!

Zdziwione twarze uczniów zwróciły się na Edwarda Bielickiego, który te słowa wymówił; ubrany był po cywilnemu i widocznie miał zamiar wraz z nimi przystępować do egzaminu.

Staś Barwiński także odwrócił głowę, a ujrzawszy nieznajomą sobie twarz, rzekł lekceważąco:

— Niechno kawaler nie obiecuje, kawaler sam się zetnie, a innych chce uczyć...

Edward odparł zimno:

— Zobaczymy!

I zwrócił się do gromadki uczniów, którzy cisnęli się wokoło, żądni dotrzymania obietnicy...

Wtem zadzwoniono po raz drugi, i trzech nauczycieli weszło do klasy.

Malcy pierzchnęli szybko w różne strony, jak sarny spłoszone; cisza zaległa salę, tylko oddech uczniów stał się krótszy i serca silniej bić zaczęły...

Dyżurny drżącym głosem rozpoczął zwykłą modlitwę, a wślad za nim pobladłe wargi kolegów szeptały jej słowa jakoś goręcej, niż zwykle...

Nauczyciel arytmetyki rozpoczął dyktowanie zadania. Uczniowie pochylili się nad arkuszami kratkowanego papieru i drżącą ręką zaczęli pisać.

Staś Barwiński tylko stanowił wyjątek ze wszystkich, wesołym wzrokiem patrzył dokoła i zupełnie panował nad sobą.

— Czyż to możebne, żebym „ja“ nie zrobił zadania, — myślał sobie w duchu, — ja, najlepszy matematyk z całej klasy? widząc zaś niepewny wzok kolegów, ironicznie się uśmiechał.

A w klasie ciągle było słychać głos nauczyciela arytmetyki, który dyktował i dyktował...

— O, Boże! — jęknął Oleś, siedzący tuż przy Edwardzie, — czyż to zadanie nigdy się nie skończy?!

Już chłopcy pierwszą stronę arkusza całą zapisali, już zaczęli pisać drugą, a nauczyciel wciąż dyktował i dyktował...

Na sali coraz częściej dawały się słyszeć ciche westchnienia, twarze malców bardziej poczerwieniały... niepokój wzrastał.

A w klasie jeszcze rozlega się donośny głos nauczyciela arytmetyki, który wciąż dyktuje i dyktuje...

Skończył... raz jeszcze szybko przeczytał całe zadanie, a liczby, które doń wchodziły, wypisał kredą na czarnej tablicy.

Po chwili odezwał się w następujące słowa:

— W klasie trzeciej kończy się kurs arytmetyki, wybrałem na egzamin umyślnie zadanie tak długie, aby pomieścić mogło w sobie wszystkie działania i reguły, które przechodziliście przez trzy lata. Bierzcie się, chłopcy, do roboty z uwagą, nie śpieszcie się, macie trzy godziny czasu, a że dyktowanie samo zajęło wam przeszło pół godziny, gdyż jest już po wpół do dziesiątej, o godzinie wpół do pierwszej odbiorę od was wszystkich robotę.

Poczem zwrócił się do Stasia ze słowami:

— No, mój zuchu, o ciebie się nie lękam, wiem, że oddasz najpierwszy!

— Oddam najpierwszy, panie profesorze! — odparł śmiało Staś.

— Nauczyciel arytmetyki dodał w końcu zwykłe ostrzeżenie, że jeżeli zauważy kogokolwiek, kto zdradzałby chęć zajrzenia do wypracowania sąsiada, to bez żadnej kwestyi postawi mu zaraz stopień niedostateczny, i uczeń straci prawo do egzaminów z przedmiotów następnych.

Cisza zaległa salę...

Pochyleni malcy pilnie wczytywali się w zadanie, niektórzy jeszcze żegnali się i modlili, prosząc o pomoc Najwyższego, poczem brali pióro i zaczynali...

Zadanie było w samej rzeczy bardzo trudne.

Nauczyciel arytmetyki był bardzo wymagający: tylko Staś, jeden na całą klasę, miał piątkę, trzech zale-

dwie z pozostałych mogło się czwórkami pochwalić. a liczba tych, którzy mieli stopnie niedostateczne na trzeci kwartał dochodziła do piętnastu.

W klasie wciąż panowała cisza, zakłócana jedynie przez miarowe kroki trzech nauczycieli, pilnujących, żeby uczniowie nie przepisywali jedni od drugich.

Minęła dziesiąta... potem wpół do jedenastej.

Nauczyciel oznajmił uczniom, że już jedna godzina przeszła. Pochyliły się bardziej głowy nad arkuszami, pióra szybciej zaczęły kreślić cyfry na papierze...

— O, Boże! — szepnął Oleś do siebie — jakże ten czas szybko leci!...

I znów było cicho...

Nawet Staś, najlepszy przecież matematyk, pochylił się bardziej nad robotą, po chwili obejrzał się na kolegów zaniepokojony, ale, widząc, że wszyscy zatopieni w zadaniu, i żaden nawet nie myśli o skończeniu, przyszedł do siebie i pracował dalej.

Aczkolwiek dzień nie był zbyt upalny, czoła uczniów pokryte były perlistym potem; niektórzy zaczęli się domagać wody.

Nauczyciel spełnił żądanie, i wnet Onufry przyniósł całą konewkę, postawił ją na krześle, obok niej kubek blaszany, poczem popatrzył na uczniów. Chwilę tak patrzył, poczem szarpnął sumiastego wąsa, mruknął pod nosem:

— Biedaczyska!

I wyszedł z sali.

Cóż bo on mógł im pomódz, a chociażby i mógł, to nauczyciel arytmetyki stanąłby temu z pewnością na przeszkodzie!...

Wśród licznie dążącej do konewki z wodą gromadki, znalazł się i Oleś, który upatrzywszy stosowną chwilę, zapytał jednego ze zdolniejszych kolegów:

— Cóż, zrobisz?!

— Nie wiem, — szepnął zapytany — wypada mi ułamek, a to niemożebne przecież...

Było już kwadrans na dwunastą, gdy Staś podniósł się z miejsca i oddał zadanie nauczycielowi arytmetyki. Ten, rzuciwszy okiem na odpowiedź, zapytał:

— Czy pewny jesteś, że zadanie dobrze zrobione?

— Najpewniejszy! — odparł Staś z uśmiechem, i z dumą spojrzawszy na kolegów, wyszedł zaraz z klasy...

Cień zazdrości prześlizgnął się po twarzach malców, niektórym łzy w oczach się zakręciły.

— Pomylił się kawaler w pierwszem mnożeniu, — szepnął Edward Olesiowi...

— Prawda! — jęknął po chwili Oleś, spostrzegłszy pomyłkę, — muszę zaczynać nanowo.

— Co tam za szepty między wami? — surowo zapytał nauczyciel arytmetyki.

I znów było cicho, tak cicho, że doskonale słychać było cykanie starego zegara, przerywane przez brzęczenie olbrzymiej muchy, starającej wydobyć się na zewnątrz.

Niepokój coraz widoczniej malował się na twarzach malców. Niektórzy całe wypracowania przekreślali od początku do końca i zaczynali z rozpaczą nanowo, inni załamywali ręce, inni wreszcie, widząc, że ludzkie siły nie wystarczają, z gorącą prośbą zwracali się do Boga!

Oleś cicho zapytał Edwarda:

— Cóż... wypada ci?

A Edward odrzekł zgorączkowany!...

— Gdzietam, musiałem się pomylić, wypada mi czternaście i trzy czwarte robotnika, to przecież niemożebne, muszę sprawdzić wszystko jeszcze raz od początku!...

— Jak ci wypadnie, to napisz mi kartkę! — szepnął błagalnie Oleś.

— Dobrze! — odparł Edward i zaczął sprawdzać.

Było już trzy kwadranse na dwunastą, gdy Edward podniósł się i rzekł głośno:

— Panie profesorze, w zadaniu jest błąd niezawodnie, wypada czternaście i trzy czwarte robotnika, a przecież to niemożebne!

— Zadanie jest dobre, a co ci wypadło, zatrzymaj dla siebie.

Poczem wraz z nauczycielem historyi wyszedł z klasy na śniadanie.

W klasie pozostał nauczyciel języków starożytnych, ogromnie lubiany przez wszystkich bez wyjątku uczniów; wiedział on o tem doskonale, a i sam odpłacał im równą miłością.

Dzisiaj był jakiś smutny i dziwnie czegoś podrażniony...

Wnet poczęły się wołania:

— Panie profesorze! i mnie ułamek wypada!

— I mnie, i mnie tak samo czternaście i trzy czwarte! — sypały się głosy ze wszystkich stron.

— Cicho, dzieci, cicho! siedźcie spokojnie! — rzekł drżącym głosem „Łacina“, jak go nazywali uczniowie; podszedł do drzwi, wyjrzał na korytarz, a widząc, że dwaj

jego koledzy nie powracają, zwrócił się do uczniów i rzekł:

— Pamiętajcie, żeby żaden nie oddawał zadania przed wpół do pierwszej; w zadaniu umyślnie zrobiona jest omyłka, odpowiedź czternaście i trzy czwarte jest dobra; tylko, moje dzieci, na miłość Boską, ani mru-mru! o tem, coście słyszeli; wyjawiłem wam tajemnicę, bo nie mogę patrzeć na wasze zmartwione miny!

— Dziękujemy! — chórem krzyknęło kilkadziesiąt głosów, — nie wydamy, niech pan profesor kochany będzie spokojny!...

— Cicho, cicho! — szeptał wzruszony „Łacina“ — a udawajcie zmartwionych, że zadanie wam nie wypada; pamiętajcie, żaden niech nie oddaje!

Weselej zajaśniały oczy; tylko czterech czy pięciu, nie pocieszyło się wcale: nie wypadało im czternaście i trzy czwarte niestety, tylko każdemu co innego. Wszyscy oni, a znajdował się między nimi i Oleś, zaczęli się kręcić niespokojnie i, chociaż „Łacina“ prosił i błagał, wnet zaczęły się szepty, pytania, zaglądanie do kolegów i t. p.

Na korytarzu dały się słyszeć szybkie kroki, i w chwili, gdy drzwi się otwierały, i wchodzili do klasy powracający ze śniadania nauczyciele, Edward wcisnął Olesiowi karteczkę z rozwiązaniem zadania.

Kurczowo zacisnął rękę Oleś... Wkrótce nauczyciel arytmetyki, spojrzawszy na zegarek, oznajmił uczniom, że za kwadrans poodbiera od wszystkich papiery.

Wnet z rozmaitych punktów sali odezwały się głosy:

— Jeszcze z godzinkę, jeszcze choć pół godziny...

Ale nauczyciel zmarszczył brwi i odpowiedział, że ani minuty dłużej im nie da, zaczął zbliżać się do każdego z uczniów i przyglądać się ich pracy, poczem zwrócił się do swoich kolegów i szepnął im:

— Doskonale! rezultat przechodzi wszelkie oczekiwania, prawie wszystkim dobrze wypadło, jestem bardzo zadowolony i masę piątek postawię.

A „Łacina“ chodził i chodził po klasie, równie zaglądał do wszystkich i uśmiechał się pod wąsem do siebie, tylko jakoś na nauczyciela arytmetyki nie patrzył wcale, owszem, unikał jego wzroku, bojąc się widocznie, aby ten czego niepotrzebnego w jego oczach nie wyczytał....

Już tylko dwie minuty brakowało do oznaczonego terminu, (a nikt zadania nie oddawał), gdy Oleś głośno się rozpłakał...

— Czego beczysz? — zapytał nauczyciel arytmetyki.

— A bo zacząłem drugi raz robić zadanie od samego początku, a gdy doszedłem do końca, spostrzegam, że znów źle, bo mi wypada czternaście i trzy czwarte robotnika, u-u-u! — beczał dalej malec...

Nauczyciel arytmetyki uśmiechnął się z zadowoleniem i rzekł:

— A cóż? czy to niemożebne?

— No, naturalnie! — becząc i krzywiąc się niemiłosiernie, rzecze Oleś, — czy to może być trzy czwarte robotnika, trzy czwarte człowieka, o ja nieszczęśliwy! — zawodził żałośnie w dalszym ciągu.

— Nie bój się, wszystko będzie dobrze, mój chłop-

ccze!—rzekł wzruszony rozpaczą Olesia nauczyciel arytmetyki.

Ale Oleś nie uspokoił się jeszcze, przeciwnie, rozpoczął z nuczycielem dalszą rozmowę:

— Tak, dobrze będzie, a ja za trzy czwarte człowieka będę siedział drugi rok w jednej klasie, u-u-u!

A „Łacina“ gładził się ręką po łysinie i, chodząc po klasie, szeptał do siebie:

— A szelma chłopak, jak udaje znakomicie!

Gdy rozległ się głos nauczyciela arytmetyki: „położyć pióra!“, dały się słyszeć w klasie głosy ogólnej prośby o zwłokę.

Oleś prosił jeszcze choć o pięć minut, żeby mógł przejrzeć zadanie jeszcze raz, możeby się błąd znalazł...

— Jeszcze pięć minut, jeszcze choć minutę, — błagali chłopcy.

Jednak choć płacz był bardzo głośny, ani jednej łzy prawdziwej nie uroniono, tylko niektórzy ślinili sobie oczy obficie i temi fabrykowanemi na poczekaniu łzami udawali, że chcą zmiękczyć twarde serce nauczyciela.

A „Łacina“ wciąż głaskał się po łysinie i szeptał zadowolony:

— A szelmy, a urwisy!

Nauczyciel arymetyki nachmurzony odbierał zadania i patrzył na ostateczną odpowiedź; gdy przyszedł do Olesia, aby odebrać mu zadanie, ten zaczął go niby po rękach całować, błagając choć o pół sekundy zwłoki, ale daremnie.

Odebrawszy od wszystkich zadania, nauczyciel arytmetyki przestał udawać niezadowolonego i zawołał wesoło:

— No, dzieci, zadowolony z was jestem, wszyscyście rozwiązali zadanie świetnie, wszyscy (tu zmarszczył brwi), prócz Barwińskiego, któremu wypadło trzynaście...

— Jak się nazywasz? — zapytał Edwarda.

Edward Bielicki! — brzmiała odpowiedź.

— Otrzymasz celujący, tyś pierwszy błąd w zadaniu spostrzegł! — co wyrzekłszy, wyszedł z klasy wraz z „Łaciną“ i jednym jeszcze kolegą.

Egzamin był skończony...

II.

Przyjaciele.

Pan Władysław Stadnicki był domowym nauczycielem Edwarda; on przeto przygotował go do egzaminu. Trudno wyobrazić sobie niepokój, który miotał nim w czasie odbywającego się egzaminu. A gdy ulubiony jego uczeń tak długo z klasy nie wychodził, niepokój ten wzrastał do najwyższego stopnia...

Staś Barwiński, jak wiemy, pierwszy oddał zadanie i z dumą wyszedł z klasy. Zwrócił się doń żywo pan Stadnicki i począł wypytywać o zadanie, czy bardzo jest trudne, czy możebne do rozwiązania i t. p.

Staś odpowiedział, że zadanie jest bardzo łatwe, że dano im aż trzy godziny czasu i nie rozumie, dlaczego wszyscy prawie koledzy tak kwaśne mają miny...

Pan Stadnicki cokolwiek się pocieszył, miał o Edwardzie jak najlepsze wyobrażenie, gdyż jako jego nauczyciel, znał go doskonale .

Edward, według niego, był bardzo zdolny i nad wiek rozwinięty. Języki starożytne posiadał doskonale, a i co

do matematyki pan Stadnicki nie przypominał sobie, by kiedykolwiek w swojej praktyce korepetytorskiej miał lepszego ucznia, gdyż Edward każdą trudność wnet rozwiązywał, każdą regułę szybko przyswajał sobie, każde tłómaczenie zrozumiał i w lot myśl chwytał.

Począł tedy uspakajać ojca Edwarda, który osobiście przywiózł ukochanego synka do Warszawy na egzamin...

Może cnciał być świadkiem jego pierwszego tryumfu? Kto to wie?...

Lecz gdy minęła już dwunasta, a żaden z uczniów z klasy nie wychodził, poczęto się niepokoić nie na żarty...

— Czyż podobna! — mówił zgryziony ojciec do pana Stadnickiego, — aby tylko jeden z uczniów mógł rozwiązać zadanie?

Pan Stadnicki uspakajał, jak mógł, i pocieszał, aczkolwiek niezbyt mu się to udawało, gdyż sam był bardzo niespokojny, czuł odpowiedzialność, jaka na niego spadnie, jeżeli Edward nie złoży egzaminu; wszak zaręczył mu, że Edward znakomicie jest przygotowany...

Niepokój ich podzielali również inni ojcowie, matki i korepetytorowie, którzy poprzyprowadzali swoje dzieci i uczniów na egzamin.

Smutnie na siebie spoglądać zaczęto; ten i ów, rozpoczął narzekania na zbyt wielkie wymagania w obecnych czasach; niejedna łza zakręciła się tam w oku matki niespokojnej o los jedynaka, i znów oczy tęsknie zwracały się ku zamkniętym drzwiom klasy; zdawało się, że wzrok ten chce przebić deski i mury, by pospieszyć z pomocą tym malcom, którzy pracują już od kilku godzin

w pocie czoła, walcząc o prawo uczęszczania do szkoły — po światło, niezbędne dla nich w dalszej drodze życia.

Ono bowiem miało dać im i byt materyalny w przyszłości i pociechę w smutkach; ono miało wyrwać ich z szarej pospolitości życia; miało dać możność posuwania się po szczeblach drabiny społecznej, coraz wyżej i wyżej; miało ich zaprowadzić hen... hen... gdzieś nad poziomy!

O czemże bo nie marzyli rodzice dla tych swoich pociech w przyszłości?!

Ach, ta przyszłość!!

Przedstawiała im się ona w barwach tak różowych! Każdy widzi swojego pieszczocha na pięknem stanowisku, cały kraj... ba! świat cały zwraca oczy na niego, a on głowę trzyma do góry, radość bije mu z twarzy, bo on wie, on czuje, że jest chlubą swego kraju i społeczeństwa, a czegóż to on jeszcze nie dokaże?!

Tymczasem najzwyczajniejsza i pozbawiona poezyi obrzydliwa arytmetyka, coś chmurą zasłaniać zaczyna te piękne marzenia; troska coraz wyraźniej ryje zmarszczki na twarzach oczekujących...

Co będzie, jeżeli nie złożą egzaminu? Iluż to na drugi rok zostanie, a z nowowstępujących, czy chociaż jeden będzie przyjęty?!

Wtem drzwi z trzaskiem otwierają się... egzamin skończony...

Hałas! krzyk!... Malcy, jak pszczoły z ula, wysypują się na korytarz. Żaden nie czuje się zmęczonym, choć czoła ich potem zroszone. Siedzieli wszak przeszło trzy godziny kamieniem i pracę mieli ciężką, a przecież

skaczą żwawo i wesoło, jakby wracali z zabawy; tak im lekko... tak błogo... popychają jedni drugich, gwiżdżą, śpiewają, krzyczą, piszczą, ba, nawet wyją!...

Na pytania oczekujących, „dlaczego tak długo nie oddawano zadań?“ lub „jakże tam?“, albo „no, i cóż? źle?“ odpowiadają wszyscy lakonicznie i jakby się zmówili, jednym wyrazem „łapka!“

— Co za łapka?—pyta pan Stadnicki jednego z malców z wyrwanym rękawem, bo już tak szczerze winszował mu któryś z kolegów pomyślnego egzaminu...

— No, łapka była, co tu dużo gadać! Błąd w zadaniu zrobiony i tyle! — odpowiada malec i, przytrzymując jedną ręką wyrwany rękaw, a drugą — czapkę włożywszy na bakier, zjeżdża po poręczy na dół.

— Ach, państwo, na miły Bóg, dajcież mu pokój! przecież on musi zagrać w „ekstrę“, albo w „klasy“ o „Amerykę z Kolumbem“, lub „Australię z łabędziem!“

Wreszcie Edward wyszedł rozpromieniony z klasy, przypadł szybko do ojca i pana Stadnickiego i opowiedział dokładnie wszystko, jak było, a opowiadał długo i z ogromnem ożywieniem.

Wtem zjawia się przy nim Oleś Korczyński, rzuca mu się na szyję i krzyczy:

— Dziękuję kochanemu koledze! spisałeś się dzielnie, żeby nie twoja kartka, byłbym nie wylazł!...

Edward przedstawił Olesia ojcu i panu Stadnickiemu, a uradowany pan Bielicki z pomyślnego zakończenia pierwszego ezgaminu, zabrał synka z kolegą do cukierni na czekoladę; poszedł wraz z nimi naturalnie i pan Stadnicki.

Podano czekoladę i ciastka...

Oleś jadł dużo i prędko, a ciągle z wdzięcznością na Edwarda spoglądał.

— Wiesz, kolego, — odezwał się, — albo wiesz co, mówmy sobie po imieniu, jak ci na imię?

— Edward! — odrzekł zapytany.

— Otóż uważasz, kochany Edziu, — mówił Oleś, niosąc do ust olbrzymie ciastko z kremem, — z „greka“ i z łaciny, to ci kramu wielkiego nie będzie, bo klasa jako tako łacinę umie, a „greka“ można jeszcze powtórzyć, boć to kurs nie wielki. Zresztą „Łacina“ „na pe“ nikogo nie zleje!

— Co to za język? — zapytał Edward.

Oleś szeroko otworzył oczy ze zdziwienia i łyknąwszy sporo czekolady, zapytał:

— Nie wiesz?!

— Prawda! — rzekł po chwili, — ty nic nie wiesz, boś ty „cywilus“; to znaczy, uważasz, że nikomu nie postawi „cwajera“, czyli dwójki, kapujesz?

— Kapuję! — rzekł głośno i z dumą Edward, bo odrazu domyślił się znaczenia wyrazu „kapować“.

— Czekaj, bracie, — mówił dalej Oleś, — niedługo ja cię nauczę gadać po naszemu, to wszystko „czuć“ będziesz „cwano“.

— Nie „kapuję“, — mówił z zakłopotaniem Edward, silnie akcentując wyraz, którym świeżo wzbogacił swój zapas słów, — nie „kapuję“ — powtórzył znów, co to znaczy „czuć“ i „cwano“.

— To znaczy, że będziesz wszystko doskonale rozumiał! — odparł Oleś z odcieniem politowania.

— A któryż egzamin najtrudniejszy? — zapytał pan Bielicki, z upodobaniem patrząc na zajadającego z ogrom-

nym apetytem malca i opowiadającego z niemniejszem ożywieniem.

— A no! — odrzekł Oleś,—arytmetyka, to był wcale porządny egzamin. Z „Artmosem“ (tak nazywamy nauczyciela arytmetyki) żartów niema!

— Zawsze w zadaniu coś trudnego wymyśli! — podlec! zakończył z przekonaniem.

Pan Bielicki zwrócił Olesiowi uwagę, że o starszych ludziach, a zwłaszcza nauczycielach, nie godzi się tak wyrażać, ale Oleś odpowiedział:

— To po co umyślnie zostawił błąd w zadaniu?

— Zresztą, — począł się tłómaczyć Oleś, — u nas to już tak jest przyjęte, że my nic w bawełnę nie owijamy; zresztą, — jąkał się dalej coraz bardziej zmieszany i czerwony, — to tak jakoś samo się wymówiło i przepraszam pana, że to było przy panu...

— Z łaciny i „greka“ już w najgorszym razie, jakich trzech „się chlapnie“, a kilku dostanie „dryndę“. A widząc, że obecni nie rozumieją znaczenia tych najzwyczajniejszych w świecie wyrazów, dodał: „chlapnie“ znaczy „nie zda“, a „drynda“ znaczy „poprawka“, czyli powtórny egzamin.

— Ale najgorzej, — mówił dalej, — to będzie z rosyjskiego. Inspektor „Cyklop“ (bo ma jedno oko i dlatego tak go nazywamy), nie da nic „ściągać“ — to znaczy przepisywać — zaraz postawi „ajnca“, albo inaczej mówiąc: „lufę“, czyli jedynkę i jeszcze „do ula“ wsadzi, to jest, do kozy, a opowiadania i ćwiczenia trudne wybiera, przeważnie z tematów historycznych; po tym egzaminie odpadnie w najlepszym razie najmniej czwarta część

klasy, — ciągnął dalej Oleś, jedząc ciastka jedno za drugiem.

— Radzę ci, — tu zwrócił się do Edwarda, — powtórz sobie dobrze całą ortografię.

Długo jeszcze rozprawiał Oleś na temat egzaminów, nareszcie pan Bielicki zapłacił rachunek, i wszyscy wyszli z cukierni.

Oleś podziękował panu Bielickiemu za śniadanie, jakiego, jak mówił, w życiu jeszcze nie jadł, i na pożegnanie rzekł do Edwarda, ściskając go za ręce:

— Bądź mi przyjacielem, uratowałeś mnie dzisiaj, póki życia będę ci pamiętał i odwdzięczę się przy każdej sposobności.

Edward, uradowany z propozycyi, jaką mu uczynił Oleś, rzucił mu się na szyję i ucałowawszy szczerze, rzekł:

— Ach, mój drogi Olesiu, ja tak marzyłem, żeby mieć przyjaciela i Pan Bóg odrazu mi go zsyła!

— Więc bądźmy przyjaciółmi, do widzenia na „greku!“ — rzekł Oleś.

I ukłoniwszy się panu Bielickiemu i panu Stadnickiemu, odszedł szybko do domu, by czemprędzej uwiadomić matkę o pomyślnym rezultacie trudnego egzaminu, a potem podążyć na „palanta“ do jednego z kolegów, w którego domu rodzicielskim było tak obszerne podwórko, że podczas całego palanta najwyżej jedną szybę wybijano.

Pan Bielicki bardzo był zadowolony z tej zawiązanej świeżo przyjaźni, gdyż Oleś bardzo mu się podobał...

— Więc już masz przyjaciela? — zapytał z uśmiechem pan Stadnicki Edwarda.

— Ach, tak, drogi panie — odrzekł rozpromieniony Edward.

I wszyscy trzej wsiedli do dorożki, skierowali się ku hotelowi Europejskiemu, gdzie zamieszkał pan Bielicki z Edwardem i panem Stadnickim, na czas pobytu w Warszawie.

III.

Przyszły rywal.

Egzamina postępowały szybko jeden za drugim; przeszedł więc naprzód najeżony trudnościami język grecki, a za nim łacina, przeszedł i ów straszny, według Olesia, egzamin z rosyjskiego, a następnie algebra i religia; pozostały już tylko języki nowożytne. Lica malców przybladły cokolwiek, oczy głębiej wpadły, ale miny, im bliżej ku końcowi, były butniejsze, tem większem weselem błyszczały oczy...

Jak podróżny, jadący do wymarzonej przez się krainy, zwalczywszy już wszelkie trudności, wpatruje się silnie w dal siną, czy nie zamajaczy mu nareszcie kres podróży, niecierpliwi się i gorączkuje, a gdy dostrzeże już ową wymarzoną krainę, która gościnnie otwiera mu swe ramiona, rozjaśnia zniecierpliwione lica i radby, lotem jaskółki, już być na miejscu, tak i trzecioklasiści, czując się prawie u celu, cieszyli się i weselili...

Coraz głośniej było w klasie w dzień zamknięcia roku szkolnego, może nawet zbyt głośno, jak się zdawało

jednemu z przechodzących nauczycieli, który kilku krzykaczy zapisał do kozy; ale i to niewiele pomogło...

Co ich bowiem mogły obchodzić jakieś dwie godziny, które spędzą sobie w kilku na figlach, jeszcze większych, niż teraz, gdy czuli promocyę w kieszeni, a dzienników ze złą adnotacyą nie będą już mieli potrzeby pokazywać w domu...

W akordzie ogólnej wesołości odzywał się jednak i dysonans, zbyt słaby coprawda, by zagłuszyć ogólny nastrój, ale bystry spostrzegacz zauważyłby kilku, którzy chodzili wszerz i wzdłuż poważni jacyś i zamyśleni, ciche westchnienia wyrywały im się z piersi, wzrok smutnie zatrzymywał się na twarzach rozbawionych kolegów...

Byli to tak zwani „zahaczeni".

Należał do ich liczby i Oleś Korczyński, do którego uszu doszło, że się „podciął" porządnie z łaciny i z greckiego i to tak „porządnie", że nie był pewny, czy dostanie, jak mówił Edwardowi „dryndę", po wakacyach, czy też będzie musiał „zimować", to jest pozostać w tej samej klasie na drugi rok.

To ostatnie byłoby dla Olesia ciosem okropnym. Żalił się przed Edwardem na brak szczęścia, niepokoił się i martwił, że sprawi wielką przykrość matce, która, ach, była taka biedna, tak ciężko musiała pracować i żyła tylko tą myślą, że gdy Oleś skończy nauki, to ją przytuli u siebie, i ona wtenczas odpocznie sobie, a tymczasem szyje od rana do nocy piękne suknie dla pięknych pań, a chociaż roboty ma dużo, gdyż liczną posiada klientelę, zaledwie wystarczyć może na życie, bo nauka Olesia dużo kosztuje, i kajetów tyle potrzebuje i książek, a prawie

wszystkie książki muszą być nowe, bo w starych wydaniach dużo rzeczy brakuje...

— Ach, te książki, jakie one drogie! — szeptała nieraz.

Miała jeszcze jedno pragnienie matka Olesia.

Oto Oleś ciężko zachorował w ciągu roku i aczkolwiek młody organizm zwalczył chorobę, pozostawiła ona duże ślady. Oleś od tego czasu był mizerny bardzo i blady, a nadmierna praca w końcu roku szkolnego jeszcze bardziej ujemnie wpłynęła na zdrowie ukochanego jej jedynaka, który w czasie egzaminów nie mógł dużo sypiać, bo ciągle ślęczał nad książką, a choć spać się położył, to spał jakimś gorączkowym snem, wciąż mruczał przez sen jakieś konjugacye i deklinacye...

Biedaczek, nawet śpiąc pracuje! — szeptała matka, ocierając łzę z zaczerwienionych oczu.

Wstawała z krzesła, podchodziła na palcach do jedynaka i składała na jego czole przeciągły, matczyny pocałunek. A chłopczyna budził się, otwierał oczy, spoglądał na matkę i szeptał:

— Mateńko, „dativus pluralis“ od „aner“ — „andrasi?...“

I znów oczy mu się kleiły, głowa opadała na poduszkę i dalej spał, i dalej odmieniał różne rzeczowniki i czasowniki.

A matka patrzyła nań przez chwilę, potem z cichem westchnieniem siadała na krześle, pochylała głowę, i znów igła szybko biegała po atłasach i jedwabiach.

Otóż marzyła pani Korczyńska o tem, że gdy Oleś otrzyma promocyę do klasy czwartej, to może, za protekcyą którego z nauczycieli, będzie już mógł wyjechać

na kondycyę, chociażby darmo, bo ktoby tam takiemu malcowi chciał co zapłacić?! Chodziło jej tylko o to zbawienne powietrze, które miało przywrócić Olesiowi dawny rumieniec na twarzy i siły.

Ze łzami w oczach opowiadał Oleś Edwardowi o tem wszystkiem, wreszcie zakończył:

— A teraz co? Nawet jak dostanę „dryndę“, to i tak nikt z nauczycieli nie będzie taki głupi, żeby mnie gdzie zaprotegować, chyba jeden „Łacina“, ale jakżeż go tu prosić, kiedy to z jego właśnie przedmiotu takem się haniebnie „podciął!“ — biadał dalej Oleś.

— Gdzież ty mieszkasz? — zapytał nagle Edward Olesia.

Ten wymienił swój adres.

Wtem wszedł dyrektor gimnazyum w otoczeniu kilku nauczycieli, i rozpoczął mowę do uczniów.

Wszyscy uczniowie znali już ją doskonale na pamięć, bo powtarzała się ona w jednym i tym samym układzie od kilku już lat we wszystkich klasach kilka razy do roku, mianowicie przed rozdawaniem cenzur w każdym kwartale. Zaczynała się od znanego przysłowia łacińskiego (dyrektor, klasyk zajadły, każdą swą mowę sowicie szpikował cytatami z łacińskich i greckich autorów):

— Ut sementem feceris, ita metes, co znaczy: jak posiejesz, takie będziesz miał żniwo, a nasze przysłowie mówi w tem znaczeniu: „jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz!“

Skończywszy mowę, dyrektor rozpoczął czytanie listy promowanych do klasy czwartej, a zawierała ona dużo niespodzianek niezbyt przyjemnych, bo nazwiska kilkunastu, którzy liczyli na pewną promocyę, zostały

opuszczone. Następnie wyliczeni zostali warunkowo promowani.

Był między nimi i Oleś, który po wakacyach musiał zdawać jeszcze raz z języków starożytnych...

Wreszcie dyrektor zwrócił się do Stasia i rzekł:

— Zdziwiliśmy się nielada, gdy na egzaminie z arytmetyki ty jeden z całej klasy otrzymałeś stopień niedostateczny; błąd, który zrobiłeś w zadaniu, powstał tylko skutkiem pośpiechu, nieuwagi i zbytniej pewności siebie; są to wady, których się pozbyć winieneś i które zasługują na karę, a że zatrzymanie ci promocyi byłoby karą zbyt wielką, postanowiliśmy na sesyi pozbawić cię nagrody. „Ut sementem feceris, ita metes“, — wtrącił znów dyrektor.

— Strzeż się, — dodał po chwili, — bo oto przybywa ci poważny rywal w osobie Edwarda Bielickiego, który jeden tylko z liczby dziesięciu eksternów, zdał egzamin, zawstydzając całą waszą klasę, bo zdał lepiej od was wszystkich, o, „barbaroj!“ (Dyrektor zawsze uczniów barbarzyńcami po grecku nazywał), i zostaje przyjęty do grona uczniów naszego gimnazyum.

Staś z nienawiścią spojrzał na Edwarda, a potem rozpłakał się głośno.

Dyrektora nie mogło nic bardziej rozgniewać, jak widok płaczącego ucznia, zwrócił się więc jeszcze do Stasia i rzekł gniewnie:

— Czegóż beczysz?...! „Ut sementem feceris, ita metes“ i, trzasnąwszy silnie drzwiami, wyszedł z klasy.

Po rozdaniu cenzur i wyjściu gospodarza klasy, większość uczniów radośnie zwróciła się do Edwarda, szczerze mu winszując tak wielkiego odrazu odznaczenia.

Ten uśmiechał się, dziękował, ściskał za ręce wszystkich serdecznie, prosił o przyjęcie do grona koleżeńskiego i wyszedł z klasy, otoczony liczną garstką nowych kolegów, których w tak krótkim przeciągu czasu zdołał ująć swoją miłą powierzchownością, grzecznością, uprzejmością i uczynnością.

W klasie pozostał wkrótce tylko Staś!

Podniósł głowę, spojrzał na drzwi, później na cenzurę, gniew zeszpecił ładną twarzyczkę jego, podarł cenzurę w drobne kawałki, a wyciągając rękę w stronę drzwi, przez które wyszedł Edward, i grożąc mu, zawołał:

— Czekaj, przybłędo, teraz zwyciężyłeś mnie, to prawda, ale czy w czwartej klasie uda ci się wyrwać mi palmę pierwszeństwa, to jeszcze zobaczymy!

Po chwili dodał:

— Ach, jak ja go nienawidzę!!

I z rozpaczą włożywszy czapkę na głowę, wyszedł z klasy...

IV.

Matka i syn.

Pani Korczyńska zajmuje bardzo skromne mieszkanko na trzeciem piętrze przy ulicy Srebrnej. Cały apartament składa się z dwóch pokoików i kuchni. Jeden przeznaczony na pracownię zajmuje sama, drugi cokolwiek większy i ładniejszy o dwóch oknach, wychodzących na ogródek, oddała synowi.

Godzina już blizko dwunasta, a Olesia jakoś nie widać i nie widać. Matka zmęczona bardzo pilną pracą, którą ukończyła zaledwie, gdy gwiazdy słały już nocy ostatnie pożegnanie, a słonko uśmiechniętymi promieniami zaczęło witać dzień nowy, radaby w śnie poszukać zbawiennego odpoczynku, ale myśl pewna nie pozwala jej przymknąć zmęczonych oczu i utrzymuje ją ciągle na nogach: czy Oleś dostanie kondycyę, czy wyjedzie po zdrowie jej jedynak ukochany, czy też zmuszony będzie dusić się w skwarnych murach Warszawy?

Tak myśli już od kilku godzin biedna kobieta, siedząc

na krześle i, oparłszy głowę na ręku, patrzy zamyślona przed siebie...

Drzwi się uchylają, i wchodzi Oleś do domu...

Smutnie spojrzał na matkę; nie zauważyła go wcale, więc usiadł sobie w kąciku i patrzył jak w tęczę, w tę twarz ukochaną, na której troski i walka z życiem już bezlitośnie się zaznaczyły, w te oczy, silnie podkrążone i zmordowane ciężką pracą, na ręce, które go tak często pieściły, i usta, które codziennie bezustanku szeptały mu słowa miłości bezgranicznej; a im dłużej Oleś wpatrywał się w tę twarz zadumaną, tem przykrzej robiło mu się na duszy, tem boleśniej odczuwał teraźniejsze swoje położenie.

Oto, mając promocyę w kieszeni, podszedłszy cichutko na palcach do mateczki, objąłby ją za szyję, tak, obydwiema rękami, usiadłby na kolanach, przytulił się do niej i takby zaczął całować i w oczy, i w głowę, i w usta. i w rączki, a najwięcej w czoło i w oczy, o, tak! bo tam na tem czole i w tych oczach taki jakiś smutek osiadł, jakaś tęsknota za dobrą nowiną, która tak rzadko się trafiała...

Więc Oleś całowałby i całował bezustanku, aż dotąd, dopókiby uśmiech radości nie rozproszył tych czarnych myśli i nie spędził z twarzy tego przebrzydłego smutku, który niechby sobie powędrował, gdzie pieprz rośnie, gdzieś daleko hen! za dziesiąte morze, to jużby pewno więcej nigdy nie wrócił...

Oleś zaczyna robić sobie wyrzuty, że może zbyt mało pracował, ale nie! Tyle nocy przecież nie spał, spędzając je nad książką, a już tak dużo się uczył, że chyba nikt w klasie, nawet Staś Barwiński, co ma same piątki, tyle czasu na naukę nie poświęcił.

Oleś tłómaczy sobie, że chorował przeszło dwa miesiące, że pozostał w tyle za kolegami, że musiał ich dopędzać we wszystkiem, ale to go nie uspokaja, coraz bardziej jest z siebie niezadowolony i oto chciałbym zbić się na kwaśne jabłko za tę podłą „dryndę“ po wakacyach, bo o kondycyi ani marzyć teraz, a mateczka tak sobie tego życzyła, ani sposobu spędzenia smutku z ukochanej twarzy niema; ba, nawet przeciwnie!

Twarz ta powlecze się jeszcze większym smutkiem, i mateczka nie będzie się mogła śmiać przez długi czas.

Oleś zaczyna sobie przypominać, kiedy mamusia ostatni raz się śmiała, przypomina sobie i przypomina i nie może przypomnieć, pewno to już dawno było!...

— Ach, prawda! pamięta doskonale, było to właśnie w chwili, gdy w czasie choroby przytomność mu powróciła, gdy wyrzekł słowa:

— Mateczko, pocałuj jedynaka!

I później mamusia częściej była uśmiechnięta, ale gdy wyzdrowiał już zupełnie, gdy zaczął do szkoły chodzić, a to przecież już trzy miesiące temu, to nie pamięta, żeby mama się śmiała.

W karnawale miała tyle roboty, że prawie wcale nie sypiała, w poście właśnie Oleś zachorował, a od Wielkiej Nocy do tej pory, to tak jakoś ciągle smutno w domu, że aż coś za serce ściska, aż łzy się same kręcą w oku i same płyną po twarzy, i tłumi Oleś łkanie, połyka łzy i zużywa całą siłę woli, by głośno nie zapłakać; coś go dusi za gardło i tak ściska, że już oddychać mu

trudno, wreszcie zrywa się, podbiega do matki, rzuca się jej na szyję i wybucha głośnym płaczem.

— Mateczko! nie gniewaj się na mnie,—mówi z płaczem, — jeszcze jedno zmartwienie ci przybywa i to przeze mnie, ale przysięgam ci, że to po raz ostatni!

Pani Korczyńska sądzi, że wszystko przepadło, że Oleś wcale promocyi nie dostał; ale, widząc rozpacz Olesia, nie czyni mu żadnych wymówek i wyrzutów, tylko przytula silniej do siebie płaczącego jedynaka i uspokajać zaczyna, całuje go po zapłakanych oczach, przyciska go do serca i pieścić zaczyna, a Oleś, widząc tę dobroć matki, tem głośniejszym wybucha płaczem i woła:

— Wolałbym, żebyś mnie, mateczko, zbiła jak psa za tę „dryndę“, po wakacyach z „greka“ i z „łaciny!“

Usłyszawszy to, pani Korczyńska zaczęła mówić:

— Więc widzisz, dziecko, nie masz czego płakać, bo nauczysz się przez wakacye i zdasz, mój skarbie! Tylko nie płacz, Olesiu, tyś taki wątły, to ci może zaszkodzić, robaku ty mój jedyny!... Weźmiemy jakiego korepetytora...

— Nie chcę, mateńko, korepetytora, — przerywa, wciąż płacząc, Oleś, — korepetytor strasznie drogo kosztuje, sam się uczyć będę, a jeżeli po wakacyach nie zdam do czwartej klasy, to nie jestem wart nazywać się twoim synem!

— Co nie masz zdać? Zdasz, Olesiu, zdasz moje dziecię!... Tylko szkoda, że na wieś nie będziesz mógł wyjechać, tobie to tak potrzebne, doktór koniecznie kazał...

Ciche pukanie do drzwi przerwało te słowa. Oleś zerwał się z kolan matki, szybko obtarłszy oczy; zadziwiona niespodziewaną wizytą pani Korczyńska, wymówiła słowo: proszę!

...Drzwi się otworzyły i wszedł Edward Bielicki ze swoim ojcem.

V.

Propozycya

Pan Bielicki skłonił się gospodyni domu i wymieniwszy swoje nazwisko, oświadczył, że przybywa z wielką prośbą...

Pani Korczyńska, niemniej jak i Oleś, zdumiona była: co za prośbę może mieć do nich ten elegancko ubrany pan?!

Oleś tak był zdziwiony, że zapomniał nawet o obowiązku gospodarza domu i nie powitał wcale niespodziewanych gości; dopiero Edzio podszedł ku niemu i, podawszy mu rękę, zaczął całować serdecznie.

Tymczasem pani Korczyńska już cokolwiek przyszła do siebie i, wskazawszy gościowi krzesło, zapytała, czem może służyć.

Pan Bielicki opowiedział, jak jego syn, Edzio, poznał się z Olesiem, jak obydwaj odrazu do serca sobie przypadli, jak Edzio pragnie bardziej zbliżyć się do przyszłego kolegi i przyjaciela, wreszcie dodał, że ośmiela się prosić, czyby pani Korczyńska nie była łaskawa

pozwolić synowi swemu spędzić wakacyi razem z Edziem, na świeżem wiejskiem powietrzu, wśród pól i lasów, co korzystnie wpłynąć może na fizyczne rozwinięcie anemicznego Olesia; zapewniał przytem o troskliwej opiece, jaką otoczy pozbawionego matczynego oka chłopca...

— Nie będzie to bez korzyści i dla Edzia, — zakończył pan Bielicki. Oleś zapozna go bliżej z życiem gimnazyalnem, nauczy go sposobów pozyskania sobie sympatyi i przyjaźni kolegów, co on, ojciec, uważa za rzecz niezbędnej wagi, gdyż nie chciałby mieć syna odludka, mizantropa i samoluba.

— Zresztą, — dodał, — jak szanowna pani uważa, namawiać tu przecież nie mogę, tylko proszę bardzo, zgódź się pani na moją propozycyę, a wdzięcznym jej będę!

Pani Korczyńska bez wahania zgodziła się, nie mogąc na razie znaleźć słów dla wyrażenia wdzięczności panu Bielickiemu za okazaną dla Olesia życzliwość.

A tymczasem na stronie Edzio, nie wiedząc, jaki skutek odniesie prośba ojca, mordował Olesia, aby błagał matkę o pozwolenie na wyjazd, obiecywał mu złote góry, przyjemności i rozrywek miliony, prócz tego ofiarował się pomódz mu uzupełnić braki w łacinie i w greckim.

Oleś nie wiedział, co ma odpowiedzieć i rzucił wzrok na matkę, która w tej właśnie chwili dziękowała panu Bielickiemu za zdrowie dla jej jedynaka...

Ujrzawszy to, Edzio podskoczył żwawo do pani Korczyńskiej i zaczął całować ją po rękach, wykrzykując:

— Jaka pani dobra, kochana, jedyna, złota!...

Później rzucił się Olesiowi na szyję, począł całować go i ściskać, klaskać w ręce z radości, jednem słowem, czuł się szczęśliwym, jak nigdy...

A pan Bielicki z uśmiechem patrzył na radość Edzia, na pomieszanie Olesia i uszczęśliwione oblicze jego matki, i czuł się bardzo zadowolony, że uczynił zadość prośbie kochanego synka, bo Oleś coraz bardziej chwytał go za serce; prócz tego czuł innego jeszcze rodzaju zadowolenie: zdawało mu się, że oddaje społeczeństwu pewnego rodzaju usługę, bo oto zagrożone jest ono utratą jednego ze swoich członków, a chociaż Oleś teraz mniej może znaczy dlań, niż marne ziarnko piasku, ale, jak mówi przysłowie: „ziarnko do ziarnka, a zbierze się miarka!“, a gdy ten anemiczny chłopiec rozwinie się w silnego młodzieńca, to, kto wie, czy nie stanie się jednym z filarów społeczeństwa, czy nie będzie wraz z innymi, jak mówi poeta: „pchał naprzód bryły świata na nowe tory“, bo idealistą potrosze był pan Bielicki: wierzył w młodość!...

Niedługo bawił już pan Bielicki z synem i, uprzedziwszy, że wyjazd nastąpi za parę dni, zaczął się żegnać, gdy Edzio coś mu do ucha szeptać począł, a pan Bielicki uśmiechnął się i rzekł:

— Dobrze, ale ja już prosić nie będę, teraz ty sam poproś!

Więc Edzio nieśmiało zbliżył się do pani Korczyńskiej, a pocałowawszy ją w rękę, rzekł:

— Już kiedy pani taka dobra, to niech pani pozwoli Olesiowi, iść z nami dziś do teatru na „Pana Twardowskiego“, będzie dyabeł się pokazywał na scenie, pro-

szę pani! — dodał, sądząc, że tym argumentem przekona panią Korczyńską o niemożebności odmowy.

Olesowi aż się zaiskrzyły oczy z radości, że pójdzie do teatru, a jeszcze i dyabła zobaczy, więc z niepokojem spojrzał na matkę, ale ona śmiała się z argumentacyi Edzia; więc Oleś, pewny już swego, zaczął dziękować mateczce, że taka dobra jest dla niego.

— Ależ nie mnie dziękuj, tylko swoim dobrodziejom! — odzywa się pani Korczyńska.

Oleś zawstydzony zwraca się z podziękowaniem do pana Bielickiego, który go odsyła do Edzia, ten zaś do pani Korczyńskiej, aż Oleś, nie wiedząc już komu ma dziękować, staje zakłopotany na środku pokoju i kolejno spogląda na wszystkich...

Edzio rzekł:

— Wstąpimy po ciebie po siódmej!

— Tylko żebyśmy się nie spóźnili! — ostrzega Oleś.

— Nie bój się! — odrzekł Edzio i, skłoniwszy się wraz z ojcem, wyszli z pokoju.

A pani Korczyńska, która przed godziną upadała ze zmęczenia i ruszać się prawie nie mogła, chwyciła Olesia za ręce, poczęła przyśpiewywać sobie i tańczyć z nim po całym pokoju.

Oleś z początku przeraził się, myśląc, że mateczce coś złego się stało, ale, widząc uśmiechniętą twarz matki, sam zaczyna jej w śpiewie wtórować i przytupywać zamaszyście...

Tak matka wyrażała swą radość z powodu, że spełniało się jej marzenie, że Oleś na wieś wyjedzie.

Nagle przestała tańczyć, rzuciła się na kolana przed

obrazem Matki Boskiej i jęła serdecznie dziękować tej Pocieszycielce strapionych.

Oleś pozostał sam na środku pokoju, a widząc modlącą się matkę, ukląkł cichutko przy swojem łóżeczku, pobożnie złożył rączęta i z pochyloną główką dziękował Bogu, że mateczka dziś śmiała się, a nawet tańczyła.

VI.

Wyjazd z Warszawy.

Ranek był bardzo ładny, jeden z tych, jakie często w czerwcu się zdarzają. Miasto spało jeszcze, a właściwie spali ci, których rodzaj pracy nie wygnał jeszcze z miękkiej pościeli, bo tu i owdzie można już było spotkać robotników, śpieszących do fabryk, służące, które dążyły z koszami na targ; kilka osób zamierzało widocznie ropocząć dzień nowy modlitwą kościelną, bo z książkami do nabożeństwa szły na prymaryę; stróże zamiatali ulicę... zresztą nikogo więcej.

Zrzadka tylko jakiś zapóźniony, który z nocy zwykł był robić dzień, a z dnia noc, wlókł się na spoczynek do domu pieszo, lub dorożką...

Na ulicy Marszałkowskiej, która, jako pryncypalna, i, wskutek drogich mieszkań, mało jest dostępna dla sfery uboższej, było tak cicho, że doskonale słychać było odgłos kroków rzadkich przechodniów i turkot jadącej gdzieś z dala dorożki; turkot ten zbliżał się coraz bardziej, wreszcie w samej rzeczy ukazała się dorożka.

Siedziała w niej jakaś pani z uczniem gimnazyalnym.

Jechali widocznie na kolej, gdyż kosz z rzeczami znajdował się na koźle.

Chłopiec wciąż niecierpliwie męczył matkę pytaniami, czy aby zdążą, czy się nie spóźnią, i ucichł dopiero, gdy ta zrobiła mu uwagę, że tak pilno mu widocznie rozstać się znią. Oleś (on to był bowiem) nie pomyślał jeszcze o tem, więc zawstydził się srodze. — Prawda, przemknęło mu przez głowę, że trzeba będzie rozstać się z najdroższą mateczką; trzeba oto będzie pójść między obcych ludzi; któż go tam pocałuje, popieści, pocieszy?... zasmucił się więc bardzo i o ile przedtem dużo mówił z uśmiechem radości i ożywieniem, o tyle teraz pogrążył się w głuchem milczeniu; pochylił głowę, uśmiech zgasł na ustach, tylko przysunął się bliżej do mateczki i przytulił do niej. Po chwili rzekł:

— Mateczko, możeby było lepiej nie jechać?

Ale matka, widząc, że zatruła chłopcu ostatnie przed rozstaniem chwile, już żałowała swych słów i poczęła przekładać, że wyjazd ten jest konieczny, że trzeba skorzystać z tak szczęśliwego trafu, widocznie przez Opatrzność zesłanego, że dwa miesiące przeminą szybko, zresztą będą mogli prowadzić z sobą listowne rozmowy.

To ostatnie ogromnie pocieszyło Olesia.

— Codzień będę listy pisywał do mamusi! — krzyknął z zapałem.

Tymczasem dorożka już zatrzymała się przed dworcem kolejowym. Wybiegli posługacze, chwycili kosz

z rzeczami, i Oleś szybko wszedł z matką do wnętrza dworca.

Pana Bielickiego z Edziem nie było jeszcze; zegar wskazywał dopiero kwadrans na szóstą, a że pociąg odchodził punkt szósta, pozostawało jeszcze trzy kwadranse. Skorzystała z tego czasu pani Korczyńska i udzielała synowi po raz już dziesiąty rozmaitych rad i wskazówek, jak ma się Oleś zachowywać w nowem dla siebie otoczeniu.

— Pamiętaj! — rzekła mu na zakończenie,—że dobre i grzeczne dziecko jest najlepszem świadectwem moralnej wartości rodziców; gdybyś więc postępował nie tak, jak należy, dałbyś o matce swojej najgorsze wyobrażenie; ludzie sądziliby, żem wcale o ciebie nie dbała, żeś zostawiony był samemu sobie i wzrastał, jak dzika roślina, pozbawiona doświadczonego i troskliwego oka ogrodnika.

Więc Oleś obiecywał matce, że będzie grzeczny, że w każdym liście donosić jej będzie o swojem sprawowaniu.

— Masz tu, Olesiu, trzy ruble, tylko bądź oszczędny! — rzekła matka. — Później sam się przekonasz, że wydać pieniądze na głupstwa łatwo, ale, żeby je zarobić, oj, ciężko nieraz bardzo!

Oleś wzdragał się, ale matka tak nalegała, że wziął je i schował do kieszonki, przysięgając sobie w duszy, że nie wyda z nich ani grosza i zwróci je matce nienaruszone.

Nareszcie zjawił się pan Bielicki z Edziem i panem Stadnickim.

Chłopcy uścisnęli się serdecznie. Pan Bielicki zajął się wyprawieniem rzeczy swoich i Olesia, który przez ten czas zaczął się żegnać z matką, poczem wsiadł razem ze swoim nowym opiekunem i Edziem do wagonu drugiej klasy.

Gdy zadzwoniono już po raz trzeci, maszynista dał znak, że za chwilę wyruszy, i wnet lokomotywa, przewidując snadź bardzo daleką i męczącą drogę, z ciężkiem westchnieniem ruszyła z miejsca.

Oleś stał w oknie wagonu i rozmawiał ze stojącą na peronie kochaną mateczką. Gdy pociąg ruszył, Olesiowi zrobiło się jakoś markotno, smutno na duszy, coś go za serce ścisnęło... wszak nigdy z mateczką swoją się nie rozstawał.

Widocznie przyszła tęsknota chwyciła go za serce, chcąc przeszkodzić rozłące i zatrzymać go w miejscu.

Ale pociąg odsuwał Olesia od mateczki coraz dalej i dalej; więc Oleś wyjął chusteczkę i począł już zdala dawać znaki pożegnania, a pani Korczyńska utkwiła oczy w tę chustkę, patrzyła i patrzyła, choć już Olesia nie można było w oknie odróżnić, patrzyła wciąż, choć pociąg malał coraz bardziej, patrzyła w czarny punkcik, który znikał na widnokręgu, poczem, gdy już nawet dymu z komina widać nie było, wolnym krokiem wracała do domu.

A oddech lokomotywy stawał się coraz szybszy i szybszy; widocznie pogodziła się biedaczka ze swoim losem, bo choć z miejsca żółwim krokiem ruszyła, ale teraz zrobiło się jej lżej jakoś, więc wesoło mknęła po gładkich szynach, mijając domki, ogrody, pola i lasy, któ-

re, zda się, same pędziły ku niej naprzeciw, jakby wyzywając ją do walki, lecz zwyciężane w mgnieniu oka sromotnie zostawały daleko w tyle.

Pani Korczyńska dochodziła do domu, wciąż myśląc o swoim jedynaku, a pociąg rwał i rwał w siną dal, unosząc jej pociechę daleko, daleko...

———

VII.

List.

Najdroższa Matuś!

Choćbyś, kochana mateczko, nie była zobowiązała mnie słowem czwartoklasisty (którym napewno zostanę, gdyż byłbym podłym, gdybym się i po wakacyach „chlapnął"), do pisania częstych listów, to i takbym pisał, bo czuję potrzebę pogadania z moją matusią, co tam sama w wielkiem mieście została, jak palec, i niema jej kto ni popieścić, ni pocałować.

Ale niech mamusia będzie spokojna i nic się nie martwi, bo ja też tutaj sam jestem, jak palec, a choć Edzio całuje mnie często, ale inne to jakieś całowanie, niż twoje, najdroższa mateczko!

Tak mi tęskno bez mamusi najdroższej, jak nie wiem co, ale niech się mama nic nie martwi, bo Edzio mówi, że to tak tylko z początku, a później przywyknę, choć nie wiem, czy to będzie możebne, ale pewno...

Kochana mamusiu! Niech mamusia najdroższa ze

mnie się nie śmieje, bo ja jeszcze nie umiem listów pisać, bo to dopiero jest pierwszy list w mojem życiu, bo jeszcze nigdy do nikogo żadnych listów nie pisałem. Więc niech mi mamusia przyśle koniecznie swoją fotografię, tę, co wisi na ścianie, to ją sobie powieszę nad łóżkiem ze złotemi gałkami i ciągle się w nią wpatrywać będę, a jak będę wychodził do lasu, to ją zabiorę z sobą i w lesie też będę patrzył na moją kochaną mamusię.

Wie mama, co ja zrobię z tymi trzema rublami, co mam od mamy? Schowam i już!.. bo tu mi nic nie potrzeba. A jak wrócę do Warszawy, co, daj Boże, żeby jak najprędzej nastąpiło, bo mi ogromnie tęskno bez mamusi, to pójdziemy z mamusią do teatru na „Pana Twardowskiego". Powiadam mamie, że mi się ta sztuka tak podobała, że już nie wiem, a że mamusia mówiła, że już bardzo dawno, bo ze dwadzieścia lat temu, jak była na tej sztuce, więc wezmę mamusię i pójdziemy sobie do teatru. Zobaczy mama, że się i mamie ta sztuka jeszcze raz bardzo spodoba.

Dziś już miałem lekcyę dwie godziny razem z Edziem. Pan Stadnicki uczy Edzia i pozwolił mi siedzieć przy lekcyi i zadaje mi to samo, co Edziowi. Bo Edzio zaczął od początku łacinę i grecki naumyślnie, żebym ja mógł co skorzystać. Jak ten Edzio wszystko świetnie umie, to aż mnie zazdrość porywa i muszę się tak samo przez wakacye nauczyć, jak on, i muszę dostać na egzaminie „pionę". Mamusia pewno wie, co znaczy „piona", bo tutaj, jak zacznę mówić, to wciąż się śmieją i mówią, że nic nie rozumieją. Ale może mamusia zapomniała, co znaczy „piona", więc przypominam, że to jest piątka.

Edzio ciągle żąda, żebym go nauczył gadać po na-

szemu; więc uczę go rozmaitych wyrażeń, jak „inspekt, extempa, piona, lufa“ i innych rzeczy, które umiem. Ale teraz w czwartej klasie, bo muszę zdać koniecznie, żeby mamusię kochaną pocieszyć po tym smutku, który jej wyrządziłem, będę miał same „piony“, zobaczy mamusia! Edzio ciągle mnie pilnuje, żebym się dobrze przygotowywał na lekcye z panem Stadnickim.

Mam na jutro zadane wyjątki z trzeciej deklinacyi, pamięta mamusia, co to mamusi pokazywałem; jakie to trudne i długie! Już się nauczyłem połowę, a do lasu zaraz pójdę z książką, to się do jutra i drugiej połowy nauczę. Edzio powiada, że nauczy mnie konno jeździć i pływać. Zobaczy Mama, jaki to zuch będzie ze mnie, gdy przyjadę do Warszawy. Tylko to jeszcze tak długo!... Zrobiłem sobie wykaz dni, które pozostają do końca wakacyi i codzień, mamusia nie ma pojęcia, z jaką radością przekreślać będę jeden.

Przekreśliłem już dwa; dobrze im tak! Poco mnie oddzielają od mamusi?! Oho, przeszły sobie, już ich niema! Nauczyłem Edzia grać w „klasy“, wie mamusia, takie, co to rysuje się na ziemi, staje się potem na jednej nodze, a jutro ma tu przyjechać jeszcze kilku chłopców z sąsiedztwa, to nauczę ich grać w „ekstrę“ i w „palanta“, bo oni tu żyją, jak w Australii i o żadnych grach nie mają pojęcia. Nawet w palanta będziemy musieli grać „dętką“, bo tu o „lance“ nigdy nic nie słyszeli, a mamusia przecież wie dobrze, że bez lanki palant wart figę marynowaną, ale trudno, cóż robić, trzeba już grać dętką!

Edzio ma masę ślicznych książek, w takich ślicznych czerwonych i niebieskich okładkach, ze złotymi wyciskami.

Obiecywał, że mi da do przeczytania. Przeczytam wszystkie naturalnie, to będę miał matusi co opowiadać.

Edzio jest dla mnie taki dobry, że kocham go coraz bardziej, ale niech się mamusia nie martwi, bo nigdy go tak nie będę kochał, jak kocham moją jedyną, złotą, kochaną, najdroższą matuleńkę! Niechże matusia jak najprędzej napisze do mnie długi, bardzo długi list i przyśle mi z fotografią swoją koniecznie, bo tak mi tęskno, że strach!... a jak fotografię będę miał, to ciągle ze sobą nosić ją będę i całować, całować bez końca.

Chciałbym ucałować rączki mojej Matusi kochanej i buziaczka ukochanego, ale że tego nie mogę zrobić, więc ten list całuję bardzo dużo razy; niechże on Mateczce te pocałunki odda. Tylko niech Matusia nie siaduje tak długo po nocach, bo Mamusia taka ogromnie mizerna, że aż mi się na płacz zbiera, kiedy o tem wspomnę. Przecież teraz niema już przy Mamusi mnie, tego darmozjada, daleko, daleko on teraz, więc i wydatek mniejszy.

Z najgłębszem uszanowaniem

Aleksander Korczyński.

VIII.

Na wakacyach.

Szybko płynęły dni jeden za drugim; składały się one w tygodnie i oto minął już miesiąc od dnia wyjazdu Olesia z Warszawy. Pisywał on często do swej mateczki listy, na które w bardzo krótkim przeciągu czasu odbierał długie odpowiedzi. Matka dopytywała się ciągle o zdrowie jedynaka, przesyłała mu wiele rad i wskazówek, przypominała o nadchodzącym egzaminie i cieszyła się nadzieją coraz bliższego uściskania swej pociechy.

Więc Oleś uczył się zapamiętale, bo chciał zdać koniecznie; umyślił sobie bowiem, że po powrocie do Warszawy, gdy złoży egzamin i zostanie uczniem czwartej klasy, musi dostać, żeby tam nie wiem co, korepetycyę, a może nawet dwie... choćby po rublu na miesiąc... A mateczce nic o tem nie powie, broń Boże!

Dopieroż to będzie radość w domu, gdy po skończonym miesiącu przyniesie mamusi zarobione własną pra-

cą pieniądze i to nie kilka groszy, ale aż dwa ruble, i powie:

— Widzisz, mateczko, już syn twój nie będzie darmo jadł chleba od dzisiaj, co miesiąc odda ci grosz zarobiony, bo nie może patrzeć na to, jak mamusia ciągle po całych nocach szyje i szyje, siły i zdrowie marnuje, żeby tylko synkowi kupić książki i kajety...

A jak dostanie promocyę do piątej, a potem do szóstej klasy, ho! ho!... toć już i drożej płacić mu będą, już może starczy z tego i na mieszkanie i na obiady... Chociaż nie!... zaraz: mieszkanie straszliwie drogo kosztuje, zdaje się, że aż ośmnaście rubli na miesiąc, a gospodarz, niedobry, obiecywał jeszcze podwyższyć komorne!

Mój, Boże! taki bogaty człowiek, jak gospodarz i jeszcze mało ma ośmnaście rubli na miesiąc, a przecież on wynajmuje mieszkania w całym domu, więc płacą mu inni jeszcze drożej, może po dwadzieścia rubli, a może i po dwadzieścia pięć na miesiąc, a jemu to wszystko mało i chce jeszcze podwyższyć mamusi komorne...

— A za korepetycye, jak będę już w szóstej klasie,— niechby zapłacili po sześć rubli, no, niechby wreszcie po ośm, to i tak jeszcze na mieszkanie nie starczy, a gdzież tu myśleć o obiadach!?

Więc Oleś jeszcze dalej sięga okiem w przyszłość i widzi się w mundurku uniwersyteckim. Hm! wtenczas to mi dadzą i piętnaście rubli na miesiąc, — mruczy z zadowoleniem. — Wszak Staś Barwiński ma takiego korepetytora, a Oleś weźmie takich korepetycyi ze cztery, bo student ma przecież więcej czasu, gdyż podobno w uniwersytecie wcale nie wyrywają w ciągu roku do lekcyi i dwójek nie stawiają, to czasu jest dość; więc jak

weźmie aż cztery korepetycye po piętnaście rubli, to będzie miał... zaraz... cztery razy dziesięć — czterdzieści, cztery razy pięć — dwadzieścia... ho, ho, sześćdziesiąt rubli?

Nie może być, musiał się pomylić w rachubie, więc wyciąga arkusik papieru i mnoży z ołówkiem w ręku... ależ tak, napewno!

— No, to już chyba starczy na obiady! — mówi półgłosem z dumą. — Phi, co tam obiady! Można będzie nawet z mamusią iść ze trzy razy na miesiąc na „Pana Twardowskiego" do teatru i jeszcze można będzie kupić dla kochanej mateczki na imieniny ładną książkę „Robinsona Cruzoe".

Mamusia pewno tej ślicznej książki nie czytała, a trzeba będzie kupić koniecznie w takich ładnych czerwonych, albo niebieskich okładkach, tylko który kolor mamusi bardziej się podoba, czerwony czy niebieski, trzeba ją będzie zręcznie wybadać, tak, żeby nic a nic się nie domyślała.

A możeby w tym roku kupić mamusi na imieniny tego „Robinsona", ale ba! skądże wziąć pieniędzy?!...

Oleś ma tylko trzy ruble, które dostał na odjezdnem, ale czyż to wystarczy? Czyż to możebne, żeby taka śliczna książka, z takiemi ślicznemi obrazkami, książka, w której występują prawdziwi dzicy ludzie, co jedzą ludzkie mięso na obiad i na śniadanie (tu Olesia dreszcz zimny przenika do szpiku kości, bo niechby tak jego złapali i upiekli na ogniu, a potem jeść zaczęli, to coby było, hę? Pewnieby bolało! — odpowiada sam sobie na zapytanie), więc tedy, czy to możebne, żeby taką śliczną książkę można było za trzy ruble dostać? Gdzie tam!

Napewno kosztuje z jakie dwadzieścia rubli, albo może i więcej. Trzeba będzie jutro Edzia się zapytać, bo teraz on śpi na sąsiedniem łóżku, tak, to będzie najlepiej, on ma tyle ładnych książek, to pewno wie...

— Tak, tak, — mówi sobie w myśli Oleś, przewracając się z boku na bok i nie mogąc wcale zasnąć, — pewno dopiero, będąc w uniwersytecie, jak będzie miał aż cztery korepetycye po piętnaście rubli, będzie mógł zrobić mamie niespodziankę na imieniny.

Ale jakże to długo na to trzeba będzie czekać! Zaraz... czwarta klasa, to rok, potem piąta — to dwa, szósta, siódma i ósma — to pięć lat. Tak, to dopiero za pięć lat i to jeszcze jeżeli w żadnej klasie dwóch lat siedzieć nie będzie.

Tu strach zdejmuje Olesia: przecież on jeszcze nie ma promocyi do czwartej klasy, a jeżeli się „chlapnie“?!

Więc, chociaż już wszyscy śpią, gdyż noc zapadła dokoła, zrywa się chłopczyna z łóżka, zapala pocichutku lampę, żeby Edzia nie zbudzić, otwiera grecką gramatykę i czyta: „timao-timo, timaejs-timas“ i t. d.

Ale blask lampy razi śpiącego Edzia, więc kręcić się zaczyna na łóżku, otwiera oczy i z zadziwieniem spogląda na pochylonego nad książką Olesia.

— Bój się Boga, Olesiu, co ty robisz? Znów się zakuwasz?! — pyta wykształcony już w gimnazyalnym dyalekcie.

A Oleś odwraca zaspane oczy ku niemu i szepce:

— Ach, Edziu, ja się tak strasznie boję, żebym się nie „chlapnął“!

Więc Edzio wyskakuje z łóżka i zaczyna pocieszać Olesia, że zda napewno.

— Przecież nawet pan Stadnicki nie może wyjść z podziwienia, żeby w tak krótkim przeciągu czasu tak wielkie można było uczynić postępy! Powiada, że nie długo tak będziesz wszystko umiał, jak i ja.

Oleś ucieszony rzuca się Edziowi na szyję, całuje go, dziękując za otuchę, i szepce:

— Bo widzisz ja muszę, ja muszę zdać koniecznie, inaczejbym chyba umarł!...

Edzio zabiera Olesia do swojego łóżka, gasi lampę, i stara się oderwać Olesia od tych niepokojących myśli, które go opanowały.

Coraz weselej zaczynają rozmawiać chłopcy, zapominając o śnie... Na drugi dzień słońce już było bardzo wysoko i, jakby rozgniewane, oddawna już rzuca na śpiochów silne promienie, ale oni, nic sobie z tego nie robiąc, trzymając się za ręce, śpią i śpią...

———————

IX.

Przyjazd do szkół.

Wakacye szybkim krokiem zbliżały się ku końcowi...

Już tylko tydzień zaledwie oddzielał Olesia od egzaminu, więc chłopczyna z jednej strony szalał z radości, że po tak długiem niewidzeniu zobaczy ukochaną nad wszystko mateczkę, z drugiej zaś — niepokoił się, jaki będzie rezultat egzaminu.

Napróżno Edzio wmawiał w niego, że wszystko pójdzie jak najlepiej, napróżno pan Stadnicki upewniał go, że może się spodziewać jak najlepszego zakończenia swej sprawy!

Oleś niepokoił się srodze, a im bliżej było egzaminu, tem gorzej sypiał po nocach, tem bardziej unikał zabaw z Edziem i często przybywającymi doń gośćmi z sąsiedztwa, tem dłużej siadywał nad gramatyką grecką i łacińską i, chociaż umiał prawie cały kurs na pamięć, wertował je zapamiętale.

Oleś przez wakacye poprawił się znacznie, już w po-

łowie wakacyi wyglądał doskonale, tak, że zdrowie poprostu tryskało mu z twarzy. Ale pod sam koniec wakacyi, znów rumieniec zaczął mu zwolna znikać z twarzy, i choć wyglądał bez porównania lepiej, niż przy wyjeździe z Warszawy, wszyscy zauważyli, że zmizerniał bardzo.

Nastał wreszcie dzień odjazdu do Warszawy... Wraz z Olesiem wsiadł do wagonu i Edzio, bo nie chciał opuścić przyjaciela w czasie grożącego mu egzaminu; wiedział wprawdzie doskonale, że w klasie przy piśmiennym egzaminie nie będzie mógł być obecnym, ale doda Olesiowi w ostatecznej chwili, przed samem rozpoczęciem egzaminu, odwagi, bo to, według pana Stadnickiego, rzecz bardzo ważna, żeby uczeń miał myśl swobodną i nie drżał ze strachu w czasie egzaminu. Więc chociaż mógł jeszcze pozostać na wsi jakieś dziesięć dni, pod czułem matki swej okiem, ale zwalczył w sobie tę pokusę i poświęcił przyjemność dla przyjaciela; pocieszał się w duchu Edzio jeszcze i tem, że odetchnie nareszcie atmosferą gimnazyalną, że przyjrzy się lepiej murom szkolnym, które dopiero teraz, po tylu latach marzeń, otwierają mu swoje podwoje.

— Daleko szczęśliwszy, — myślał sobie Edzio — to ten jego brat Władzio, bo chociaż młodszy od niego o całe cztery lata, a już jedzie wraz z nimi tak samo do gimnazyum, zdawać do wstępnej klasy...

Ale Władzio innego trochę jest zdania. Prawda, że granatowy mundurek z takimi srebrnymi świecącymi guzikami, mile mu się od dawien dawna uśmiechał, ale tyle się nasłuchał od Olesia w czasie wakacyi o egzaminach, które Oleś malował w barwach coraz czarniejszych, im

bardziej się zbliżały, że bał się okrutnie i byłby wybuchnął płaczem, gdyby nie to, że mu wstyd było, żeby on, co za dwa tygodnie będzie chodził w mundurku, albo w czarnej bluzie ze świecącym pasem, a co najważniejsza, w długich spodeńkach do samej ziemi, jak jaki tatuś, albo inny dorosły pan, żeby on miał płakać.

Więc chociaż drżał na całem ciele z przerażenia, gdy wsiadał do wagonu, nie dał tego poznać po sobie, owszem, przeciwnie, udawał bardzo ożywionego.

Tylko od czasu do czasu rzucał Olesiowi pytania, ile błędów można zrobić w dyktandzie, lub o jaką ilość można się bezkarnie omylić w dodawaniu, żeby „cwajera nie zdusić“, bo i Władzio stał się dość biegłym w gimnazyalnym dyalekcie przez ciągłe asystowanie przy rozmowach Olesia z Edziem.

A gdy Oleś odpowiadał, że żadnych omyłek robić nie można, Władzio markotniał ogromnie i mówił sobie w myśli:

— To ci choroba i z tym egzaminem!

Jechał również do Warszawy i pan Stadnicki, aby sprezentować komisyi egzaminacyjnej swego nowego pupila — Władzia.

W duszy był bardzo niespokojny pan Stadnicki, bo Władzio, aczkolwiek, zdawało się, że zdolnościami przewyższy nawet Edzia, grzeszył ogromnym brakiem uwagi, bo trzpiot był straszny i roztrzepaniec.

Jechał wreszcie i sam pan Bielicki, aby załatwić bardzo ważną kwestyę umieszczenia na stancyi swoich synków. Kwestya ta była przedmiotem długich rozmyślań pana Bielickiego i przedstawiała się dość trudną do rozwiązania.

Życzył sobie bowiem, żeby chłopcy pozostawali nadal pod kierunkiem doświadczonego pedagoga, pana Stadnickiego, którego poważał i cenił za to, że starał się kształcić nietylko umysł, ale i serce dzieci; a chciał jednocześnie, aby synkowie jego nie byli pozbawieni kobiecej opieki, tak niezbędnej przy wychowaniu dzieci, boć ona tylko jedna zdolna jest ustrzedz młode umysły od zepsucia moralnego, a przytem niemałą gra rolę przy wyrobieniu delikatności uczuć.

Więc myślał początkowo sprowadzić się z żoną do Warszawy i z nią przy pomocy pana Stadnickiego pracować w dalszym ciągu nad wychowaniem dzieci, ale prędko tę myśl musiał porzucić, gdyż sprawy majątkowe zatrzymywały go na miejscu, a domu nie chciał pozbawiać gospodyni.

Zresztą, być może, że i egoistą potrosze był pan Bielicki w danym razie, bo, głównie ze względu na siebie, nie mógł się zdecydować na wyjazd żony wraz z dziećmi do Warszawy.

Chciał bowiem mieć przy sobie chociaż jedną ukochaną istotę, więc, gdy dzieci musiały opuścić ojca, aby poświęcić się nauce, zadaniem żony było uprzyjemnić mu pobyt w opustoszałym domu, bo bał się samotności, jak ognia, pan Bielicki, a żonę kochał nad życie.

Po dłuższej więc z żoną naradzie, powziął pewien plan, z którym zwierzył się panu Stadnickiemu, nie mówiąc nic Edziowi, chociaż ten ciągle się dopytywał, gdzie mieszkać będzie, a nawet niejednokrotnie poddawał ojcu myśl, że możeby u matki Olesia mógł mieszkać.

Ale ojciec nic na to nie odpowiadał, tylko baczniej się począł przyglądać Olesiowi i w dłuższe z nim wdawać

rozmowy, wypytując go nieznacznie o matkę i znajomych.

Oleś nic nie ukrywał, odpowiadał śmiało na pytania, bynajmniej nie wstydząc się ubóstwa, które panowało w domu jego matki, gdyż głęboko był przekonany, że ubóstwo i praca nie hańbią nigdy i nikogo; a w pochwałach nad mateczką, aż się rozpływał; stawał się wtenczas bardzo wymowny, i, doprawdy, dziwnie pociągające wrażenie czynił ten młody chłopiec, z takim zapałem i uniesieniem mówiący o swojej matce i z pewnego rodzaju dumą przyznający się do ubóstwa...

Drogę spędzano w milczeniu...

Pan Bielicki zadumany był jakiś, niepewny, czy powiedzie mu się ów plan, na który oboje z żoną już się zgodzili.

Edzio rozmyślał o mamie, która została w domu sama i którą dopiero na Boże Narodzenie zobaczy.

Pan Stadnicki był jakiś nieswój, cierpiał tego dnia już od samego rana na silny ból głowy. Najmłodszy z jadących, Władzio, wypytawszy się już Olesia dosyta o egzamina, „cwajery“ i „lufy“, z wielkiego zmartwienia usnął na dobre, i droga wskutek tego wcale mu się długą nie wydała.

Oleś, przeciwnie, nie mógł się doczekać końca podróży. On chciałby się zamienić w szybkolotnego ptaka, lub strzałę, wprawną i silną ręką wypuszczoną ze stalowego łuku, aby mógł po kilkudziesięciodniowem niewidzeniu rzucić się na szyję ukochanej mateczce, która pewno tam, w Warszawie, stoi już na dworcu i wpatruje się w dal, czy nie ujrzy zbliżającego się pociągu.

I nie omyliło go wcale serce synowskie, bo w samej

rzeczy jeszcze na godzinę przed przybyciem pociągu, pani Korczyńska już była na stacyi i niecierpliwiła się srodze, żałując, że godzina ma aż sześćdziesiąt minut, a minuta sześćdziesiąt sekund, a te sekundy jakże wolno dzisiaj płyną, jakby na złość!

— Pewno już za pół godziny pociąg przyjdzie,—myśli sobie pani Korczyńska i spogląda na zegar. — Ale gdzie tam! Dopiero pięć minut przeszło, dopiero kwadrans na piątą, a o piątej pociąg przychodzi.

Więc znów chodzić zaczyna i w tę i w tę stronę, i znów na zegar spogląda, i znów wzdycha, i znów wpatruje się w przestrzeń, a tu nic i nic... Już piąta dochodziła, a pociągu nie było widać.

— Czy się co nie stało, że pociągu jeszcze niema?— pyta zaniepokojona cokolwiek pani Korczyńska, przechodzącego urzędnika kolejowego.

— Ech, nie! — odpowiada tenże, zirytowany czegoś, — teraz wszystkie pociągi się spóźniają przez te dzieciaki, co walą do szkół, jak na jarmark; przez to tylko kram ciągły i wymyślanie mamy i tyle.

Nareszcie ruch żywszy zapanował na dworcu.

Posługacze kolejowi zajeżdżali z wózkami, szykując się do wyładowania towarowych wagonów. W dali ukazała się biała smuga pary... serce matczyne silniej bić zaczęło. Pociąg widać było coraz lepiej; zrazu maleńki olbrzymiał coraz bardziej, wreszcie z szumem i hukiem wpadł na stacyę.

Zadzwoniono; pociąg zatrzymał się; tłumnie zaczęto wysiadać z wagonów. Pani Korczyńska rozgląda się dokoła, lecz Olesia nigdzie nie widać.

— Może się spóźnił na kolej, a może się już minęli, bo taka masa osób wysiadła?...

Wtem pani Korczyńska słyszy za sobą okrzyk:

— Mateczka kochana!

Ach, ona zna ten głos!

— Tak, to on, to on woła, jej pociecha jedyna!

I nim zdołała się odwrócić, Oleś już zawisł na szyi najdroższej swej mateczki...

X.

Zmartwienie „Łaciny“.

Nazajutrz przed godziną dziewiątą rano, Oleś był już w klasie z Edziem, który ciągle dodawał mu odwagi, mówiąc:

— Nic się, głupi, nie bój, śmiało i z namysłem, to rzecz najważniejsza!

Oleś nadrabiał miną, ale gdy wszedł „Łacina“ i rozpoczął się egzamin, serce mu biło bardzo.

Po pewnej jednak chwili, zaczął zwolna przychodzić do siebie.

„Łacina“ powybierał zdania bardzo łatwe i słówek masami dyktował, a i wskazówek nie poskąpił.

Gdy Oleś odczytał sobie tekst, który miał przetłómaczyć na język grecki i na drugim arkuszu inny, przeznaczony do tłómaczenia łacińskiego, odetchnął, wielki ciężar spadł mu z piersi, poczuł się dostatecznie silnym, by podołać rozłożonej przed sobą pracy.

Więc kilkakrotnie chwycił w siebie masę powietrza, zrobił znak krzyża świętego i w Imię Boże rozpoczął tłó-

maczenie, a widząc, że idzie mu ono dość składnie, bo oto już trzecią część przetłómaczył, a ani jednej wątpliwej kwestyi nie znalazł, począł mruczeć pod nosem z zadowoleniem:

— Poczciwości „Łacina“. On by też na „dryndę“ wybrał co trudnego!

I wielka ochota go zdjęła rzucić pióro na ziemię, pobiedz do „Łaciny“, chwycić go za rękę i do ust przycisnąć; już pióro nawet położył, już chciał się ruszyć z miejsca, lecz rozwaga powstrzymała go. Więc spojrzał tylko wdzięcznym wzrokiem na „Łacinę“, ale ten siedział na katedrze milczący, na nikogo nie patrzył, jeno głowę ukrył w dłoniach i siedział tak zadumany...

— Śpi, czy też udaje? — rozmyśla Oleś. — Gdzie tam! prawda, on tylko pozwala ściągać! — tłómaczy sobie dalej...

A „Łacina“ ocknął się nagle, sięgnął ręką do kieszeni po chustkę, i w trakcie tego Oleś zdążył spostrzedz dwie duże łzy, które spływały po twarzy „Łaciny“.

Dopiero teraz Oleś przypomniał sobie, że koledzy zdający razem z nim mówili mu przed rozpoczęciem egzaminu, jakoby „Łacina“ miał ciężkie jakieś zmartwienie: podobno wszystkie dzieci ciężko mu się pochorowały, i zachodziła obawa, że „Łacina“ wbrew zwyczajowi będzie zły i wybierze wskutek tego trudne „extemporale“.

— Akurat trudne! — myśli sobie Staś; — on by tam dał co trudnego, kochany „Łacina!...“

Łatwiutkie dał zdania, już łatwiejszych chyba być nie może, i słówek dał „jak lodu“, poczciwości „Łacina“,— myśli dalej Oleś, — a teraz oto siedzi na katedrze i płacze. To ci musi być już pewno „cwane“ zmartwienie,

kiedy taki „Łacina“, co ma brodę i wąsy, tak płacze, jak jaki wstępniak!

Więc Olesia złość jakaś porywa na wszystkich i na wszystko i myśli sobie:

— Mój Boże! Dlaczego to na tym świecie tak ciągle smutno i smutno? Gdzie się tylko ruszyć, gdzie się obrócić, to każdy ma jakieś zmartwienie, zgryzotę... Już niechby tam źli ludzie tylko martwili się przynajmniej, ale „Łacina!...“ On taki dobry, takie łatwe dał „extemporale!“ Ach, żeby go też Pan Bóg pocieszył, żeby dał zdrowie wszystkim jego dzieciom, i żeby mu dał jeszcze dużo, dużo dzieci! — życzy mu Oleś w duchu i znów się żegna i znów się modli, ale teraz o „Łacinę“, żeby mu Bóg zesłał pocieszenie.

Już Oleś cały pacierz odmówił i wszystkie modlitwy, które kiedykolwiek umiał, nawet modlitwę przed lekcyą na intencyę „Łaciny“ w duchu wyrecytował, gdy wzrok jego padł na arkusz papieru, przed nim rozłożony...

Ocknął się Oleś i przypomniał sobie o egzaminie...

Spojrzał raz jeszcze na „Łacinę“, ten ciągle siedział na katedrze, a twarz w dłoniach trzymał ukrytą...

— Ale czasu napróżno tracić nie można! — zganił się Oleś. — Cóż ja mogę biedny mu poradzić, pomodliłem się już szczerze na jego intencyę, a teraz trzeba „machać“ ostro i kończyć, to „Łacina“ prędzej będzie mógł pójść do domu; pewno mu się serce tam wyrywa, a tu musi siedzieć.

Więc Oleś pochylił się nad papierem i szybko kreśli litery greckie, te tworzą słowa, ze słów kleją się zdania, i oto robota zbliża się już ku końcowi. Oleś przejrzał wy-

pracowanie uważnie, przepisał i oddał, myśląc sobie, że tak łatwego egzaminu chyba od stworzenia świata nie było.

Oleś jednak mylił się i to bardzo. „Extemporale“ nie było tak łatwe, jak mu się wydawało.

Być może, że gdyby „Łacina“ miał myśl pogodną, wybrałby w samej rzeczy zdania łatwe do tłómaczenia, ale przy nieszczęściu, które nań spadło, nie miał głowy do tego; dwanaście zdań, które mu wpadły pod rękę, podyktował uczniom na egzamin z greckiego i tyleż na egzamin z łaciny.

Przyczyny zatem tego, że Olesiowi tak łatwo egzamin poszedł, należy szukać gdzieindziej.

Oto Oleś nie zmarnował czasu w wakacye, przeszedł dwukrotnie cały kurs trzeciej klasy gramatyki greckiej i zapamiętał doskonale. To samo było z językiem łacińskim.

Oleś na godzinę przed upływem terminu, pierwszy z pośród kilkunastu, oddał „Łacinie“ robotę, a chcąc go wyrwać z odrętwienia, poprosił, żeby ją przejrzał.

— Zdaje się, że bez błędu napisałem, panie profesorze! — zachęcał Oleś.

„Łacina“, przez chwilę zdawało się, że poweselał. Żywiej mu oczy błysnęły, zaczął czytać wypracowanie Olesia, ale zaledwie dwa wiersze przeczytał, ręka mu opadła.

— Dobrze, mój chłopcze, później zobaczę! — rzekł złamanym głosem.

Oleś pozostał chwilę na miejscu, później odwrócił się i cichutko, na palcach, wyszedł z klasy, dając pozostającym kolegom znaki na migi, żeby „galopem“ kończyli.

Gdy Oleś wyszedł na korytarz, podbiegł do niego Edzio i począł wypytywać o wszystko: jak to napisałeś? a jak to? bo Edzio przez cały czas dyktowania przykładał ucho do dziurki od klucza i wiele zdań zapamiętał.

Rozmyślał potem ciągle, w jaki sposób pomódz Olesiowi, gdyż „extempa“, według niego, była dość „trudnawa“.

Naturalnie, że skończyło się tylko na rozmyślaniu, bo komunikacya z klasą w czasie egzaminu była zupełnie przerwana. Edzio wciąż pytał i pytał, ale Oleś dawał odpowiedzi niechętnie. Był jakiś smutny i zamyślony, tak, że Edzio w końcu rzekł:

— Co ty wyprawiasz, pytam się o najtrudniejsze rzeczy i jak widzę, napisałeś je „cwano“, a tak wyglądasz, jakbyś się „lunął“.

— Co się miałem „lunąć“, — rzecze Oleś, — tylko tak jakoś markotno mi strasznie... Wiesz co, „leć“ do mojej mamy, — dodał po chwili, — i powiedz, żem dobrze wszystko napisał, a ja mam jeszcze jeden interes do załatwienia i wkrótce nadejdę.

— Możebym mógł ci dopomódz?

— Zrób tylko to, o co cię proszę!— rzekł Oleś.

— Ha, dobrze! — odparł Edzio, i rozeszli się w przeciwne strony.

Olesiowi ciągle stał na myśli smutny „Łacina“, tak, że formalnie rady dać sobie nie mógł. Nagle przyszła mu pewna myśl do głowy; aby ją szybko w czyn wprowadzić, pozbył się Edzia i skierował swe kroki ku najbliższemu kościołowi.

Kościół był prawie pusty, tylko kobieta jakaś krzyżem na ziemi leżała, ksiądz w konfesyonale słuchał spo-

wiedzi inną kobietę, a dziadek kościelny krzątał się po kościele, sprzątając tu i owdzie. Oleś ukląkł i począł się modlić; po chwili wstał, zbliżył się do mosiężnej puszki, na której dużemi literami było wypisane: „Ofiara na odnowienie kościoła“, sięgnął do kieszonki, i wkrótce dał się słyszeć trzykrotnie stuk spadającej do wnętrza puszki monety... To trzy ruble Olesia, które dostał od mamy, wyjeżdżając na wakacye, spadły tam do puszki.

Ksiądz przed chwilą skończył spowiedź i miał zamiar udać się do zakrystyi. Spostrzegłszy ofiarę Olesia, zatrzymał się we framudze i zaczął mu się bacznie przyglądać. Ten, nie wiedząc, że jest obserwowany, zbliżył się do ołtarza, ukląkł i modlił się półgłosem w ten sposób:

— Oto, Panie Boże, wszystkie pieniądze Ci oddaję na chwałę Twoją; już nie będę mógł z mamusią iść na „Pana Twardowskiego“, ale za to racz rzucić okiem na nieszczęście „Łaciny“ i daj zdrowie jego dzieciom!

Poczem szybko wyszedł z kościoła, a wzruszony kapłan drżącą ręką począł kreślić za wychodzącym krzyż błogosławieństwa...

XI.

Nowe mieszkanie.

Przez czas nieobecności Olesia, w mieszkaniu pani Korczyńskiej toczyły się układy między nią i panem Bielickim o przyjęcie na stancyę Edzia i Władzia.

Nie ulegało najmniejszej kwestyi, że mieszkanie trzeba wynająć znacznie obszerniejsze i bliżej gimnazyum, ale pan Bielicki stawiał warunki tak korzystne, że pani Korczyńska skwapliwie je przyjęła.

Pani Korczyńska, jako przekonana, że Edzio i Władzio do zbytków są przyzwyczajeni, wyłuszczyła swoje obawy panu Bielickiemu. Ale pan Bielicki prędko uspokoił ją co do tego, prosząc, aby jak najprostsze potrawy chłopcy jego jadali, chce bowiem usilnie, żeby odwykli cokolwiek od frykasów, którymi obsypywała ich w domu matka, bo popierwsze, szkodzi zdrowiu takie opychanie się od rana do nocy rozmaitemi łakociami; podrugie,

pan Bielicki pragnął, aby synowie jego zahartowali się w znoszeniu niewygód, aby dzieci jego wyrosły na zdrowych i silnych ludzi, a nie wychuchanych paniczyków, których lada zimniejszy podmuch wiatru z nóg zwalić może i nabawić choroby.

— Chciałbym, — mówił pan Bielicki, — żeby o ile możności, obsługiwani byli jak najmniej, sami niech sobie ubranie i buty wyczyszczą i wody do mycia przyniosą.

— Niechże Bóg broni, aby mieli tu na kogo oglądać się, przeciwnie sami sobie powinni wystarczyć. Uprzedzam panią, że z Władziem będzie pani miała dużo kłopotu, bo to ulubiony pieszczoch matki, no, i mój niestety, — dodał po chwili; — lubi on grymasić i kaprysić, ale spodziewam się, że jak rodziców przy sobie widzieć nie będzie, prędko się ustatkuje.

— Co się tyczy pana Stadnickiego, prosiłbym, aby miał wszelkie wygody; nie chcę bowiem krępować go w niczem. Jestem w zupełności przekonany, że sumiennie czuwać będzie nad mojemi dziećmi i spełni swój obowiązek godnie, w czem pani, równie pewny jestem, dzielnie mu sekundować będzie, bo, kto tak potrafił wychować jedyne dziecko, na tym polegać można.

A matce serce aż zabiło z radości, że tak chwalą jej jedynaka, rumieniec okrasił blade jej oblicze, i uśmiech szczęścia zaigrał na ustach.

W tej chwili wszedł Edzio i zdziwił się mocno, zastawszy ojca w mieszkaniu Korczyńskiej. Szybko uwiadomił ją o pomyślnym, według wszelkiego prawdopodobieństwa, egzaminie Olesia, który lada chwila miał nadejść.

— Doskonale się składa, — rzekł pan Bielicki, — poczekamy na niego i wszyscy razem pójdziemy szukać nowego mieszkania; spełni się twoje życzenie, mój synu, będziesz mieszkał z Olesiem. Pani Korczyńska była tak łaskawa, że nie odmówiła mojej prośbie i przyjmuje was do siebie. Na ciebie wkładam obowiązek czuwania nad Władziem, jesteś starszy i rozsądniejszy od niego; spodziewam się, że będziesz się dobrze zachowywał, aby być przykładem dla młodszego brata.

Edzio ogromnie wzrósł w dumę, że ma zostać opiekunem, wyprostował się i rzekł z powagą:

— Niech, tatko, będzie spokojny, już ja Władziowi „brykać“ nie pozwolę.

Pan Bielicki uśmiechnął się i dodał:

— Bylebyś sam tylko nie zasłużył na naganę, pamętaj, mój chłopcze!

W tej właśnie chwili wbiegł Oleś w ogromnie dobrym humorze, a gdy dowiedział się o zaszłem postanowieniu, zaniemówił przez chwilę z radości, później rzucił się do ręki pana Bielickiego, a choć ten chciał mu ją wyrwać, serdecznie ją ucałował.

Wszyscy udali się na poszukiwanie mieszkania. Pani Korczyńska wzdragała się trochę, mówiła, że sama poszuka, i że pan Bielicki niepotrzebnie się fatyguje, ale on nie chciał ustąpić, mówiąc, że ponieważ przysparza dużo kłopotów w przyszłości pani Korczyńskiej, chce chociaż tą błahostką okazać swą wdzięczność dla niej.

Poszukiwania uwieńczone zostały wkrótce pomyślnym skutkiem; na ulicy Marszałkowskiej znaleziono mieszkanie na drugiem piętrze, w zupełności odpowiada-

jące wymaganiom pana Bielickiego. Składało się ono z czterech pokoi, miało dwa wejścia i co najważniejsza, stało pustkami już od Ś-go Jana. Zaraz nazajutrz miała pani Korczyńska przeprowadzić się na nową siedzibę i przygotować się przez czas egzaminów Władzia na przyjęcie nowych i do tego stałych gości.

XII.

Władzio.

Władziowi egzaminy poszły nieźle. Został umieszczony na liście wiszącej w korytarzu gimnazyum, co prawda, jako jeden z ostatnich kandydatów, bo, chociaż nikomu słowa nie pisnął, ale w dyktandzie rosyjskiem napisał „wremia“ przez „jat'“ i omal nie odpadł; ale, że inni widać więcej jeszcze błędów zrobili, a miejsc było dosyć, więc został przyjęty.

Jednakże pana Stadnickiego ubodła ta okoliczność, że Władzio nie był umieszczony między pierwszymi, lecz gdzieś na szarym końcu, poszedł do kancelaryi i zapytał o przyczynę. Dowiedziawszy się o wyżej wymienionym błędzie ortograficznym dużej miary, począł wymówki robić Władziowi, że tak nieuważnie pisał dyktando.

Ale Władzio zaparł się wszystkiego w żywe oczy, to nieprawda, że on napisał „wremia“ przez „jat'“, bo on nie jest taki głupi, to w kancelaryi omylili się i na złość źle powiedzieli.

Pan Stadnicki nic już nie mówił, bo nie chciał psuć

humoru Władziowi, który, włożywszy ręce w kieszenie, z dumą już od pięciu minut stał przed listą i z zachwytem wpatrywał się w swoje nazwisko.

A za nim stali: tatko, pan Stadnicki, Edzio i Oleś; wszyscy z uśmiechem patrzyli na chłopca, który, zdawało się, że pragnie zjeść oczyma ową sławną listę.

Nagle Władzio odwrócił się do ojca i rzekł śpiesznie, chwytając go za rękę:

— Tatku, chodźmy do krawca obstalować długie spodnie, bo już teraz nie wypada mi chodzić w takich krótkich!

Pan Bielicki roześmiał się i zapytał:

— Cóż, bardzo jesteś dumny z tego, że zostajesz uczniem gimnazyalnym?

— Ma się rozumieć! — odparł z powagą Władzio i spojrzał tak majestatycznie na wszystkich, jakby, co najmniej, koronę królewską dźwigał na głowie.

A Oleś nachylił się do ucha Edzia i szepnął mu z odcieniem politowania:

— Ma też być z czego dumny, ale z tego, że „wstępniakiem“ został!...

Olesiowi również można było powinszować, bo dzisiaj dowiedział się, że z łaciny i z greckiego po czwórce dostał i promocyę do czwartej klasy, co prawda, późno, ale miał w kieszeni; więc w świetnym był humorze, bo przytem zauważył, że „Łacina“ jakiś weselszy już teraz, więc, widocznie, dzieciom jego znacznie lepiej być musi.

Po chwili rozeszli się wszyscy. Pan Stadnicki poszedł za swoimi interesami; Oleś i Edzio wybrali się do Łazienek na przechadzkę: chciał z nimi podążyć i pan Bielicki, ale Władzio ciągnął go za rękaw gdzieindziej, gdyż

już wczoraj dowiedział się, że krawiec, u którego tatko miał obstalować dla niego ubranie, posiada sklep w przeciwnej zupełnie stronie.

Pan Bielicki uległ żądaniu Władzia i skierował swe kroki ku sklepowi. Władzio pędził prawie kłusem, jakby obawiając się, żeby się nie spóźnił, u krawca aż na palcach się podnosił, żeby spodnie były dłuższe, a wychodząc ze sklepu, ucałował na podziękowanie serdecznie rękę dobrego tatki i rzekł:

— A niech tatko, jak tatko pojedzie do mamusi, nie zapomni mamusi powiedzieć, że mnie dzisiaj powiesili w gimnazyum na korytarzu.

XIII.

Pierwsze kroki.

W tydzień już później, trzech uczniów o godzinie wpół do dziewiątej rano, dążyło w stronę gimnazyum. Dwaj chłopcy równego prawie wzrostu, żywo rozprawiali między sobą o sprawach szkonych, mało zwracając uwagi na przechodzących. Byli to Edzio i Oleś.

Trzeci zaś, Władzio, szedł trochę skulony, chociaż minę miał sierdzistą nielada. Potrącał przechodniów, niby to nienaumyślnie, chcąc zwrócić na siebie uwagę, a potem z poważną miną mówił:

— Przepraszam, ale mi się straszliwie śpieszy do gimnazyum.

Uchylał czapeczki i dążył dalej za Edziem i Olesiem, którzy, starsi znacznie od niego, szli prędkim krokiem, tak, że Władzio biedz prawie musiał, aby ich dogonić. Ale nie zwracał na to uwagi, owszem, uważał sobie za punkt honoru, dotrzymywać im ciągle placu.

Więc kroki stawiał bardzo szerokie, machał rękoma, jak wiatrak, ale i to niewiele pomagało, bo ciągle pozosta-

wał w tyle, a że jeszcze potrącał wiele osób, a potem zatrzymywał się i przepraszał, a później pędem gonił Edzia i Olesia, więc, dochodząc do gimnazyum, zmęczył się ogromnie.

Władzio chodził ciągle po ulicy skulony jakiś, gdyż ciągle mu się zdawało, że ma za krótkie spodenki, i wskutek tego wszyscy się z niego śmieją.

Ale nikt na malca uwagi nie zwracał, chyba ktoś potrącony przezeń odzywał się z jakiem cierpkiem słówkiem.

Zdarzyło się, że jakiś pan, któremu Władzio nadepnął na nogę, rzekł doń z gniewem:

— Uważaj, smarkaczu, jak łazisz!

Tego dla Władzia już było za wiele. Zatrzymał się wzburzony, rumieniec oblał jego twarzyczkę, i rzekł z gniewem:

— Jakiem prawem pan się tak do mnie odzywa, jak do byle kogo; chyba pan nie widzi, że jestem ze wstępnej klasy?

— Przepraszam bardzo, myślałem, że pan dobrodziej, co najmniej z piątej klasy!

I odszedł dalej.

Więc Władziowi aż oczy zaiskrzyły się z radości, że już na piątoklasistę wygląda, i że nazwano go panem dobrodziejem; wyprostował się przeto, głowę podniósł dumnie do góry, lecz przeholował cokolwiek, bo wyglądał, jakby czego na niebie szukał i tak szedł, wyciągając nogi jak żóraw.

Jedna z przechodzących pań, widząc jego nienaturalne ruchy, parsknęła śmiechem. Władzio spostrzegł to

ii w tej chwili skulił się, odgadł bowiem przyczynę tego śmiechu, i rozgniewany mruczał przez zaciśnięte zęby:

— A nie mówiłem tatce i krawcowi, że majtki są za krótkie!

Zmartwiony srodze, jął gonić Edzia i Olesia, którzy go znów o spory kawałek drogi wyprzedzili...

XIV.

Rywale.

Lekcye rozpoczęły się już na dobre.

Nauczyciele już od dwóch tygodni wchodzili do klas z dziennikami i stawiali stopnie.

Edzio dostał już dwie piątki, co w bardzo zły humor wprawiało Stasia Barwińskiego, który, słysząc świetne odpowiedzi Edzia, coraz bardziej nabierał przekonania o słuszności ostrzeżenia, udzielonego mu przez dyrektora.

Staś dobrze zapamiętał jego słowa, całe wakacye rozmyślał o tym przyszłym rywalu, który teraz oto siedzi tuż za nim w drugiej ławce i, kto wie, czy mu palmy pierwszeństwa nie odbierze. Więc rzucał niechętne spojrzenia za siebie, tem bardziej, że koledzy zupełnie się od niego odsuwać zaczęli, a przyczyną tego był nienawistny Edzio.

Za dawnych lat było inaczej; wszyscy uczniowie zawsze zwracali się tylko do Stasia o objaśnienie tej lub innej kwestyi.

A Staś zawsze dawał im odczuć swą wyższość, zaw-

sze przytem dawał do zrozumienia, jaką to on wielką łaskę wyświadcza, często jednak odmawiał wszelkiej pomocy i w dodatku wyśmiewał się z tych, którzy o danej rzeczy błędne mieli pojęcie.

Tymczasem teraz już prawie nikt się doń nie zwraca; każdy dąży do Edzia, który z wielką uprzejmością wytłómaczy wszystko, nie zniechęcając się wcale, nieraz nawet po kilka razy trudniejszą rzecz wyjaśnia, a nigdy nie ma zwyczaju poprzestawać na powierzchownej wskazówce, przeciwnie, objaśnia rzecz całą gruntownie i tak jasno, tak zrozumiale, że najbardziej niepojętny chłopiec odchodzi od niego, dużo korzystając.

Więc koledzy garnęli się do Edzia, jak pszczoły do miodu, a on zadowolony był bardzo, że tak łatwym sposobem zyskuje sobie coraz większą sympatyę między kolegami.

Staś coraz większą nienawiścią pałał ku Edziowi i z utęsknieniem oczekiwał chwili, kiedyby mu się noga mogła powinąć.

Ale przechodził dzień za dniem, mijały tygodnie, a Edzio miał same piątki. Nie miał i Staś czwórki ani jednej, co prawda, ale gryzło go i bolało to, że znalazł się drugi, który ma takie same zupełnie stopnie, jak on, a tu przedmioty coraz trudniejsze; cóż więc łatwiejszego, jak „złapać“ jaką czwórkę i dać się wyprzedzić niebezpiecznemu rywalowi.

Więc Staś podwoił swoją pilność, gruntowniej jeszcze, niż przedtem, przygotowywał się do lekcyi, pisał staranniej, niż dawniej, i książki trzymał w wielkim porządku.

Ale coż, kiedy i Edzio nie zasypiał gruszek w po-

piele, i jego kajety z przyjemnością nauczyciele przeglądali i jego chwalili za porządek i jemu tak samo stawiali same piątki.

Jeszcze jedną jedyną nadzieję miał Staś, że zwycięży współzawodnika: nadchodziły decydujące przed cenzurami „extemporalia“ greckie i łacińskie, a że Staś te przedmioty świetnie posiadał, więc liczył na to, że może Bóg da, iż Edzio zrobi choć jeden duży błąd i piątkę na cenzurę nie otrzyma ze starożytnych języków, a przynajmniej chociażby z jednej łaciny, albo z jednego „greka“.. to i tak Staś utrzymałby się przy pierwszeństwie.

Ale zwrócono „extemporalia“, i Edzio otrzymał tak samo, jak i Staś, po piątce z obydwóch przedmiotów.

Klasa już od dwóch tygodni śledziła z ogromnem zaciekawieniem przebieg tej interesującej walki między Edziem a Stasiem. Sympatya klasy była po stronie Edzia.

Wszyscy z nietajoną radością przyjmowali każdą nową jego piątkę, a zacierali ręce, gdy i Staś z tegoż przedmiotu piątkę na cenzurę otrzymywał, nie przez sympatyę dla niego, broń Boże! tylko, że walka przedłużała się, a że niewiadomo było wcale na czyją stronę przechyli się zwycięstwo, stawała się przeto coraz bardziej interesującą.

Już przed samemi cenzurami wielki kłopot miał Roman Żelski, który prowadził pokątny dziennik w klasie, to jest, zapisywał stopnie wszystkich kolegów i na parę dni przed końcem kwartału formował listę uczniów według pierwszeństwa.

— Wiecie panowie co! — wołał raz podczas pauzy do kolegów, — głupieję formalnie, kogo zrobić prymusem, bo oni obydwaj mają same „piony“.

Jedni utrzymywali, że Staś pozostanie prymusem „antiquo modo“, jak się wyrażali, to jest po staremu, w uznaniu zasług; drudzy zaś twierdzili przeciwnie, że Edziowi dadzą pierwszeństwo, jako „nowemu“ dla zachęty, ale jak ci, tak i tamci nie byli pewni, co się stanie.

Żelski nazwał Edzia i Stasia „wyścigowcami“, którzy ścigają się już kwartał, a ciągle „idą głowa w głowę“.

Przezwiska te przyjęły się ogólnie, dodawano tylko dla rozróżnienia wyrazy: „nowy“ i „stary“.

„Starym wyścigowcem“ został Staś, a Edzio był „nowy wyścigowiec“.

Niektórzy nawet pozakładali się o dziesięć stalek, jedni trzymali za starym, drudzy — za nowym, i cieszyli się bardzo, że chociaż nie wolno było pod groźbą surowej kary chodzić uczniom na wyścigi, oni codziennie, na złość, mogą patrzeć na nie, a nawet robią między sobą takie poważne zakłady.

W wigilię rozdawania cenzur nie było w klasie ani jednego ucznia, któryby chociaż jednego biletu za dziesięć stalek nie postawił na Stasia lub Edzia.

Najbogatszy w klasie Natan Grünberg postawił dla pewności sto stalek na Edzia i sto stalek na Stasia; ten był przynajmniej pewny, że w żaden żywy sposób przegrać nie może.

Oleś przez dwa dni nie kupował sobie śniadania i trzymał za Edziem aż dwa bilety, modląc się w duchu o zwycięstwo dla swojego faworyta, nie przez chęć zysku bynajmniej, lecz przez miłość dla tego, który go coraz bardziej, jak i innych, za serce chwytał. Roman Żelski zaprowadził specyalną księgę na tego osobliwego totalizatora i zapisywał skrupulatnie wszystkie stawki,

a tak mu się to podobało, że ogłosił inny jeszcze „wyścig“, mianowicie, kto będzie ostatnim uczniem w klasie, czyli „prezesem“. Ale jakoś nikt nie chciał stawiać stalek, bo doskonale wszyscy wiedzieli, że prezesem będzie sam Roman Żelski, więc rzecz nie przedstawiała żadnego interesu, a po drugie, jakżeż tu było Żelskiemu wprost w oczy gadać, że się na niego stawia, mógł „zwymyślać“ od ostatnich... W samej rzeczy Żelski wcale się nie spodziewał, ażeby miał otrzymać ten wysoki urząd, należał bowiem do tych, którzy mówią:

— Jakoś to będzie! i wciąż się cudu spodziewają...

— Może będę miał dwie... no, trzy „dwóje“, przecież chyba więcej mi nie postawią! — rzekł w duchu, — to i tak znajdą się tacy, co będą mieli po pięć i po sześć „cwajerów...“

Więc w lubem oczekiwaniu całej masy trójek, które rzeczywiście byłyby cudowne, notował z całym zapałem stawki na Edzia i Stasia; płynęły one tak gęsto, jak owe dwójki, które w tym właśnie czasie wypisywał mu na cenzurze gospodarz klasy...

XV.

Pierwsze cenzury.

Nazajutrz dyrektor obchodził kolejno wszystkie klasy, czytając listę uczniów według stopni i wszędzie powtarzając swoją stereotypową mowę.

Wszedłszy do czwartej klasy, zaczął od zwykłych słów:

— Ut sementem feceris, ita metes!

Lecz, o dziwo! mowa zaczynała zmieniać zakończenie, bo zawierała prócz zwykłych słów mniej więcej następujące:

— Prawdziwą niespodziankę zrobiła nam w bieżącym kwartale czwarta klasa, bo jest u was dwóch pierwszych uczniów, Barwiński i Bielicki. Ku waszemu zdziwieniu, mają oni wszystkie piątki, i żadnemu z nich pierwszeństwa nad drugim przyznać nie można, więc oto macie dwóch prymusów. Winszuję wam wszystkim tego zaszczytu.

— Zyskuje na tem cała klasa, — dodał zadowolony dyrektor,—bo niema u was ostatniego ucznia, czyli czter-

dziestego siódmego, jest tylko czterdziesty szósty, a tym właśnie czterdziestym szóstym jest Roman Żelski. Ut sementem feceris, ita metes, mój Żelski!

Dyrektor zawsze tym zwrotem starał się obrzydzić uczniom wszystkie figle i złe stopnie.

A Żelski stał z zaciśniętemi ustami, zrozumiał nareszcie, że cudu nie będzie. Jednak wcale się tem, co nastąpiło, nie martwił, nie miał czasu na takie głupstwa, całą myśl jego pochłonęło pragnienie zemsty, a najbardziej na „Ostrydze“, nauczycielu algebry i geometryi, który pierwszy rok dopiero był w gimnazyum i tyle „dwój“ nastawiał.

Ale Żelski oduczy go od tego, zemści się za siebie i za swoich kolegów, oho, nie daruje mu tego, on go nauczy!...

Zemści się... jak?... jeszcze nie wie, ale jak „matkie“ kocha, „jak mu Boga przy skonaniu potrzeba“, tak „Ostrydze“ nie daruje...

Po wyjściu dyrektora, „Łacina“, jako gospodarz klasy zaczął rozdawać cenzury, poczem wywołał na środek klasy Barwińskiego i Bielickiego i winszował im tak zaszczytnej rywalizacyi, namawiając, by nadal równie bezskutecznie walczyli ze sobą o palmę pierwszeństwa, niechaj żaden z nich nie pozwoli wydrzeć sobie tak zaszczytnego miejsca, lecz, przeciwnie, wspierając się w razie potrzeby, niechaj idą dalej tak ręka w rękę, a opromieniać będą całą klasę, wyróżniając ją z pomiędzy wszystkich klas gimnazyum.

— Prawdziwie szczęśliwym się czuje, — ciągnął dalej „Łacina“, — że mnie z pośród grona nauczycieli przypadło w udziale przewodniczyć tak dzielnej garstce młodzieży, która aż dwóch prymusów posiada. Podajcie so-

bie ręce serdecznie, po bratersku, niechaj nigdy zazdrość nie zagrzeje miejsca w sercach waszych, bo uczucie to niegodne jest szlachetnego człowieka.

Z niekłamaną radością słuchał tych słów wzruszony Edzio i z zapałem wyciągnął rękę do Stasia...

Staś podał mu rękę, podał, bo nie mógł inaczej postąpić; gdyby tego nie uczynił, mogłoby to złe wrażenie wywrzeć na „Łacinie", a wszak „Łacina" był gospodarzem klasy, więc pozbawić się jego względów, znaczyło to samo, co dobrowolnie w przyszłości oddać zwycięstwo w ręce nienawistnego rywala. Więc chociaż słowa dyrektora i „Łaciny" ciężkim brzemieniem padły na serce Stasia, ale ręki nie cofnął, przysięgając sobie w duszy, że do razu sztuka, i że na Boże Narodzenie jeden tylko prymus będzie; naturalnie Staś myślał tu o sobie...

Po braterskim, według mniemania „Łaciny", uścisku dłoni, rozeszli się dwaj prymusi na swoje miejsca.

A „Łacina" zwrócił się teraz do Żelskiego ze słowami pociechy.

— Nie rozpaczaj, mój chłopcze! — rzekł. — Od twej własnej woli wszystko zależy. Pierwszy kwartał może nie mieć wielkiego wpływu na promocyę, gdyż jeżeli, nie zwlekając ani chwili, szczerze weźmiesz się do pracy, możesz mieć nadzieję przejścia do klasy piątej. Że pracą usilną cudów dokonać można, przykładem niechaj ci posłuży Korczyński...

Usłyszawszy to, Oleś zmieszał się okrutnie i zerwał na równe nogi, a spuściwszy oczy, stał zarumieniony, z upojeniem słuchając następnych słów ukochanego „Łaciny".

A „Łacina" mówił, że Oleś w trzeciej klasie bardzo

źle stał w łacinie i greckim, i w tych przedmiotach był jednym z najsłabszych uczniów, a przez wakacye tak pokrył wszystkie braki, że już na początku bieżącego kwartału „Łacina“ był zdumiony. Ostatnie extemporale greckie Korczyński napisał nawet na piątkę, lecz „Łacina“ przeprasza go, że piątki mu w tym kwartale na cenzurrę nie postawił, ale jeżeli Korczyński wytrwa nadal w pracy i utrzyma się w drugim kwrtale na teraźniejszym poziomie, to „Łacina“ z przyjemnością mu piątkę postawi na gwiazdkę.

Tu Oleś nie mógł wytrzymać, przeskoczył przez ławkę, przypadł do „Łaciny“ i z całej siły pocałował go w rękę.

A „Łacina“ w pierwszej chwili zdumiał się ogromnie, lecz wnet przycisnął chłopca do piersi i ucałował w głowę serdecznie, a cała klasa cieszyła się i śmiała, bo niebywały był to dla niej widok, żeby się „sztubak“ z „belfrem“ całował...

„Łacina“ wnet się pomiarkował i, odsuwając Olesia od siebie, rzekł, udając rozgniewanego:

— Co robisz, waryacie?

Sądził biedak, że tem uspokoi rozbawioną klasę, ale stało się wręcz przeciwnie, niektórych ogarnął szał wesołości, poczęli wprost tupać nogami i krzyczeć nagłos:

— Sam profesor całował, a teraz udaje, że wymyśla.

I klasa śmiała się coraz bardziej, śmiała do rozpuku, a „Łacina“ zaambarasowany był nielada i nie wiedział, co ma robić, tylko gładził się ręką po łysinie i prosił, prosił, aż wreszcie zaczęli się uspakajać wszyscy i po kilku minutach jaka taka cisza zapanowała w klasie.

Po wyjściu „Łaciny“ rzucili się wszyscy do Żelskiego z zapytaniem, który wyścigowiec wygrał.

A Żelski z zaciśniętemi ustami zwracał wszystkim stalki, bo wyścig był nierozegrany, gdyż konie (niby Edzio i Staś) przyszły do mety głowa w głowę. Każdemu się przytem żalił na niesprawiedliwość „Ostrygi“, który go zgubił, ale on zemści się, oduczy go raz na zawsze od stawiania dwój...

Wśród kilku niezadowolonych z dnia dzisiejszego znajdowali się Staś i Edzio: Staś, że nie mógł pokonać Edzia, Edzio zaś, że jest przedmiotem nienawiści Stasia, z którą ten wcale się nie ukrywał. Edzio bowiem, biorąc rękę Stasia, podaną mu w obecności „Łaciny“, poczuł, że ręka ta nie jest mu przyjazną, lecz przeciwnie wrogą, bo uścisku za uścisk Staś nie oddał wcale, ograniczając się tylko na powierzchownem podaniu ręki... tak, dla oka „Łaciny...“ Więc Edzio już myślał w duchu przez chwilę dać się zwalczyć w drugim kwartale, by położyć raz tamę zwiększającej się z każdym dniem niechęci Stasia, i zwierzył się z tym zamiarem Olesiowi.

Ale Oleś aż się za głowę złapał, jak to usłyszał; wnet począł tłomaczyć i przekładać Edziowi, że dla honoru klasy powinien walczyć z tym samolubem Barwińskim i żeby tam nie wiem co — „nie dać mu się“, a po drugie dla „Łaciny“ powinien Edzio dbać o to, by w klasie było dwóch prymusów.

— Bo cóż chcesz, bracie, — mówił Oleś, — „Łacina“ może jaki order dostać, albo co....

Barwiński silną markę posiadał bez wyjątku u wszystkich kolegów, wszak byli przez kilka lat świadkami ciągłych jego tryumfów. Na nową gwiazdę klasy czwar-

tej — Edzia patrzano z podziwem i uwielbieniem, lecz powszechne było przekonanie, że Edzio ulegnie w drugim kwartale, bo teraz Barwiński, jak się weźmie do roboty, to no!...

Jeden chyba Oleś wierzył w Edzia, lecz i on nie marzył a tem, aby Edzio mógł odebrać zupełnie palmę pierwszeństwa Barwińskiemu, więc namawiał go tylko do tego, żeby „się nie dał“ tamtemu, przysięgając sobie w duszy, że będzie pilnował Edzia, by w pracy nie ustawał i w drugim kwartale znów był prymusem razem z Barwińskim.

XVI.

Cenzura Władzia.

Władzio z miną tryumfującą wracał do domu: był dwudziestym piątym uczniem; więc o ile z uszanowaniem patrzył na dwudziestu czterech, którzy byli przed nim, o tyle za nic nie miał dwudziestego szóstego ucznia, choć cenzura jego prawie wcale nie różniła się od cenzury Władzia, który zwyciężył tylko przez piątkę z kaligrafii.

Ale malec uważał kaligrafię za przedmiot najważniejszy, chociażby dlatego, że właśnie tylko z kaligrafii miał celujący; wśród innych stopni królowała wszechwładnie trójka; tylko czwórka z religii i piątka z owej kaligrafii psuły ogólną trójkową harmonię; ba! nawet sprawowanie, uwaga i pilność nie śmiały jej zepsuć i zastosowały się do ideału Władzia, t. j. trójki.

Władzio był przedostatnim z tych, którzy nie mieli żadnej dwójki, gdyż dwudziesty siódmy z kolei rozpoczynał już seryę „dwójkowiczów".

Jeszcze w czasie wakacyi Władzio słyszał ciągle, jak Oleś wzdychał do tego, żeby na „poprawce" chociaż

trójkę mógł dostać, więc wyobrażał sobie trójkę, jako stopień znakomity, do którego z całych sił wzdychał, rozpoczynając nauki, a w czasie wakacyi uroczyście ślubował sobie w duchu, że zawsze świetnie uczyć się będzie, i będzie miał same trójki przez cały rok.

Z początku Władzio uczył się doskonale, ale na nieszczęście zbliżył się z niejakim Piórkiewiczem, który na drugi rok w klasie wstępnej pozostał i wogóle dosyć sceptycznie zapatrywał się na czwórki i piątki.

Wkrótce Piórkiewicz stał się mentorem Władzia, wytłómaczył mu, że o czwórki i piątki starać się nie warto, że trzeba siły oszczędzać na wyższe klasy, a gdy Władzio wspomniał, że pan Stadnicki straszliwie się gniewał o trójkę jedną z dyktanda, wprost mu powiedział, że ten pan nie może się znać na rzeczy, bo do gimnazyum nie chodzi.

Władzio bardzo szybko przejął zasady mistrza, zaczął oszczędzać swoje siły i w bardzo szybkiem tempie spadł do granic swego ideału, to jest do trójki. Tylko dwójek bał się Władzio, jak ognia, bo tych strzegł się nawet Piórkiewicz, ale że żadnej w tornistrze do domu nie dźwigał, więc lekko mu było na duszy i idąc przez ulicę, podśpiewywał sobie.

— Co jednak powie pan Stadnicki na taką masę trójek, — przeszło mu nagle przez głowę, ale wnet pocieszył się, bo przecież mógł mieć ze dwa albo trzy „cwajery“, toby gorzej było.

Zresztą, cóż to właściwie jest ta czwórka lub piątka, rozumował dalej Władzio (bo Władzio był potrosze filozofem i nad wszystkiem rozmyślać lubił), cóż to jest? Tak samo stopień i tyle... Ten co czwórkę ma, umie trochę

lepiej od tego, co ma trójkę, i kwita! a ten, co ma piątkę, umie odrobinę lepiej od tego, co ma czwórkę; więc jest się też o co dobijać, Boże kochany!

— W samej rzeczy, — gadał do siebie malec, — mam racyę i niema wątpliwości najmniejszej; trzeba to będzie wytłómaczyć panu Stadnickiemu. Dziwny człowiek z tego pana Stadnickiego! żeby jemu tak przyszło chodzić do wstępnej klasy, oho, z pewnością miałby znacznie gorszą od Władzia cenzurę; a miałby piątkę z kaligrafii? Akurat! Pisze tak, że go trudno przeczytać. Słowo daję, — mruczał do siebie z zadowoleniem,— że pan Stadnicki bazgrze, jak kura patykiem.

Tylko najgorzej to z tem sprawowaniem. Władzio wiedział, że ze sprawowania trzeba mieć bezwarunkowo piątkę, bo gospodarz klasy wstępnej wyraźnie zapowiedział, że kto będzie miał przez cały rok ze sprawowania trójkę, nie będzie dopuszczony do egzaminu. A tu jeszcze pan Stadnicki ciągle Władzia upominał, żeby siedział spokojnie na lekcyach.

— Oj, będzie źle! — myśli sobie Władzio, — ta trójka ze sprawowania zaczyna mi się niepodobać; szkoda, żem wcześniej o tem nie pomyślał.

Ale pocieszył się zaraz, bo słyszał, jak starsi mówili: „lepiej późno, niż nigdy“, przytem, czyż to podobna całą godzinę wytrzymać, żeby do kogo słówka nie zagadać?

Więc gdy Władzio przez cały kwartał tej zasady się trzymał, nic dziwnego, że źle był notowany u nauczycieli, bo i sam nie uważał i innych od uwagi odrywał.

— Tylko to szkoda, — myśli dalej Władzio, — że

onegdaj temu swojemu koledze Piórkiewiczowi dał „w zęby“, ale po co się „stawiał“.

Zresztą nieszczęście całe, że zobaczył to ten nieznośny „Kaligraf“ (nauczyciel kaligrafii) i poskarżył się gospodarzowi klasy. Jednak „Kaligraf“ zrehabilitował się w oczach Władzia, bo postawił mu „pionę“ na cenzurę.

Władzio ma żal tylko do tego „smarkacza“ Piórkiewicza, dwudziestego szóstego ucznia, nie dlatego, broń Boże, że Piórkiewicz porządnego szturchańca dostał, tylko że „się stawiał“, a wskutek tego był przyczyną całego zajścia.

Tak, trzeba to będzie wytłómaczyć panu Stadnickiemu, że wina stanowczo leży po stronie Piórkiewicza.

Jak widzimy, stosunek Władzia do mistrza Piórkiewicza cokolwiek się zmienił: uczeń „łoił“ niemal codzień mistrza i w prędkim czasie zupełnie go zawojował: Pórkiewicz wprawdzie próbował kilka razy przywrócić sobie dawną przewagę nad Władziem, ale wszystkie te próby kończyły się tem, że „dostawał od niego porządnie w zęby“.

Pan Stadnicki aż się za głowę wziął, ujrzawszy cenzurę Władzia, a chociaż Władzio od pięciu minut już powtarza bezustannie, że cenzura jest świetna i że ma „pionę“ z kaligrafii, pan Stadnicki chodzi po pokoju zagniewany.

Zniecierpliwiony Władzio zastępuje mu drogę, i gestykulując rękoma, zapytuje:

— No, panie, czegóż się pan tak gniewa, mam dwóję?

— Czekaj, smarkaczu! — odpowiada na to pan Stadnicki, — już ja się od dzisiaj do ciebie zabiorę, a zacznę

od tego, że za karę za tę świetną cenzurę nie dostaniesz wcale obiadu!...

Władzio zdrętwiał z przestrachu: na obiad miały być kotlety cielęce z groszkiem, za którymi Władzio przepadał; myśl o kotletach i zielonym groszku towarzyszyła mu dzisiaj do gimnazyum, a i tam nie opuszczała go ani na chwilę. (Władzio, wychodząc z rana do szkoły, zawsze miał zwyczaj pytać się kucharki, co będzie tego dnia na obiad).

Więc przeraził się naprawdę, pan Stadnicki bowiem nigdy nie żartował, a co powiedział, musiało być spełnione i nie ulegało żadnej apelacyi; a tu w dodatku Władzio powracał z gimnazyum z apetytem prawdziwie wilczym, bo śniadania przez roztrzepanie zapomniał zabrać, i łykał ślinkę, co najmniej, na trzy największe kotlety i czubaty talerz groszku zielonego; a teraz to wszystko ucieka przed nim, jak przed jakimś Tantalem, o którym coś tam dziś opowiadał jeden z nauczycieli, że jakieś jabłka znakomite od ust mu uciekały, a także i woda, pewno sodowa z malinowym sokiem. Dlaczego to, według Władzia miała być „pewno“ sodowa woda i do tego z malinowym sokiem, niewiadomo, może dlatego, że jak napój ten, tak również i kotlety z groszkiem słabą stronę Władzia stanowiły. Żal mu było bardzo tego biednego Tantala. Władzio serdecznie mu współczuł i za żadne skarby świata nie chciałby być na jego miejscu, a tu nawet nie za skarby świata, ale za jakąś głupią cenzurę ma się teraz zabawić w tego nieszczęśliwego mitologicznego bohatera. Więc skrzywił się niemiłosiernie, zastąpił jeszcze raz drogę panu Stadnickiemu i rzekł, wybuchając głośnym płaczem:

— Mam dwóję, co?

Ale pan Stadnicki nic na to nie odpowiedział, tylko wyszedł, silnie trzasnąwszy drzwiami, do pokoju pani Korczyńskiej, wydać rozporządzenie, aby Władzio nie dostał obiadu, więc rozbeczał się tak głośno, że aż „Miluś“, piesek pokojowy, zeskoczył z łóżka i zalękniony służyć począł.

Ale Władzio nie miał dziś ochoty do figlów z Milusiem, odepchnął go, aż piesek stulił uszy, schował ogon pod siebie i skrył się pod łóżko, a Władzio wciąż beczał i beczał...

XVII.

„Ostryga“ i katarynka.

„Ostryga“ dopiero rozpoczynał praktykę nauczycielską: świeżo ukończył wydział matematyczny w uniwersytecie warszawskim i otrzymał posadę nauczyciela matematyki w gimnazyum, do którego uczęszczali Oleś i Edzio.

Popularnie zwany przez uczniów „Artmos“, poprzednik „Ostrygi“ otrzymał tranzlokacyę do Piotrkowa.

Z początku uczniowie ucieszyli się, że pozbyli się ogromnie wymagającego i niezbyt lubianego „Artmosa“, ale teraz pokazało się, że wpadli z deszczu pod rynnę:

„Ostryga“ „łupnął“, jak się wyrażali uczniowie, w czwartej klasie coś trzydzieści „cwajerów“ na pierwszy kwartał z algebry i geometryi!

Nie spodziewali się tego uczniowie wcale, więc zaciętość wielka zapanowała nietylko w czwartej, ale i w innych klasach przeciwko „Ostrydze“, który chociaż taki młody, a „sypie cwajerami“, jak magik z rękawa,

a przytem „naciągać“ się nie daje, na co liczyli w pierwszym zapale uczniowie.

Ale działo się właśnie wprost odwrotnie.

„Ostryga“ dopiero cztery lata temu skończył gimnazyum, więc znał się wybornie na wszelkich sztuczkach: wiedział, naprzykład, doskonale, że „zapomniałem kajetu, panie profesorze“ — to znaczy, że uczeń wcale w domu zadania nie zrobił; że „tak mnie dziś głowa boli, proszę pana profesora“, oznacza kompletne nieprzygotowanie się do lekcyi; zbyt świeży atrament (gdy zadanie, ktoś w klasie przed lekcyą przepisał od kolegi), zawsze poznał i narzekał, że ręce sobie powalać może, więc niechże uczeń zabiera pokazany mu kajet i spieszy na miejsce bibułę przyłożyć, a zaraz w takim razie „Ostryga“ stawiał „lufę“ i nie było żadnego „pardonu“; na podpowiadaniu i znakach ręką dawanych, wogóle na wszelkiej mimice znał się doskonale, a do łapania karteczek miał już takie oko, że no!...

I nos miał nielada, jak mówili uczniowie, spojrzał tylko po twarzach wszystkich i już wiedział, kto się na lekcyę nie przygotował, a „wyrywał do tablicy“ tak niesystematycznie, że ani sposób było przeczuć, kiedy kogo ta przyjemność spotka, no, jednem słowem, okropny był człowiek!

Nie podobały się więc uczniom lekcye „Ostrygi“, bo i pogadać nawet nie można było, ani poczytać, ani napisać coś takiego, coby się przydać mogło na następującego po lekcyi „Ostrygi“ „Greka“, lub „Niemca“, ani wierszy powtórzyć, jednem słowem, nic nie można było innego robić, tylko patrzeć się wciąż w tablicę i iść myślą za tem, co się na niej działo.

Dlaczego nowy nauczyciel dostał miano „Ostrygi“, dokładnie nikt nie wiedział, może dlatego, że był ostry... ale i to nie; jakoś złożyło się to samo, zupełnie tak, jak przezwiska niektórych kolegów wzięły się niewiadomo skąd, bo oto jednego „Mansiem“ nazywano, innego „Gołębiarzem“; był też jeden, co go i „Babą“ przezwano, był i „Ciotka“ i „Baran“ i „Kura“, i masa innych.

Wszystko to były przezwiska, które niewiadomo jak i kiedy przyczepiły się do danych osobników, i ci tak się do nich przyzwyczaili, że malowało się na ich twarzy pewnego rodzaju zdziwienie, gdy kto na nich inaczej przez pomyłkę zawołał...

Najbardziej na „Ostrygę“ zawziął się Roman Żelski, którego koledzy mianem „Sokratesa“ ochrzcili, nie ze względu na stopień rozwoju umysłowego, bynajmniej, tylko na zewnętrzny wygląd obecnego „wiceprezesa“, bo w samej rzeczy Żelski był fenomenalnie brzydki, ale, że do płatania psot nauczycielom był jedyny, do figlów zawsze pierwszy, a przytem bardzo dla kolegów usłużny, więc cieszył się ogólną sympatyą.

Lubili go także i za to, że był silny nadzwyczaj, nie było w klasie żadnego, któregoby w walce nie przewrócił na ziemię, a pięć krzeseł postawionych jedno na drugiem podnosił, jak piórko, do góry, jedną ręką.

Podczas wielkiej pauzy prawie codziennie urządzał przedstawienie cyrkowe, więc koziołki w powietrzu fikał, na rękach chodził, „dęba“ stawał, błazna udawał, aż pękać trzeba było ze śmiechu i boki bolały, a że wszystko to przytem robił bardzo zręcznie, wielu zawsze miał widzów.

Ale oto już od trzech dni „cyrku“ wcale nie było,

bo „dyrektor cyrku“, jak się sam Roman nazywał, był straszliwie zły... Rozmyślał ciągle nad tem, w jakiby to sposób zemścić się na „Ostrydze“ za te dwójki na cenzurze.

— Żeby to chociaż tylko z geometryi, albo z jednej algebry, ale z geometryi i algebry razem... no, już ja go nauczę! — mruczał zagniewany.

Nareszcie wpadł na myśl następującą: wynajął kataryniarza, któremu polecił grać w czasie lekcyi „Ostrygi“ przez całą godzinę jednego i tego samego walca, najgorszego z tych, które ma w swoim repertuarze.

„Ostryga“ zaczynał lekcyę, gdy Roman przez okno dał znać kataryniarzowi, żeby koncert rozpoczął.

Kataryniarz wiercił korbą z takim zapałem, jakby miał zamiar rękę sobie odwiercić, gdyż wiedział, że tu o figiel chodzi.

„Ostryga“ z początku nie zwracał na tę muzykę uwagi, ale gdy przez dziesięć minut jedna i ta sama melodya go dochodziła, polecił zamknąć okna, które z powodu bardzo ciepłego dnia, otwarte były zupełnie...

Porwał się Żelski i, nie chcąc, by doskonała sposobność zirytowania „Ostrygi“ przeszła bez skutku, niby niechcący wybił szybę przy zamykaniu okna, a zbierając szkło potłuczone, wyrzucił kataryniarzowi dla zachęty parę miedziaków na ulicę.

Rozkoszne dźwięki katarynki nagle umilkły, więc „Ostryga“ nie bardzo się nawet gniewał za zbicie szyby i rzekł z zadowoleniem:

— Chwała Bogu, że już ucichła ta nieznośna muzyka.

Ale zaledwie zdążył wymówić te słowa, gdy znów

odezwały się pierwsze tony tego samego walca, bo kataryniarz pozbierał już miedziaki i z większym jeszcze zapałem grać począł.

„Ostryga“ wpadł w wściekłość, przerwał objaśnianie i zaczął nerwowo chodzić po klasie, a Żelski zacierał ręce i zachwycony był swoim pomysłem, bo jedna i ta sama melodya powtarzała się już po raz dwudziesty pierwszy, jak dokładnie obliczał, a pomylić się nie mógł, bo katarynka w dodatku, na utrapienie „Ostrygi“, w jednem miejscu fałszywie grała, aż dreszcz po skórze przechodził, więc ile razy odezwał się ów ton fałszywy, Żelski kreskę notował na arkuszu papieru i naliczył już ich akurat dwadzieścia jeden, a co to będzie, myślał z radością, gdy cyfra ta do stu dojdzie?...

Uczniowie domyślili się odrazu, że kataryniarz jest wynajęty, a po zbiciu szyby pewni byli, że to sprawka Żelskiego, ale, że okrutna zawziętość była w klasie na „Ostrygę“, więc nie gniewali się wcale, owszem, ten i ów uśmiechać się począł, a im „Ostryga“ prędzej chodził po klasie, im bardziej się irytował, tem weselsza wkradała się do klasy atmosfera...

Nareszcie zniecierpliwiony „Ostryga“ wychyla się przez okno i zaczyna wprost wymyślać kataryniarzowi, nie przebierając nawet w słowach, ale tych kataryniarz wcale do siebie nie brał, tylko z głupia frant grał z coraz większym zapałem.

„Ostryga“ wyjął kilka złotówek i rzucił mu przez okno, krzycząc:

— Tylko się wynoś!

Kataryniarz pieniądze podniósł, ukłonił się na po-

dziękowanie, ale grał dalej, grał jedno i to samo, tego samego walca...

„Ostryga“ splunął, zawołał Onufrego i kazał mu przepędzić kataryniarza na cztery wiatry...

W chwilę później, słychać było kłótnię na ulicy, wreszcie katarynka zamilkła...

„Ostryga“ ochłonął, i wkrótce wszyscy wrócili do przerwanego zajęcia.

Żelski nos na kwintę spuścił, bo żal mu było, że „Ostryga“ już przestał się irytować; bo oto ujął już kredę w palce i rysować zaczyna jakieś trójkąty niekształtne, gdy wtem, o radości! katarynka znów się odezwała, tony tego samego walca płynęły w dalszym ciągu w przestrzeń...

Uczniowie nie mogli już wytrzymać, śmiech homeryczny gruchnął nagle w klasie. „Ostryga“ zbladł, rzucił gniewnie kredę o ziemię, chwycił za dziennik i jak szalony wybiegł z klasy. Żelski właśnie notował czterdziestą piątą kreskę.

Kataryniarz bowiem odszedł parę kroków dalej i już nie obawiając się policyanta, którym mu zagroził Onufry, gdyż panem był sytuacyi, grając przed zupełnie innym domem, a nie przed gmachem gimnazyalnym, grał dalej tego samego walca.

Żelski dał mu tylko pół rubla zadatku, a drugie tyle obiecywał dać po skończeniu godzinnego koncertu, więc biedny ten człowiek w żaden sposób nie chciał się wyrzec tak sutego honoraryum.

„Ostryga“ zamknął się w kancelaryi, zatkał uszy i siedział bardzo zdenerwowany, bo tony walca, chociaż

głos katarynki tu nie dochodził, wciąż tańczyły mu po bębenkach usznych.

Silne podejrzenie padało na Żelskiego, że to jego sprawka, ale szybę mógł on stłuc przypadkiem. Zresztą skąd pewność, że to czwarta klasa i do tego specyalnie na jego cześć urządziła ten wspaniały koncert? Może to innemu z nauczycieli tego figla wyprawiono?!

I „Ostrydze“ lżej się na tę myśl robiło, postanowił nie skarżyć się nikomu; napisał karteczkę, że nagle zasłabł i musiał przerwać lekcyę w klasie czwartej, wziął kapelusz, zszedł szybko po schodach, wsiadł do dorożki i kazał pędzić co koń wyskoczy, aby uciec od tej melodyi przeklętej, ale ta długo, długo w ślad za nim leciała, bo katarynka głos miała silny.

Żelski nawet nie miał pojęcia, jak strasznie dokuczył „Ostrydze“.

„Ostryga“ był człowiekiem wysoce muzykalnym i kochał się szalenie w muzyce klasycznej; muzyki lekkiej wcale zwolennikiem nie był, a każdego kataryniarza do ciężkich robót z gustemby zesłał...

Nauczyciele ze wszystkich klas, których okna wychodziły na ulicę, żalili się na nieznośnego kataryniarza, gdy zeszli po skończonej godzinie do kancelaryi. Wieleby dano za złapanie figlarza, który go wynajął, ale jakże go tu znaleźć: niewiadomo nawet, z której to klasy, a w każdej klasie przecież kilkudziesięciu uczniów!

Nikt więc poszukiwań żadnych nie przedsięwziął na razie. O wybiciu szyby w czwartej klasie nic nie wiedziano; mówiono potem, że zbita została w czasie wielkiej pauzy, a że „Ostryga“ nie skarżył się na całą awanturę, Żelskiemu upiekł się figiel...

W samej rzeczy, dowodów nie było!...

Żelski był w siódmem niebie i z dumą oznajmił kolegom, że to początek dopiero, i on „Ostrydze“ coś lepszego wymyśli, coś naprawdę „porządnego“.

Dopytywali się bardziej ciekawi, co to ma być to „coś porządnego“, ale Żelski uśmiechał się tylko, nic nie chciał mówić; może sam jeszcze nie wiedział?

Dnia tego odbyło się w czasie wielkiej pauzy świetne przedstawienie cyrkowe, na którem między innemi odegrana była komiczna pantomina pod tytułem „Ostryga i kataryniarz“.

Wszyscy bez wyjątku bardzo się śmiali...

XVIII.

Awantura w klasie czwartej.

Z rozporządzenia „Łaciny“ w drugim kwartale w klasie czwartej, dyżury pełniło kolejno pierwszych sześciu uczniów, w każdy dzień tygodnia inny; kłopot miał tylko „Łacina“, któremu z uczniów wyznaczyć poniedziałki: Edziowi, czy Stasiowi, bo obadwaj pierwszymi w klasie będąc, jednakowe prawo mieli. Ale Edzio dobrowolnie ustąpił Stasiowi poniedziałki, jemu zaś w udziale przypadły wszystkie wtorki.

We wtorek, od godziny dziesiątej do jedenastej, miewał lekcye geometryi „Ostryga“.

Ubierał się on zawsze bardzo elegancko, jak z igły, miewał śnieżnej białości kołnierzyki i mankiety.

Żelski, który całemi godzinami rozmyślał o swojej zemście, postanowił z tego skorzystać przy najbliższej sposobności.

Było to właśnie we wtorek. Obowiązki dyżurnego pełnił Edzio, jak zwykle w ten dzień bywało. Edzio już

trzeci dyżur dziś rozpoczynał, bo trzeci to był tydzień od początku drugiego kwartału.

Była już godzina dziesiąta. Na korytarzu słychać było kroki nadchodzącego „Ostrygi“, gdy Żelski szybko wpadł na katedrę i rozlał na krześle nauczycielskiem cały kałamarz czarnego atrmentu, poczem umknął na swoje miejsce.

Stało się to w mgnieniu oka, a chociaż Edzio spostrzegł wszystko, stracił głowę na razie i w chwili, gdy chciał ostrzedz wchodzącego na katedrę „Ostrygę“ i wyrzekł słowa:

— Panie profesorze!...

Ten usiadł już na fatalnem krześle i najspokojniej zapytał Edzia, czego chce...

Edzio wyjąkał z przerażeniem, że na krześle rozlany był atrament...

„Ostryga“ zerwał się, spojrzał na krzesło, lecz że było czarne mahoniowe, niewiele na niem mógł zauważyć, ale spojrzawszy na swoje ubranie oniemiał...

Żelski atramentu nie żałował wcale, zciekał on nawet po nogach krzesła, więc całe ubranie „Ostrygi“, który włożył je dzisiaj po raz pierwszy, przytem bardzo jasne, prawie zupełnie białe, opłakany nader przedstawiało widok.

„Ostryga“ zawrzał gniewem i zawołał z pasyą do Edzia:

— Odpowiesz mi za to, smarkaczu!

I wypadłszy z klasy, pobiegł prosto do gabinetu dyrektora...

Po wszystkich dreszcz przebiegł od stóp do głów: dyrektor bywał straszny w chwilach gniewu, a teraź-

niejsza awantura zdarzyła się chyba pierwszy raz w gimnazyum...

Żelski dopiero teraz zrozumiał, na co się naraził; blady z przestrachu przypadł do zgnębionego Edzia, chwycił go za rękę i rzekł urywanym głosem:

— Nie zdradź, nie wydaj mnie!

Edzio nic nie odpowiedział, tylko spojrzał na Żelskiego jakoś dziwnie bardzo, raczej smutnie, niż gniewnie. Jakiś wyrzut wielki malował się w tem spojrzeniu, więc Żelski spuścił oczy i chwiejnym krokiem wrócił na miejsce.

Cisza zapanowała w klasie...

Wszyscy ze współczuciem spoglądali na Edzia, na którym wszystko się skrupi napewno. Jeden Staś był zadowolony i nie mógł ukryć swojej radości; ach, nareszcie, zwycięży rywala, bo Edzio, o ile go wszyscy poznali, kolegi nie wyda z pewnością, więc albo sam na siebie winę przyjmie, a wtedy biada mu! albo powie, że nie wie, kto rozlał atrament, więc jako dyżurny odpowiedzialnym będzie, więc w każdym razie złą notę dostanie nareszcie, co ujemnie wpłynie napewno na stopień ze sprawowania, który tylko raz na kwartał stwiają, bo na cenzurze...

Już słychać, jak dyrektor idzie śpiesznie przez korytarz. Oto za chwilę wpadnie straszny sędzia, by wymierzyć karę na śmiałka, gromy przytem rzuci na całą klasę...

Już wszedł; uczniowie powstali...

Dyrektor tak był zagniewany, że na razie oniemiał...

Po chwili wbiegł zmieszany „Łacina“, gospodarz klasy, zaalarmowany również przez „Ostrygę“.

— I jemu się dostanie! — pomyślał Oleś.

„Łacina“ nic nie mówiąc, stanął na uboczu i z niepokojem wpatrywał się w twarz dyrektora.

Ten poprawił binokle i zaczął:

— Ut sementem feceris, ita metes; kto to zrobił?

Milczenie...

— Pytam jeszcze raz, kto to zrobił?

Wciąż głuche milczenie panowało w klasie...

„Łacina“ tarł ręką łysinę i nic się nie odzywał, czekał zapewne chwili odpowiedniej...

— Kto dyżurny? — pytał dyrektor.

— Ja, — odparł Edzio, występując na środek.

— Tyś rozlał atrament?

— Nie, panie dyrektorze! — odrzekł śmiało Edzio, bo już zupełnie przyszedł do siebie.

— Więc kto?

— Nie zauważyłem, panie dyrektorze!

— Widziałeś, że atrament rozlany?

— Widziałem.

— Dlaczego nie uprzedziłeś profesora?

— Chciałem, miałem szczery zamiar, nawet zacząłem już mówić, niechaj sam pan profesor panu dyrektorowi zaświadczy, ale nim zdążyłem zdanie zakończyć, pan profesor już usiadł na krześle:

„Łacina“ zatarł ręce z zadowoleniem: Edzio tłómaczył się znakomicie.

— Dlaczego nie wytarłeś krzesła, lub nie zażądałeś od stróża innego? — badał dyrektor dalej.

— Nie było czasu, panie dyrektorze, atrament roz-

lano przed samem wejściem profesora do klasy, widziałem to doskonale! — tłómaczył się Edzio.

W tej chwili dyrektor przyskoczył do Edzia i rzekł, biorąc go za ramię:

— Skoro widziałeś, jak powiadasz, doskonale, że rozlewano atrament, to musiałeś, bratku, widzieć doskonale, kto go rozlewał!

Edzio struchlał; dopiero teraz spostrzegł, że powiedział zbyt wiele i poplątał się już w zeznaniu, spuścił oczy i milczał pomieszany, a dyrektor wciąż uparcie patrzył na niego i rzekł po chwili:

— Tak, tak, złapałeś się bratku, nic ci więcej nie pozostaje innego jak wymienić nazwisko tego niecnoty!

Milczenie zapanowało w klasie, serca silniej uderzyły, oczy wszystkich z niepokojem wpijały się w Edzia, pod Żelskim nogi drżały ze strachu i wogóle cały dygotał, jak w febrze.

Nawet „Łacina“ pochylił się cokolwiek, by dokładniej mógł obserwować ulubionego ucznia.

Wszyscy wogóle, nie wyłączając dyrektora, nie spuszczali oka z Edzia, i czyniło to wrażenie, jakby chcieli zobaczyć wyrazy, które wyjść miały przez usta Edzia, w literalnem znaczeniu tego słowa.

A Edzio stał ze spuszczoną głową i milczał.

Dyrektor w coraz większy gniew wpadał.

— Jeżeli nie powiesz! — odezwał się nagle, — będziesz odpowiadał, jakbyś ty to sam uczynił, będziesz wypędzony z gimnazyum!

Edzio pobladł ogromnie, spojrzał na dyrektora, twarz jego groźna była, wyglądał rzeczywiście na takiego, co umie dotrzymać strasznej obietnicy; więc Edzio

rzucił wzrok na „Łacinę“, jakby tam myślał ratunku szukać.

Ale „Łacina“ zgryziony był wielce ostatniemi słowy dyrektora i na twarzy jego prócz zmartwienia, nie mógł Edzio wyczytać nic więcej, żadnej otuchy, więc westchnął ciężko, znów głowę spuścił, ale milczał.

A to milczenie właśnie doprowadzało dyrektora do gniewu.

— Odpowiadaj mi jeszcze raz na pytania! — zawołał. — Widziałeś, jak rozlewano atrament?

— Tak.

— Więc wiesz, kto to zrobił?

Edzio zdawał się walczyć z sobą, namyślał się, czy powiedzieć prawdę, że wie, czy też udać, że nie wie; lecz że przedtem już przyznał się, że widział winowajcę i raz jeden już poplątał się, więc uznał, że najlepiej prawdę powiedzieć, i odpowiedział:

— Wiem!

„Łacina“ począł się nerwowo gładzić po łysinie; nie był widocznie zadowolony z odpowiedzi Edzia i rzekł po chwili:

— Przypomnij sobie, może nie widziałeś, kto rozlewał, więc skądże możesz wiedzieć?

Ale dyrektor wpadł ostro na „Łacinę“:

— Piękny mi przewodnik młodzieży z pana, skoro ją do kłamstwa namawiasz!

Więc „Łacina“ jął się kręcić i wymawiać, że o tem wcale nie myślał...

— Więc powiedz, kto to zrobił? — zwrócił się znów do Edzia dyrektor.

— Nie mogę! — odpowiedział cichym głosem Edzio.

— Dlaczego?

— Nie mogę, wolę odpowiadać, panie dyrektorze, jako winowajca, chociaż na ojca i matkę przysięgam, żem ja tego nie uczynił...

— Więc chcesz być wypędzony?

Edzio milczał.

Nagle „Łacinie“ snadź jakaś myśl zbawienna błysnęła w głowie, bo uśmiech przemknął mu po twarzy, ręce zatarł z zadowoleniem, podszedł szybko do dyrektora i szepnął mu do ucha:

— W tym malcu duch spartański siedzi i niczem Leonidas przy nim, bo ten miał trzystu ze sobą braci, a ten sam, a taki nieugięty szelma!

Dyrektor stuknął się w głowę i rzekł po cichu do „Łaciny“:

— W samej rzeczy bohater!

„Łacina“ trafił w słabą stronę dyrektora. Dyrektor lubił odwagę i Leonidasa, który przy Termopilach poległ, broniąc Persom wstępu do ojczystej ziemi, do największych bohaterów historycznych zaliczał. Więc chociaż porównanie nie było arcystosowne, ale bardzo na czasie, jak się okazało, bo dyrektor innemi oczyma już począł patrzeć na Edzia.

„Łacina“, spostrzegłszy to, uśmiechnął się z zadowoleniem, a klasa cała, która nie wiedziała, co oni szeptali do siebie, zgorszona była, że „Łacina“, co zawsze stronę uczniów trzyma i tak ich kocha, wobec teraźniejszego nieszczęścia, które na klasę spadło, w takim dobrym humorze, że aż się śmieje, jakby go to nic nie obchodziło.

Dopiero później Edzio, który stał blizko rozmawiających i mimowolnie wszystko słyszał, wyprowadził klasę z błędu.

Dyrektor teraz zwrócił swój gniew na klasę, lecz widząc, że groźby jego jakoś nic wskórać nie mogą, w inne począł uderzać struny.

Wkońcu zaczął prosić poprostu, żeby winowajca się przyznał, że karę mu wyznaczy bardzo lekką, ale że wiedzieli wszyscy, co może znaczyć taka obietnica, nic dziwnego, że Roman Żelski milczał, jakby mu usta zamurowano, myślał tylko sobie:

— Nie głupim, bo by mnie „na pe wyleli!“

Wreszcie dyrektor począł mówić do malców o honorze, o tem, jak każdy za siebie odpowiadać winien i nie pozwalać, żeby ktoś niewinnie cierpiał; jak to nieszlachetnie ze strony winowajcy narażać kolegę tak dobrego, jak Edzio, który surowo ukarany będzie za kogo innego, bo oto kowal zawinił, a ślusarza powieszą. Lecz i to nie pomogło: nikt się nie przyznawał i słowa dyrektora padały, jak groch na ścianę. Więc dyrektor wpadł napowrót w gniew. Zapomniał, że Edzia przed chwią za przykład innym stawiał i niemal wynosił pod niebiosa, i jako jemu znów winę przypisywać począł, jako malowanemu dyżurnemu, który nic nie wie, co się w klasie dzieje

Ostatecznie Edzio został skazany na dwadzieścia cztery godziny kozy, a cała klasa na cztery godziny.

Wydawszy tak surowy wyrok, dyrektor trzasnął drzwiami i wyszedł, uprzedziwszy przedtem „Łacinę“, że jeżeli uda mu się wykryć winowajcę, cała klasa będzie uwolniona od kary, a i Edzio również, wszyscy je-

dnem słowem, prócz jednego „nicponia“, który na coś podobnego się odważył i ukarany stanowczo być powinien.

W tej chwili dzwonek oznajmił koniec godziny. Blizko całą godzinę poświęcił dyrektor na śledztwo, które nic nie wykryło, może „Łacina“ będzie szczęśliwszy na następnej godzinie, bo właśnie, od jedenastej do dwunastej, przypadł język grecki?

XIX.

Śledztwo.

W całem gimnazyum aż się gotowało w czasie dziesięciominutowej przerwy. Wieść o awanturze w klasie czwartej rozbiegła się lotem błyskawicy po wszystkich klasach i urosła do niebywałych rozmiarów. Więc opowiadano sobie wzajemnie niestworzone rzeczy, doszło wreszcie do tego, że malcy z niższych klas na wyścigi dążyli do klasy czwartej, aby na miejscu sprawdzić to, co im opowiadano.

Między innymi wpadł i Władzio; żywo począł się dopytywać, czy bardzo dużo było atramentu w kałamarzu, którym rzucono w „Ostrygę".

Czwartoklasiści starsze klasy chętnie przyjmowali, ale trzecią już bez żadnej ceremonii wyrzucali za drzwi; cóż dopiero mówić o losie, jaki spotkał Władzia. Żelski uchwycił wstępniaka za kołnierz, podniósł do góry i z impetem chciał wyrzucić na korytarz, lecz puścił go, bo Edzio powiedział mu, że to jego brat.

— Niech mi pan powie, jak to było i co to było? —

błagał zaczerwieniony Władzio, bo ciekawość paliła mu policzki i cały był rozgorączkowany, tembardziej, że duszą i sercem sympatyzował z wszelkiego rodzaju awanturami.

— Chcieliśmy utopić „Ostrygę“ w atramencie i tyle, — zbył Władzia Żelski, — i nikt w niego kałamarzem nie ciskał.

Władzio poprzestał na tem objaśnieniu, lotem strzały wypadł na korytarz i bez tchu prawie wpadł do wstępnej klasy, roznosząc wokoło przestrach i zdumienie. Zaciekawieni malcy otoczyli Władzia, a ten z tryumfującą miną opowiadał im to, czego się dowiedział i to, czego się nie dowiedział, bo Władzio miał i tę zaletę, że lubił bujać po obłokach i pływać po piasku, a mówiąc poprostu lubił kłamać.

Więc zaczął opowiadać, jak to w czwartej klasie nic się uczniowie nauczycieli nie boją, nie to co u nich we „wstępniaku“; oni jednego, co ich uczy jakiejś algebry i geometryi, chcieli aż utopić w atramencie, — chwalił dalej czwartoklasistów zachwycony malec.

Wtem jeden z licznych słuchaczy głośno zaprotestował:

— Skądżeby wzięli takiego dużego kałamarza?

Ale Władzio urażony, że ośmielają mu się fałsz zarzucać, tembardziej, że jemu wyjaśnił sprawę osobiście prawdziwy czwartoklasista, szybko odparł:

— A mają taki kałamarz, jak wanna, sam widziałem; a jeżeli nie wierzysz, to idź sam i zobacz, małpo jedna!

Przezwany tak szkaradnie malec, rzucił się z pięściami do Władzia, ale ten tylko na to czekał i wrzasnął:

— Stawiasz się!

Poczem zamknął oczy i począł machać pięściami, na prawo i na lewo, rozdając sowicie kułaki i temu, co się „stawiał“, a teraz ucichł i uciekł w najodleglejszy kąt klasy, i tym, co najniewinniej nasunęli mu się pod ręce.

Dopiero kroki nauczyciela położyły koniec tej nierównej walce, bo jeden tylko bił, a reszta pokornie razy przyjmowała; Władzio „dał nura“ na miejsce i porządek zapanował w klasie.

A w klasie czwartej „Łacina“ rozpoczął mowę do uczniów. Zaczął od tego, że wielką krzywdę przedewszystkiem wyrządzono jemu. Mniejsza już o nieprzyjemności, które będzie miał jeszcze od dyrektora, ale zawiedziono jego wszystkie nadzieje.

— On nie spodziewał się, że wśród uczniów czwartej klasy, tych ukochanych uczniów, których on już trzeci rok prowadzi, znajduje się taki lekkoduch bezwstydny, który odważy się na taką złośliwą psotę. Źle to świadczy o charakterze tego młodzieńca, bo pominąwszy tę kwestyę, że sam bardzo źle postąpił, ale naraził wszystkich kolegów, bo oto dzisiaj aż cztery godziny wszyscy muszą siedzieć w kozie, a tak przykładny pod każdym względem uczeń, jak Edzio, dwadzieścia cztery godziny w niedzielę pokutować będzie za cudzą winę.

— „Łacina“ wcale nie jest ciekawy, który to z uczniów zrobił, owszem zadowolony jest bardzo, że winowajca się nie znalazł, bo „Łacina“ zniechęciłby się bardzo do tego ucznia, a on zarówno chce kochać wszystkich i żywi niepłonną nadzieję, że winowajca uzna swój błąd, już nigdy na nic podobnego się nie odważy, a do-

stateczną karą, jak sądzi „Łacina“, będzie dla winowajcy to, że inni całkiem niesłusznie cierpieć będą za niego.

W końcu dodał, że uczyni wszystko, co będzie mógł, aby Edziowi karę zmniejszyć, choć nie ręczy za pomyślny skutek swych starań, bo dyrektor zawziął się srodze, i z punktu widzenia nauczycieli zupełnie słusznie. Edzio postąpił, jak dobry kolega, to prawda, ale w danym razie im, nauczycielom, nie wypada tego postępku chwalić. Dziwne to może, ale tak jest!

Co do ogólnej kozy, „Łacina“ nie myśli starać się o zmniejszenie liczby przeznaczonych godzin, bo, gdy przestępstwo było wielkie, i kara ciężką być musi.

Gdy skończył, cała klasa powstała, dziękując „Łacinie“ za tę miłość dla niej, o której mówił, a Żelski głośno oświadczył, niby w imieniu klasy, że teraz usilnie wszyscy bez wyjątku będą się starali dobrem sprawowaniem zasłużyć na nią i poprawić opinię swoją u władzy wyższej.

Ogólne wzruszenie w klasie było wielkie, a Oleś bez żartów rozbeczał się na dobre i, połykając łzy, szeptał:

— Poczciwości „Łacina“!

Tak to „Łacina“ prowadził śledztwo, w ten sposób prowadził swoją klasę, nie krzyczał, nie rzucał się, nie wymyślał, lecz powiedział od serca kilka słów, i dzieci je odczuły; sam winowajca spostrzegł, jak wiele zawinił i ślubował sobie w duszy, że już awantur robić nie będzie.

Więc żeby się zobowiązać jeszcze bardziej i zamknąć sobie odrazu drogę do figlów tego rodzaju, wyrwał karteczkę z kajetu i napisał na niej list otwarty:

Kochany Edku!

Za to, żeś mnie nie wydał, daję ci „piśmienne“ słowo honoru. że zaprzestaję od dziś myśleć o zemście i „Ostrydze“ dam już święty spokój...

List wysłany został „przez pocztę“ — to jest przechodził z rąk do rąk, zanim się dostał do Edzia.

Edzio przeczytał list, włożył go do kieszeni, a chociaż ciężkie chwile czekały go jeszcze, bo w niedzielę całą dobę siedzieć miał w kozie, zrobiło mu się lekko na duszy i jakoś weselej spojrzał przed siebie.

XX.

Skutki i kara.

Piąta klasa wysłała podczas wielkiej pauzy delegacyę, która złożyła powinszowania klasie czwartej, posiadającej w gronie swojem tak dzielnego kolegę.

Delegacya składała się z czterech członków.

Po złożeniu powinszowania, oświadczyła ona, że ma polecone podnieść bohatera w górę, i żywo zabrała się do dzieła.

Edzio uciekł w najdalszy kąt klasy, ale Żelski wnet był przy nim z masą czwartoklasistów, którzy dumni byli, że cała piąta klasa taki honor im czyni; więc zaczęli przekładać Edziowi, żeby nie psuł tak uroczystej chwili i dał się podnieść delegacyi w górę.

A gdy Edzio jął się wymawiać, że nic tak wielkiego nie zrobił i oświadczył, że w żaden sposób nie zezwoli na taki zaszczyt dla siebie, użyto siły, i Edzio znalazł się w górze.

Delegacya obnosiła go po klasie wśród niekłamanych okrzyków radości i zachwytu.

W klasie wszczął się harmider i hałas nie do opisania, jedni zaczęli podnosić drugich do góry; wkrótce znalazł się w górze i Żelski, który zdołał przekonać kilku kolegów, że on się głównie przyczynił do zaszczytu, który spotkał w osobie Edzia całą klasę.

Poczęto klaskać w ręce, tupać i tak krzyczeć, że do klasy wpadł inspektor, a ujrzawszy co się dzieje, stanął, jak wryty.

Wnet ci, co byli w górze, znaleźli się na podłodze, bo wszyscy pierzchnęli w różne strony, rzuciwszy wybrańców bez ceremonii o ziemię.

Edzio wyszedł szczęśliwie z całej awantury; gorzej było z Żelskim, bo ten puszczony przez rozentuzjazmowanych kolegów, spadł na podłogę i tak się stłukł boleśnie, że ledwie umknął na miejsce i dopiero tam z bolu jęczeć począł.

Najgorzej wyszła delegacya, bo najpóźniej ze wszystkich spostrzegła inspektora i uciec nie miała czasu.

Skończyło się na tem, że wszyscy czterej członkowie delegacyi dostali się do kozy, i podczas następnej pauzy znów czwarta klasa w osobie Żelskiego, i dwóch innych jeszcze przedstawicieli, składała kondolencyę klasie piątej wskutek tak smutnego zakończenia sprawy.

Władzio, dowiedziawszy się o delegacyi z klasy piątej, proponował, żeby i wstępna klasa „postawiła się“ choć raz i także wystąpiła z delegacyą, ale po naradzie przyszli „wstępniacy“ do wniosku, że są za słabi fizycznie, żeby mogli podnosić do góry takich „drabów“, jacy są w czwartej klasie, a delegacya bez podnoszenia w górę, nie miałaby, według Władzia, żadnego sensu.

Po wielkiej pauzie już wszyscy wiedzieli o tem, że

cała czwarta klasa ma siedzieć cztery godziny „w ulu“ i, dziwna rzecz, wszyscy zazdrościli czwartoklasistom tego „ula“, a Władzio we wstępnej klasie wdrapał się na katedrę i palnął mowę krótką a węzłowatą:

— Widzicie, osły i durnie! — mówił zaperzony malec do kolegów, — jak ludzie umieją dbać o siebie. Wszyscy, calutka klasa, będzie w „ulu“ siedzieć! Czy wy rozumiecie, co to jest za zaszczyt olbrzymi, czy wy, osły, zdobylibyście się na coś podobnego; ale co to gagać do was? Szkoda sobie tylko gębę psuć!

Splunął i z pompą wielką zeskoczył z katedry, a wstępniacy z pootwieranemi ze zdziwienia ustami i rozwartemi szeroko oczyma, połykali słowa krasomówczego Władzia, i żaden szmer protestu nie wyszedł od nich.

Gdy Władzio splunął, oczy wszystkich skierowały się na to miejsce, gdzie ślina upadła, poczem rozeszli się w różne strony i siadali na ławkach w zadumie, czy zdobyliby się na coś podobnego, czy nie.

A Władzio tak był zgryziony, że to „szczęście“ przypadło klasie czwartej, a nie wstępnej, że usiadł na ławce i do nikogo się nie odzywał.

Nie warto było, według niego...

Więc począł rozmyślać tylko biedak, jakby to zrobić, żeby i ich klasa tak się wsławiła, jak czwarta, i także siedziała „w ulu“, choćby sto godzin, bo wtenczasby i czwartą zakasowali.

O wpół do trzeciej kończyły się lekcye w klasie czwartej, ale nikt nie ruszył się do domu. Markotno było niektórym, bo już głód dobrze im się dał we znaki, a tu do obiadu cztery godziny jeszcze trzeba czekać. Pocieszali się jednak, że czas im szybko na figlach zejdzie...

Ale omylili się, bo oto do klasy wszedł „Łacina“ z kilkoma librami papieru i oznajmił, że z rozporządzenia dyrektora, klasa, siedząc w kozie, ma pisać greckie extemporale. Dwadzieścia pięć dużych zdań wybrał sam dyrektor i kazał sobie oddać arkusze .

Więc miny przeciągnęły się porządnie; „Łacina“ podyktował, usiadł na katedrze i poprawiał ćwiczenia z jakiejś innej klasy.

Oznajmił on uczniom, że ci, co skończą extemporale przed upływem czterogodzinnego terminu, mogą (tu klasa ciekawiej słuchać zaczęła), przygotowywać lekcyę na dzień następny...

Miny kwaśniały z każdą minutą coraz bardziej, a w końcu pierwszej godziny, niektórzy dosyć wyraźnie zaczęli wyrażać zły humor. Ten i ów mówił, że zemdleje z głodu, że chory, że w domu się niepokoją. Tylko jeden Żelski wlazł pod ławkę i położył się spać, prosząc, żeby go o szóstej obudzono, to on przez pół godziny przepisze extemporale od byle kogo, albo wcale nie będzie pisał, bo mu się bardzo nie chce, a dyrektor „pewno“ nie będzie czytał tego extemporala i „cwajerów“ nie nastawia, tylko każe sobie w piecu tem „koziem“ extemporalem napalić.

„Łacina“ na odzywające się od czasu do czasu narzekania prawie wcale uwagi nie zwracał. I on nie był w humorze, bo oto czas traci napróżno. Właściwie mówiąc, i on siedział w kozie, bo pilnować uczniów musiał, jako gospodarz klasy. A tracił bardzo dużo, więcej od nich: przepadały mu lekcye prywatne na mieście, których w tym właśnie czasie najwięcej udzielał, a pieniądze za te lekcye tak mu były potrzebne...

O wpół do siódmej odebrał wszystkie papiery i wy-

szedł z klasy. Malcy szybko włożyli tornistry, ale nie było takiego gwaru, jak zwykle przy rozchodzeniu się do domów, każdy szybko szedł w swoją stronę.

Żelskiego zapomniano obudzić, a może ci, co bliżej niego siedzieli, umyślnie go nie zbudzili, mszcząc się za tę kozę, którą z jego winy odziedziczyli; dość, że gdy wszyscy już z klasy powychodzili, on przewracał się na drugi bok, a nawet chrapać w najlepsze począł. Naturalnie extemporala nie oddał, bo „Łacina“ zmęczony był bardzo i nie sprawdzał, czy wszyscy oddali, a może wierzył malcom...

Oleś i Edzio czuli się śmiertelnie zmęczonymi. Edzio zawołał na dorożkę i pojechali do domu.

XXI

Zachwyt Władzia.

W domu wszyscy już byli uprzedzeni o zajściu, jakie miało miejsce w klasie czwartej, i o jego skutkach, bo Władzio pędził z gimnazyum do domu, jak szalony, i wpadł tam, jak bomba.

Zaraz w kuchni z miejsca oznajmił kucharce, że cała czwarta klasa siedzi w „ulu“, i że Edzio z Olesiem dopiero za cztery godziny przyjdą na obiad, a w nadchodzącą niedzielę Edzio w domu nawet spać nie będzie, tylko w „ulu“.

Pani Korczyńska aż ręce w pierwszej chwili załamała, a Władzio, opowiedziawszy krótko całe zdarzenie, dodał, że obiadu jeść nie myśli, bo nie ma czasu, gdyż musi „lecieć“ zobaczyć wspaniały widok, jak to cała klasa siedzi w „ulu“.

Takiego widoku od urodzenia jeszcze nie widział, jak mówił, i może, niestety, do końca życia już nie ujrzy. Wpadł tylko na chwilę do domu, tłómaczył malec, żeby

pani Korczyńska z panem Stadnickim nie obawiała się, czy się co złego nie stało.

Pani Korczyńska chciała zatrzymać Władzia na obiedzie, ale już go nie było, on „leciał do sztuby“ tak prędko, jak pozwalały mu na to jego małe nogi...

Wpadł wreszcie do bramy gimnazyalnej, przesadzał po trzy schody, byleby tylko prędzej dotrzeć do celu: do drzwi oszklonych w górnej części czwartej klasy; przystawił sobie krzesło, stanął na niem i jął patrzeć przez szybę na ten wspaniały, według jego mniemania, widok.

Z początku oczy jego z zachwytem wpijały się w twarze czwartoklasistów, ale zachwyt stopniowo znikał i zastępowało go rozczarowanie...

Po półgodzinnem przypatrywaniu się, Władzio zeskoczył z krzesła i rzekł do siebie:

— Niema na co patrzeć, siedzą jak na lekcyi, piszą coś i tyle! Szkoda, że ten nauczyciel tam siedzi na katedrze, bo, żeby go nie było, to mogliby się przynajmniej trochę „pokopsać...“

Była to, według stałego przekonania Władzia, najlepsza zabawa.

— Ale zawsze, co szczęście to szczęście, — myślał z zazdrością dalej, — siedzi się, coprawda, jak na lekcyi, ale zawsze to „ul“ i nie taki do tego zwyczajny, w pojedynkę, ale „całą kupą“.

— Zresztą ci czwartoklasiści to głupie plemię, — myślał po chwili w ogromnym sekrecie Władzio; — patrzyłem na nich chyba ze dwie godziny i żaden żadnego „nie lunął“, ani nawet sójki w bok nie dał, a można było to zrobić doskonale, bo ten, co tam w okularach na kate-

drze siedzi, czyta sobie jakoweś kajety i na nic nie zwraca uwagi.

Można było to zrobić, on wie z pewnością; przecie on „wstępniak“, a lunął „w zęby“ na lekcyi jednego, i nauczyciel nie wiedział, kto i co...

— Głupie plemię! — mruczał z nieukontentowaniem, które nadto widocznie malowało się na jego twarzyczce, i począł schodzić ze schodów.

Wtem uśmiech rozjaśnił mu oblicze...

— Ale ściągają zdrowo! — mruknął z zadowoleniem.

Czwartoklasiści znów poprawili sobie opinię w jego oczach...

XXII.

Przygoda w Saskim ogrodzie.

W poniedziałek Władzio z dumą rozpowiadał swoim kolegom, jak to jego brat z czwartej klasy, pierwszy uczeń, co ma same piątki i lepiej pewno wszystko umie, niż wszystkie „belfry“ razem z „Kaligrafem“, który jemu zupełnie sprawiedliwie „pionę wyciął“ na cenzurę, jak to ten jego brat „siedział w ulu“ od dziewiątej rano do dziewiątej wieczór, a jeszcze w następną niedzielę też dwanaście godzin siedzieć będzie, bo dyrektor tak się uwziął, że z dwudziestu czterech godzin, ani „minuty“ darować nie chce.

Przyznał się też w ogromnym sekrecie kolegom, że marzeniem jego jest również siedzieć w kozie i to nie byle jak, a też najmniej dwadzieścia cztery godziny.

Tłómaczył i przekładał „wstępniakom“, jak to on wsławi całą klasę na całą Warszawę, ba, może o tem i w gazetach wydrukują, to i w jakiejś Ameryce będą wiedzieli, bo podobno i w Ameryce gazety czytają, tylko Władzio nie wie dobrze, czy tam wychodzi „Warszaw-

ski“ kuryer, czy „Poranny“, ale o to mniejsza, bo już on się postara, żeby koza jego jak najgłośniejsza była wszędzie.

A miał jednego zaufanego przyjaciela Właczio.

Był nim ów Piórkiewicz, dawny mistrz jego, a teraz, jak go Władzio w chwilach gniewu nazywał „smarkacz, dwudziesty szósty uczeń“, który od dawna już często brał „w zęby“ od czupurnego kolegi, ale patrzył w niego, jak w tęczę, bo Władzio imponował mu zręcznością swej pięści, a jeszcze bardziej oryginalnymi pomysłami.

W samej rzeczy, pomysły Władzio miał nielada.

Nie tak bardzo dawno, naprzykład, bo wczoraj w niedzielę, poszedł z Piórkiewiczem do Saskiego ogrodu na „majówkę“, choć był to już listopad na dobre. A że dwóch ich tylko było na placu, na którym zazwyczaj grywano w „palanta“, lub „ekstrę“, bo godzina była zbyt wczesna, więc, gdy zjedli cały zapas prowianti, który z sobą w kieszeniach przydźwigali, nudzić im się zaczęło.

Dla rozrywki Władzio wymyślił zabawę v „zbrodniarza“. Zbrodniarz, schwytany niby na gorącym uczynku, miał być niebawem powieszony.

Zbrodniarzem był naturalnie Piórkiewicz, wykonawcą sprawiedliwości Władzio.

Z polecenia Władzia, Piórkiewicz wdrapa się na niezbyt wysokie drzewo i założył sobie pasek pod pachę, do którego był przywiązany sznurek mocno przyczepiony do gałęzi.

Wprawdzie Władzio zaklinał na wszystke świętości, żeby Piórkiewicz nałożył sobie pasek na szyję, bo

przecież zbrodniarzy nie wieszają pod pachy, tylko za szyję, ale Piórkiewicz za nic nie chciał się na to zgodzić.

Piórkiewicz byłby chętnie skwitował zupełnie z tej zabawy, bo niezbyt go pociągała rola zbrodniarza, którą mu Władzio wyznaczył; z przyjemnością byłby zlazł z drzewa na ziemię, bo bał się okrutnie, ale Władzio bez ogródki zapowiedział groźnie, że jak zlezie na ziemię, to dostanie „w bok“ tak, jak jeszcze nigdy nie dostał, i on bawić się z nim już nigdy nie będzie, więc biedny Piórkiewicz, na dany przez Władzia znak, rzucił się z drzewa i zawisł w powietrzu, machając rękami i nogami...

Władzio aż klaskał w ręce z radości, tak mu się ta zabawa podobała, ale nagle gałąź zaczęła trzeszczeć i Piórkiewicz ani się spostrzegł, jak leżał na ziemi.

Szczęściem nie było wysoko. Władzio podbiegł zalękniony ratować „zbrodniarza“, który się urwał z „szubienicy“, ale, jak zawsze, przezorny, rzucił w bok okiem, czy czasem ktokolwiek nie zauważył złamania dość dużej gałęzi...

Jakoż rzeczywiście spostrzegł biegnącego zdaleka stróża ogrodowego, który dojrzał niszczycieli i śpieszył się, aby ich przydybać...

— Nura! — krzyknął Władzio, łapiąc za rękę Piórkiewicza.

Ten, chociaż stłukł się dosyć bolenie, zerwał się zaraz na równe nogi, w jednej sekundzie spostrzegł, co się święci, więc wziął nogi za pas i z miejsca chciał ruszyć galopem, lecz gałąź złamana zatrzymała go w miejscu.

Nie od parady jednak Piórkiewicz nosił głowę na karku: szybko odpiął pasek, który pozostał przy złamanej gałęzi, bo na odgmatwanie go czasu już nie było,

gdyż straszny człowiek zbliżał się coraz bardziej, i szybko umykać począł, trzymając się Władzia za rękę...

Ale nieprzyjaciel miał nogi lepsze i szybko przestrzeń między nimi zaczęła się zmniejszać. Na chłopców, chociaż biegli cwałem, zimny pot wystąpił. Władzio oglądał się co chwila i szeptał:

— O, bracie, coraz bliżej! Oj, bracie, żebym ja był w jakiej ósmej klasie, tobym na niego czekał i dał mu, co się zowie!...

I uciekali dalej. Niestety, stróż był coraz bliżej! Oto już wyciąga obiedwie ręce, by schwytać obydwóch szkodników, gdy Władzio wyrywa swoją rękę z ręki Piórkiewicza i z całym impetem rzuca się pod nogi goniącego ich stróża.

Śmiały i niebezpieczny plan, ani na jotę go nie zawiódł i udał się znakomicie. Stróż ani się spodziewał tej przeszkody, więc padł jak długi, a Władzio już zerwał się, już schwytał za rękę zdumionego Piórkiewicza i umykał, zaśmiewając się z figla.

Ubiegłszy jakie trzydzieści kroków, obejrzał się, zatrzymał Piórkiewicza, bo stróż leżał ciągle na ziemi i jeszcze się nie podniósł. Władzio aż zawył z radości, chwycił ogromny kawał kija i rzucił w leżącego. Trafił go w nogę.

To rozwścieczyło do reszty stróża, zerwał się zakrwawiony, bo nos stłukł sobie dotkliwie, tak, że krew ciurkiem mu leciała, i za jakąbądź cenę postanowił dogonić zbytników.

Więc chociaż Władzio nie był o tyle naiwny, żeby nań czekać, i znów uciekał szybko wraz z Piórkiewi-

czem, stróż wkrótce znalazł się bardzo blizko, bo zawziętość sił mu dodawała, i gonił jak chart zająca.

Piórkiewicz ze strachu szczękał zębami i już mu się na płacz zbierało, bo tchu prawie złapać nie mógł, a jeszcze uważał za stosowne krzyczeć do Władzia:

— Ratuj, bracie, ratuj!

Ale Władzio, chociaż również z przerażenia skóra na nim cierpła, zimnej krwi nie stracił, a spostrzegłszy przed sobą rozchodzące się aleje, szepnął:

— Nuruj na lewo, ja polecę w prawo.

Piórkiewicz już był przez Władzia doskonale wytresowany, ufał mu ślepo, więc bez namysłu skręcił zaraz w lewo, Władzio umknął w prawo, a stróż, który już, już miał złapać swawolników, nie mogąc na razie zatrzymać się, z rozpędu pobiegł jeszcze parę kroków wprost przed siebie.

Jak widzimy, Władzio posiadał duże zdolności strategiczne. Oto już drugi manewr udał mu się znakomicie, bo gdy on i Piórkiewicz, zwijając nogi, umykali co żywo, jeden w prawo, drugi w lewo, stróż stał jak wryty: nie wiedział, którego ma gonić, a nim się namyślił, Piórkiewicz i Władzio odbiegli jakie sześćdzesiąt kroków od niego.

Władzio obejrzał się za siebie, zobaczył stojącego nieprzyjaciela, a że bramę miał blizko już bardzo, przystanął, pokazał mu język, zagrał na nosie, jak na fujarce i patrzył najspokojniej w stronę Piórkiewicza, który ani się obejrzał i dobywając resztek sił, umykał, umykał!... chociaż nikt go już nie gonił.

Stróż dał już za wygraną, splunął, zaklął pod nosem i usiadł na ławce, bo zmęczony był okrutnie, przy-

tem krew z nosa wskutek nadmiernego ruchu silniej mu broczyć zaczęła, więc tamować ją musiał.

A Władzio, poprawiwszy czapkę z fantazyą na głowie, wychodził z Saskiego ogrodu przez bramę, znajdującą się naprzeciw kościoła Ewangielickiego, zachwycony „majówką“ dzisiejszą, która udała się, jak jeszcze nigdy...

Skierował swe kroki przez Królewską na plac Saski, bo uważał, że Piórkiewicz umykał ku bramie od ulicy Kotzebue, a chciał się z nim ostatecznie rozmówić w kwestyi tej kozy, na którą w marzeniach swoich skazał całą klasę.

Rachuby nie zawiodły Władzia. Na Wierzbowej spotkał biegnącego w cwał Piórkiewicza, który chociaż ledwie już dyszał, zwijał jednak nogi dosyć żwawo.

— Czego tak pędzisz, waryacie!? — zapytał Władzio.

— Bo go-go-goni! — chwytając powietrze, odpowiedział Piórkiewicz.

— Głupiś! — uspokajał przerażonego Władzio, — nie go-goni, tylko sie-siedzi sobie w ogrodzie.

— Oj, ale miałem „pietra!“ — żalił się Piórkiewicz.

— Głupiś! — rezonował Władzio, — mnie się to podobało; zupełnie jakbyśmy uciekali przed jakim Indyaninem, albo tygrysem. Ale, słuchajno, pogadamy teraz o tem, co wiesz...

Wzięli się pod ręce i, idąc, rozmawiali.

Stanęło na tem, żeby wszystko urządzić tak, jak było w czwartej klasie. Trzeba czekać, aż Władzio będzie dyżurnym, tak, jak jego brat Edzio, a będzie to we

czwartek, bo we wstępnej klasie dyżury pełnili kolejno wszyscy uczniowie od pierwszego do ostatniego, i właśnie w nadchodzący czwartek przypadała kolej na Władzia.

Otóż tedy w nadchodzący czwartek Piórkiewicz miał wylać na krzesło nauczycielskie atrament, a dalej rzecz pójdzie również tak samo, jak w czwartej klasie; przyjdzie dyrektor, potem piąta klasa przyśle delegacyę, Władzia podniosą w górę, chociaż on będzie się starał udawać, że nie chce na to pozwolić, potem będzie ogólna koza, a potem Władzio już sam, jako bohater, przez dwie niedziele odsiadywać będzie kozę.

Piórkiewicz nie bardzo był zadowolony z funkcyi, którą mu Władzio przeznaczył, więc proponował, żeby Władzio sam atrament rozlał, albo kto inny, bo on się boi.

Ale Władzio krzyknął:

— Jakiś ty głupi! Jeżelibym ja wylał atrament, coby to była za zasługa, żebym potem nie wydał samego siebie. Inny wstępniak nie zechce tego zrobić, bo to tchórze, do niczego, aż wstyd! Tylko ty jeden jeszcze jesteś coś wart... — mówił dalej Władzio do wahającego się Piórkiewicza, a ten połknął pochwałę i już zgodził się na wszystko, lecz na wszelki wypadek jeszcze raz dla pewności zapytał:

— A nie wydasz mnie?

A Władzio aż się zaczerwienił z oburzenia na takie zapytanie i zawołał:

— Zobaczysz! Choćby pasy ze mnie darli, choćby mi „lufę“ ze sprawowania dali, choćby mnie chcieli „wylać ze sztuby“ nie wydam!!

— Więc zgoda! — odrzekł uspokojony Piórkiewicz. Nagle spostrzegł brak paska.

— O, Jezu! — krzyknął przerażony, — pasek zgubiłem!

— Masz mój! — rzekł Władzio, dając mu pasek, — tylko pamiętaj, żebyś wylał atrament!

— Dobrze! Wyleję, mój zbawco! — mówił uradowany Piórkiewicz, który utratę paska byłby surową karą w domu opłacił .

Ułożywszy tak pięknie plan, koledzy rozeszli się każdy w swoją stronę.

Władzio był uradowany. Podarowaniem paska zyskał pewność, że Piórkiewicz już mu się nie wymknie, a panu Stadnickiemu powie, że jakiś łobuz pasek mu zabrał i tyle.

Idąc do domu, Władzio rozmyślał nad tem, jak to on będzie z dyrektorem rozmawiał, jak go będzie delegacya z piątej klasy w górę podnosiła, jak cała klasa w kozie będzie siedziała. Przyszedłszy do domu, nic robić nie mógł...

Czekał czwartku...

XXIII.

Władzio podnosi imię klasy.

Nadszedł nareszcie upragniony czwartek i wszystko poszło jak po maśle...

Piórkiewicz, dygocąc cały od strachu, jeszcze na dziesięć minut przed wejściem nauczyciela rozlał atrament na krześle, które stało na katedrze, a Władzio tak sumiennie spełniał obowiązki dyżurnego, że nikomu do krzesła dostąpić nie dał, a jednego z kolegów, który chciał zetrzeć atrament, „lunął“ w głowę, tak, że ten z płaczem odszedł na miejsce.

Nareszcie do klasy wszedł nauczyciel. Uczniowie go „Starym“ nazywali, chociaż czterdziestu lat jeszcze nie liczył. Szedł prosto do katedry...

I wszystko świetnie się zapowiadało..

Ale nauczyciele od czasu wypadku z „Ostrygą“, pilnie oglądali krzesła; tak też uczynił i „Stary“, a spostrzegłszy kapiący atrament, którego wcale Piórkiewicz nie żałował (mimowolnie, co prawda, bo ręce mu się trzęsły ze strachu, gdy atrament rozlewał), skoczył jak opa-

rzony i, nic nie mówiąc, wskazał palcem Władziowi na krzesło.

A Władzio, chcąc ratować sytuacyę, gdyż rzecz się nie udała tak, jak w czwartej klasie, bo atrament zbyt wcześnie spostrzeżony został, wypalił bez namysłu:

— Wiem, kto to zrobił, ale nie powiem, bo nie mogę! — i z dumą spojrzał na kolegów.

— Więc to umyślnie było zrobione?

Władzio milczał.

— Już wiem, kto rozlał atrament, — rzecze nauczyciel, zwracając się do pierwszego lepszego z brzegu, — toś ty rozlał!

A malec, który nic nie był winien, który owszem chciał był zetrzeć atrament z krzesła, i jego to właśnie poturbował za to Władzio, przerażony szybko począł ze łzami mówić:

— Panie profesorze, to nie ja, to Piórkiewicz rozlał, sam widziałem doskonale!

— Aha! A chodź-no tu Piórkiewicz!

Władzio struchlał: rzecz wzięła całkiem inny obrót, nie taki, jak w klasie czwartej.

Piórkiewicz, wywołany na środek, począł się jąkać i plątać, że był namówiony przez jednego, który chciał, żeby cała klasa, tak jak czwarta, siedziała w kozie.

— A któż cię to namówił? — pytał nauczyciel.

Piórkiewicz milczał...

— Aha! Więc widocznie nikt cię nie namówił? Dobrze! zapiszemy do dziennika Piórkiewicza.

— Panie profesorze, — jęknął Piórkiewicz, — to to... to Bielicki chciał...

— Tak? A cóż pan Bielicki powie na to?

A Władzio był tak zrozpaczony, bo wszystko było „na nic“, że, już nie wiedząc, co mówi, zaczął się żalić przed nauczycielem:

— No widzi pan profesor sam, jakie to są małpy i osły w tej klasie, nic się udać nie może, zaraz wszystko wypaplą; chciałem, żeby i o naszej klasie coś mówiono w gimnazyum, chciałem podnieść imię klasy, tak, jak w czwartej zrobili...

Nauczyciel przerwał w tem miejscu Władziowi:

— Ha, już jeżeli tak chcieliście z Piórkiewiczem podnosić imię klasy, to wam zrobię tę przyjemność i będziecie dziś siedzieli, ty, mój Bielicki i ty, mój Piórkiewiczu, w kozie!

Nauczyciel mówił te słowa, nie mogąc się powstrzymać od śmiechu; zrozumiał, że tu nie żadna złośliwość, lub brak serca gra główną rolę, tylko naiwność dziecinna...

— Zapiszę was obydwóch do dziennika, żeście dokazywali podczas lekcyi, bo gdybym dokładnie opowiedział, co zaszło, toby was bezwątpienia wypędzono z gimnazyum i uczyćbyście się już nie mogli; a szczególniej wam dwóm nauka dalsza jest potrzebna, boście, jak uważam, największe głuptasy z całej klasy! A teraz stańcie obadwaj sobie w kącie i stójcie tak całą godzinę, niechże wam się dobrze klasa przyjrzy i nazachwyca waszą mądrością!

Władzio rozpłakał się z takiego zakończenia całej sprawy, bo oto cała klasa (hołota, myślał sobie), śmieje się z nich głośno, zamiast podziwiać.

Taka to wdzięczność ludzka!

Nagle Władzio przestał płakać, a stojąc w kącie

wraz z zapłakanym Piórkiewiczem, począł notować sobie w pamięci tych, którzy się najwięcej z nich śmiali.

— A już ten „lizuch“ Ceraziński, co pierwszy wydał Piórkiewicza, będzie się miał zpyszna , no!... Piórkiewicz nic nie winien, — tłómaczył sobie Władzio, — on musiał wszystko powiedzieć, bo już się rzecz wydała i cały pomysł był na nic, ale ten „podły“ Ceraziński, oj, dostanie, dostanie!

Piórkiewicz zaś stał w kącie tuż obok rozmyślającego Władzia, a łzy strumieniem lały mu się z oczu. On też rozmyślał o „laniu“, ale o tem, którego się zaraz po skończonej lekcyi od Władzia spodziewał, bo o tem co będzie, jak wróci z kozy do domu, już nawet nie chciał myśleć.

Pani Korczyńska czekała na Władzia z obiadem i czekała; zaniepokojenai wszyscy wysłali Edzia i Olesia, żeby dowiedzieli się, czy się co złego w szkole nie stało, czy nie zachorował wypadkiem.

Oleś i Edzio o niczem nie wiedzieli, bo Władzio, choć miał czas po temu, nie kwapił się wcale z zawiadomieniem ich o wszystkiem.

Przyszedłszy zaniepokojeni do gimnazyum i dowiedziawszy się, że Władzio siedzi w kozie, ponieśli tę smutną wiadomość do domu.

Pan Stadnicki zadecydował, że Władzio za karę nie dostanie obiadu...

A Władzio, nic o tem nie wiedząc, łykał ślinkę w kozie, bo głód mu strasznie dokuczał, a chociaż obawiał się potrosze pana Stadnickiego, przez myśl mu nawet nie przeszło, by za to, że chciał wsławić klasę

i siebie, pozbawić go miano obiadu: przecież Edzia wszyscy tak w domu chwalili i całowali...

To nie jego wina, że mu się nie udało, to ten „podły“ Ceraziński wszystkiego narobił, i już jeżeli do kogo pan Stadnicki może rościć pretensyę, to chyba już nie do Władzia, tylko do Cerazińskiego.

Władzio chciał przecież jak najlepiej!

A tymczasem, gdy w domu wszyscy srodze byli zmartwieni złem sprawowaniem się Władzia i szykowali mu za powrotem sążniste kazanie zamiast obiadu, on pospołu z Piórkiewiczem, według słów nauczyciela, podnosił imię klasy...

XXIV.

Drugi kwartał.

Drugi kwartał zleciał jak strzała. Ten i ów ani się obejrzał, a już cenzurę dźwigał do domu. Jedni ochoczo dążyli z rozpromienionemi twarzami — to ci, którzy mieli lekkie sumienie i grzechów żadnych w tornistrach nie chowali. Drudzy szli jakoś ospale, nic ich do domu nie ciągnęło, głowy pospuszczali na dół i ciężko im było na duszy. Wybierali drogę najdłuższą, narzekali na brak w świecie wogóle, a u nauczycieli w szczególe wszelkiej sprawiedliwości, i wlekli się, wlekli, wiedząc, że i tak nie uradują nikogo z blizkich swoją ubogą cenzurą, więc po cóż, w samej rzeczy, mają się śpieszyć? Każdy z nich w duszy przyznawał, że żaden kwartał nie zawiera w sobie takiej masy niedogodności jak drugi, bo to ani czasu nie starczyło, aby się z „greka“ lub „podłej“ algebry poprawić, ani gwiazdki nijakiej spodziewać się nie można, bo czyż tu podobna o gwiazdce myśleć, jeżeli się ma na cenzurze jaką obrzydliwą dwóję, albo nawet i kilka.

Tego samego zdania w duszy jest i Żelski, który, idąc w kupie wraz z innymi, śmieje się i dowcipkuje, ale śmiech to nienaturalny, wymuszony, a dowcipy te mają wadę, że nie są wcale dowcipne. Nadrabia jednak miną i chce się zakładać o „złocisza“ z każdym, że jeżeli on zechce, to i Korczyńskiego w trzecim kwartale „weźmie“, a jak będzie chciał, to i Barwiński nawet wraz z Bielickim nie dadzą mu rady, bo ich w kozi róg zapędzi.

Nikt ze słyszących te słowa nie ośmiela się protestować, chociaż z głębi duszy jest przekonany, że to wszystko strachy na Lachy, bo, jak wiemy, Żelski był niemożebnie silny i jakby „zamalował“ którego (a dzisiaj, chociaż niby to śmieje się, ale zły jest ogromnie), kilka zębów mogłoby paść ofiarą. Więc potakują mu nawet i pocieszają tą myślą, że ciężko będzie i Korczyńskiemu i Barwińskiemu i Bielickiemu.

— Może nie? — mówi dalej Żelski — weźcie choćby takiego Korczyńskiego, jak on się uczył dawniej, toć „słabizna“ to była straszna, a teraz już na szóstego ucznia wyskoczył, a dajcie mu jeszcze kilka kwartałów, żeby mógł się dobrze rozpędzić, to i prymusów naszych, jak nic, przeskoczy. A wiecie dlaczego? — pytał — bo chciał i basta! A cóż, czy to ja jestem gorszy od niego, czy co ? Wielka mi rzecz, żem już drugi raz czterdziesty szósty, ale jak się wezmę do roboty, to zobaczycie, co będzie...

W samej rzeczy Oleś przesunął się o dwanaście miejsc naprzód, wywołując powszechne zdziwienie nietylko między kolegami, ale i wśród nauczycieli...

A „Łacina“ aż ręce zacierał i gładził się po łysinie z zadowolenia, gdy słyszał, jak na sesyi nauczyciele

chwalili Olesia; on sam piątkę mu z ogromną przyjemnością z greckiego na cenzurę postawił, bo Oleś stanął w rzędzie najlepszych klasyków, gdyż i z łaciny masę dawnych braków usilną pracą pokrył bardzo szybko, tak że omal i z tego przedmiotu o piątkę nie zawadził, a na czwórkę w zupełności zasłużył.

Zachwycony był również „Łacina“ i swymi prymusami, bo ku ogólnemu zdziwieniu Edzio i Staś utrzymali się obydwaj na pierwszem miejscu . Niemała była w tem zasługa samego „Łaciny“, bo „Ostryga“ nie chciał na żaden żywy sposób przystać na piątkę ze sprawowania dla Edzia, pamiętny na owo fatalne zdarzenie, w czasie którego Bielicki był dyżurnym. Ale „Łacina“ uparł się tak, jak jeszcze nigdy. Póty prosił tłómaczył, a przekładał, że Bielicki za wzór dla innych służyć może, bo i pilnie się uczy, uważny jest podczas lekcyi bardzo i sprawuje się, jak rzadko kto, póki inni nauczyciele nie przyjęli jego strony i nie poparli prośby, by „Ostryga“ zgodził się na piątkę ze sprawowania. Wreszcie „Ostryga“, ulegając ogólnemu życzeniu kolegów, zgodził się na ową piątkę.

Wskutek tego Staś Barwiński strasznie się przerachował. Widział on w końcu kwartału, że nienawistnego rywala na żadnym punkcie nie zwyciężył: Bielicki miał wszystkie piątki, tak samo jak i on. Ale Staś, tak samo jak i „Ostryga“, nie zapomniał o owym skandalu i liczył napewno, że Edzio w najlepszym razie otrzyma ze sprawowania czwórkę, a może Bóg da, że nawet trójkę, wtedy on pierwsze miejsce w klasie zajmie niepodzielnie, tak jak było za lat dawnych...

Gdy go te rachuby jednak zawiodły, zgryzł się i struł ogromnie, tak, że w jednej chwili zmizerniał znacznie.

Po rozdaniu cenzur zbliżył się do Edzia i z gniewem rzekł:

— Strzeż się, przybłędo, w trzecim kwartale; kwartał to długi i najtrudniejszy, a wiedz o tem, że ja już teraz w środkach przebierać nie będę i za jakąbądź cenę pierwszeństwo, którem się dzielić muszę z tobą, wydrę ci i tylko przy sobie zatrzymam, nikczemny przybłędo!

Edziowi krew do głowy uderzyła, ale pohamował słuszne oburzenie i rzekł spokojnie:

— Za cóż mnie lżysz? Cóżem ci złego zrobił? Oto już od czterech miesięcy dobijam się o życzliwe słowo od ciebie, o koleżeński uścisk dłoni! Przybłędą żadnym nie jestem, bo wrota nauki naoścież dla wszystkich rozwarte, każdy ma prawo się uczyć! Rzuć precz niechęć, jaką żywisz ku mnie, nie wiem z jakiego powodu; oto moja ręka! Wobec wszystkich kolegów wyciągam ją do ciebie i błagam, bądź mi przyjacielem. Ty jeden z całej klasy jesteś mi nieprzyjazny i to mnie boli, boli bardzo! Mój drogi Stasiu, kolego kochany, jeszcze raz proszę, rzuć niechęć w kąt i bądź mi przyjacielem!

To rzekłszy, objął Stasia szybko za szyję i całować chciał.

Mowa Edzia, wypowiedziana z wielkiem uczuciem, wielkie na słuchaczach sprawiła wrażenie. W głosie jego znać było głęboki żal do Stasia za niczem nieusprawiedliwioną niechęć, a o przyjaźń prosił tak gorąco, że wszyscy niemal byli wzruszeni, a Oleś płakał nie na żarty.

Gdy Edzio zarzucił ręce na szyję Stasia i objął go serdecznie, wszyscy dech w piersiach powstrzymali i gromkim okrzykiem „vivat!“ gotowi byli przyjąć pierwszy serdeczny uścisk dwóch rywali, lecz Staś

chwycił za ręce Edzia, szybkim ruchem oderwał je od swojej szyi i silnie go odepchnął.

Edzio aż się potoczył...

Takiego rezultatu nikt się nie spodziewał, więc wszyscy przez chwilę stali w osłupieniu, gdy nagle wśród ciszy zabrzmiał złowrogi głos Stasia, jakiś nienaturalny, chrapliwy, niesympatyczny:

— Ja tobie druhem?!... Ja tobie przyjacielem?!... A czy ty wiesz, ile męczarni ja przez ciebie przeniosłem, ile łez wylałem, ilem się wstydu i upokorzenia nałykał, ilem nocy bezsennych spędził?... Czy ty możesz to sobie wystawić? Nie! Nie możesz, choćbyś chciał!! Wiedz o tem, że wrogiem ci będę do ostatniego tchu, wiedz, że ja cię od pierwszych słów twoich znienawidziłem i nienawidzę z każdą chwilą coraz bardziej! Ja nawet podziwiam, jak ja mogę w sobie tyle nienawiści pomieścić! Ciężko mi od niej strasznie, to prawda, ale ślubuję ci uroczyście, tu wobec wszystkich, że póki życia ręki przyjaźnie ku tobie nie wyciągnę! Odczep się raz odemnie i daj mi pokój!

Powiedział to szybko, jednym tchem i wypadł z klasy, a wrażenie, jakie słowa jego wywarły, straszne było.

W przerażeniu wszyscy milczeli i ze współczuciem spoglądali na Edzia, który stał złamany ze spuszczoną głową, a łzy duże obfite spływały mu po twarzy. Nagle zachwiał się, oparł na ramieniu Olesia i rzekł z łkaniem:

— Niechaj mu Bóg nie pamięta tej krzywdy, którą mi dziś wyrządził!

Tymczasem ten i ów przychodził do siebie... Nagle odezwał się głos: „podły“!

— Lanie mu — ryknął Żelski, i wnet hurmem rzu-

cono się do drzwi, ale nim do nich dobiegli, już stał tam Edzio i krzyknął donośnie: „stójcie“!

A gdy stanęli, sądząc, że on, jako pokrzywdzony, chce przyjąć naczelne nad nimi dowództwo w tej ogólnej wyprawie na Barwińskiego i mowę sążnistą a podburzającą ku zemście im palnie, Edzio rzekł podniesionym głosem:

— Na przyjaźń moją dla was przysięgam, że wrogiem będzie mi ten, który rękę na niego podniesie! Ja się z nim jeszcze skwituję, bądźcie spokojni...

Przystali, aczkolwiek niechętnie.

Ciekawi byli ogromnie, jak się zemści Bielicki, ale pytać nie śmieli. Myślano powszechnie, że Edzio bez niczyjej pomocy zbije Barwińskiego na kwaśne jabłko, bo od pierwszego wejrzenia widać było, że Edzio fizycznie daleko jest silniejszy od niego.

Jeden tylko Oleś zrozumiał Edzia, on znał go najlepiej! Wiedział, że Edzio Barwińskiemu przebaczy i byleby tylko Barwiński pozwolił, Edzio pierwszy rękę do zgodyby podał.

Więc podziwiał tylko piękny charakter Edzia, czuł się maluczkim wobec niego, ale i dumny był zarazem, bo myślał sobie: „Oto mój najbliższy, najserdeczniejszy przyjaciel! Któż się może, prócz mnie, poszczycić jego przyjaźnią?! Kocha wszystkich, to prawda, ale mnie najwięcej! A ja? Ja go nad życie kocham!“

W milczeniu rozchodzono się do domu...

XXV.

Władzio i jego przyjaciel.

Chociaż Edzio prosił i zaklinał Olesia na wszystkie świętości, by jechał z nim tegoż dnia na święta do jego rodziców, Oleś za nic nie chciał się na to zgodzić, bo dzień wigilijny, jak mówił, koniecznie pragnął spędzić razem z mateczką, przy wieczerzy połamać się z nią opłatkiem i złożyć jej życzenia wszelkiej pomyślności.

Stanęło na tem, że dopiero trzeciego dnia świąt Oleś wyruszy z Warszawy i podąży do przyjaciela, który martwił się bardzo nawet tak krótkotrwałą rozłąką...

Władzio, który w duszy ślubował sobie uroczyście, że książki przez całe trzy tygodnie do ręki nie weźmie, ma bowiem już dosyć tego „kucia“, raźno gotował się do podróży.

I jemu było tęskno do mamusi, która napewno nie będzie go pozbawiała obiadów, przeciwnie, sądził, że pod jej troskliwym okiem „odpasie się“ chociaż cokolwieczek, bo chociaż wyglądał jak rydz, i zdrowie tryskało mu z twarzyczki, utrzymywał, że jest ogromnie mizerny

i schudł tak strasznie, że niedługo żebra zaczną mu drzeć ubranie. Rozkoszował się myślą, ile to mu kochana mamusia na wilię klusek z makiem na talerz położy, a on zje wszystkie, talerz językiem wyliże i poprosi jeszcze o jeden talerz i do tego z czubem, znów zje, znów talerz wyliże i znów poprosi i tak będzie jadł, jadł te kluski z makiem ze dwie albo trzy godziny bez przerwy, żeby odjeść te sześć obiadów, których pozbawił go niedobry pan Stadnicki. Pan Stadnicki nie może znosić, jak Władzio talerz wylizuje, gniewa się o to i powiada, że tylko psy tak robią, ale Władzio myśli sobie, że, na złość panu Stadnickiemu, będzie psem i będzie lizał każdy talerz po każdej potrawie na wilii, na złość, za te sześć obiadów.

W samej rzeczy pan Stadnicki, widząc, że kara ta najskuteczniej działa na niesfornego malca, starał się jak najczęściej jej używać. Nie pomogły łzy i błagania po owej pamiętnej kozie: Władzio, powróciwszy do domu, zamiast oklasków zachwytu i laurów, musiał wysłuchać długiej bury i został skazany na pozbawienie wszelkich potraw obiadowych. Kara ta w krótkim przeciągu czasu była powtórzona jeszcze cztery razy, więc Władzio, widząc, że to nie przelewki, puścił w niepamięć swoje ideały, zaczął się lepiej sprawować, a prócz tego bardziej przykładać do nauki, bo pan Stadnicki stawiał wymagania coraz wyższe i w końcu nawet za taki świetny stopień, jak trójka, groził karą głodową.

Więc Władzio dyktanda w klasie uważniej, niż przedtem jął pisać, dłużej nad książką się kiwał, a chociaż smutne to było, według niego, życie, pocieszał się myślą, że za to obiad go nazajutrz nie ominie, gdy czwórkę lub piątkę z jakiego przedmiotu przyniesie. A że zdolny

był bardzo, więc z trudem mu to nie przychodziło, czwórki i piątki jęły się sypać jedna za drugą, jak z rękawa, i wkrótce Władzio znalazł się w rzędzie lepszych uczniów.

Nie obyło się wprawdzie bez tego, by który z kolegów od czasu do czasu nie oberwał coś od Władzia, bo bić innych, a jak Władzio wyrażał się: „kopsać". było najmilszą jego rozrywką, lecz na nią pozwalał sobie wtenczas, gdy była wszelka pewność, że żaden z nauczycieli tego nie spostrzeże.

Władzio na drugi kwartał został ósmym uczniem, lecz wcale go to nie cieszyło; dumniejszy był, gdy zajmował dwudzieste piąte miejsce w klasie, bo w pierwszym kwartale czuł się bardziej wolnym i uczył się, jak sam chciał, a teraz w drugim kwartale uczył się dlatego, że miał ciągle nad sobą, jak ów miecz Damoklesa, obietnicę pana Stadnickiego, która za najmniejsze niedbalstwo ze strony Władzia, groziła mu głodem. Z ogromnym żalem zwracał się do Piórkiewicza, że on, syn takiego bogatego ojca, musi, jak zwyczajny robotnik, w pocie czoła pracować na obiady i nie ma czasu z nim na różne spacery chodzić.

Ale teraz to sobie powetują, będą jeździli po stawie na łyżwach i sankami, książki w kąt cisną, dali sobie słowo!

Władzio napisał do ojca list, w którym prosił go o pozwolenie zaproszenia ubóstwianego kolegi Piórkiewicza na cały czas feryi świątecznych, a pan Bielicki z chęcią na to przystał, nie wiedząc, co to za ryba ten ubóstwiany kolega, o którego cnotach sprytny Władzio w ostatnim liście cztery strony bitym maczkiem napisał.

Piórkiewicz był w siódmem niebie, bo wsi nigdy jeszcze w zimie nie widział, a Władzio drżał z radości

na myśl, że będzie miał towarzysza do lepienia bałwanów ze śniegu, jeżdżenia na łyżwach i walki śnieżnemi pigułami.

Już się bowiem ułożyli z sobą, że codziennie wstawać będą bardzo rano i przed śniadaniem będą się „kopsali“ pigułami; potem zjedzą śniadanie i na łyżwach do obiadu jeździć będą; po obiedzie będzie znów „kops“ do podwieczorku, po podwieczorku będzie się odbywała jazda na łyżwach i lepienie bałwanów z nosami i oczyma, potem zaś już będzie kolacya. Po kolacyi pójdą do pokoju Władzia na górę, zamkną się na klucz i będą się mocowali.

Mocowanie to było pociechą w smutkach Władzia. Ile razy tylko mógł się cichaczem wymknąć z domu, dążył do Piórkiewicza, szedł z nim na pole Mokotowskie daleko, bardzo daleko, gdzie ludzi nie było, i tam mocowali się z sobą. Z początku Władzio za każdym razem kładł bez trudu Piórkiewicza na ziemię. Ale z biegiem czasu Piórkiewicz wyrobił się na dzielnego szermierza, i czasem Władzia kości dobrze bolały, bo i on nieraz znalazł się na ziemi, a Piórkiewicz, gdy mu się taka gratka trafiła, chciał pomścić dawne niepowodzenia i przyciskał Władzia do ziemi tak mocno, że ten ledwie dyszał.

Taka bowiem stanęła umowa między przyjaciółmi, że ten, kto zwycięzcą zostanie, klękał na piersiach zwyciężonego i z całej siły przygniatał go do ziemi, dopóki biedaczysko do trzydziestu nie doliczył; później zaś zwyciężony wstać musiał, brać na plecy zwycięzcę i wyrywać z nim co sił, dopóki ów zwycięzca nie przeliczy do piętnastu, a że zwycięzca w danym razie wcale się śpieszyć nie myślał, można sobie wyobrazić, jak ładnie wyglądał zwyciężony po takiej jeździe.

Władzio z początku ciągle jeździł na Piórkiewiczu, ale w ostatnich czasach Piórkiewicz bronił się z wściekłością podrażnionego tygrysa, wiedział już bowiem z kilkunastorazowego doświadczenia, co go czeka, gdy zostanie przewrócony...

Gdy Władzio po raz pierwszy znalazł się na ziemi, Piórkiewicz tak zgłupiał, że zanim ukląkł według umowy na piersiach Władzia, ten już dawno do trzydziestu przeliczył i skończyło się na tem, że Piórkiewicz tylko przejechał się na Władziu i musiał się wyrzec przyjemności przygniatania go do ziemi.

Z powodu nadejścia zimy tak miła zabawa musiała być przerwana, bo w mieszkaniu nie mogło być mowy o niej, gdyż zawsze ktoś stanął na przeszkodzie, ale tam, na wsi, Władzio ma swój oddzielny pokój, zamkną się na klucz i nikt nie wejdzie, będą mogli gnieść się kolanami „ile wlezie“ i jeździć na sobie bez żadnej przeszkody.

Z początku Piórkiewicz nie chciał się w to bawić, ale Władzio obiecywał, że mu da „bez ceregieli w bok“, a że obietnicy tego rodzaju zawsze zwykł był dotrzymywać, więc przystał, a gdy udało mu się Władzia parę razy przewrócić, wygnieść go porządnie kolanami i pojeździć na nim, nabrał ochoty do tej zabawy i polubił ją bardzo.

Pan Stadnicki nie bardzo był zadowolony z towarzystwa Piórkiewicza, ale że Władzio coraz lepiej się uczył, więc nic już nie mówił, sądząc, że figle wszelkie są rzeczą przejściową, i że Władzio nabierze z czasem rozumu. Pan Stadnicki jednak przyrzekał sobie solennie ciągle mieć na oku obydwóch malców.

Pani Korczyńska wraz z Olesiem odprowadziła odjeżdżających na kolej, prosząc Edzia o załączenie rodzicom ukłonów. Edzio podziękował za pamięć i jeszcze raz wziął od pani Korczyńskiej słowo, że Oleś trzeciego dnia świąt wyruszy z Warszawy, wsiadł do wagonu, i wkrótce pociąg rozdzielił serdecznych przyjaciół.

XXVI.

Gwiazdka dla mamusi.

Nazajutrz około godziny dziewiątej rano Oleś wyszedł z domu, mówiąc, że ma ochotę troszkę pochodzić po mieście. W rzeczywistości jednak chciał być sam z sobą, by zdecydować ostatecznie, coby to mamusi kupić na gwiazdkę. Kłopot bo miał Oleś z tym fantem nielada! Przeznaczył oddawna na tę przyjemność całą miesięczną zapłatę za drugą korepetycyę, którą w sekrecie przed mamusią w końcu listopada przyjął i za którą wczoraj właśnie calutkie pięć rubli, jako wynagrodzenie, otrzymał.

Suma ta wydawała się Olesiowi olbrzymią.

— Co prawda — myślał sobie — karety i koni za to nie kupię, ale zawsze coś porządnego dostać będzie można. Tylko coby tu wybrać?...

W wakacye marzył o kupieniu mamusi „Robinsona Cruzoe“, ale teraz już śmieje się sam z tej myśli, bo chociaż to książka najładniejsza w świecie, ale to nie dla starszych osób, tylko dla takich dzieciaków, jak on, a nawet może jeszcze dla mniejszych?! Mamusia już dosyć jest

mądra, myślał sobie dalej, i żadnych książek nie potrzebuje.

Gdy idzie sobie, tak rozmyślając, wzrok jego nagle padł na wystawę jednego ze sklepów jubilerskich, i zaraz mu błysnęła myśl, że tu się da coś wybrać...

— A gdyby tak — pomyślał — sprawić mamusi takie kolczyki brylantowe, jakie nosi mama Edzia, hm... może to i niezła myśl?!

Zatrzymał się, pomyślał jeszcze chwilę,, sięgnął do kieszonki, wyjął portmonetkę, zajrzał do środka, czy aby nie zgubił pieniędzy, a upewniwszy się, że są na swojem miejscu, odważnie wszedł do sklepu.

W sklepie było kilka kupujących osób, i Oleś chwilę czekać musiał, zanim sam właściciel zwrócił się do niego ze słowami:

— Czego kawaler sobie życzy?

— Chciałbym proszę pana kupić brylantowe kolczyki — odrzekł śmiało Oleś.

Jubiler rzucił okiem na skromnie odzianego gimnazistę, ale sięgnął do szkatułki i wydobył pudełeczko, pytając:

— Czy pan prawdziwe brylanty życzy sobie nabyć?

Oleś nigdy o fałszywych kamieniach nie słyszał, więc odparł cokolwiek zdziwiony:

— Ależ naturalnie, proszę pana!

Jubiler spostrzegł w tonie zdziwienie, sądził, że kupujący malec czuje się urażonym tem zapytaniem, więc rzekł:

— Niech się szanowny pan nie obraża, ale teraz

najczęściej tylko imitacye kupują; oto są kolczyki z brylantami czystej wody.

Oleś wziął kolczyki w rękę, przyglądał się im długo, oddalał od oczu i przybliżał, a jubiler śledził go ze zdumieniem, że taki młody uczniak, taki dzieciak, okiem dobrego znawcy patrzy na tak drogie rzeczy...

— Cóż, podobają się panu? — zapytał wreszcie, rozumiejąc że wyraz „pan“ daleko lepiej pasuje do znawcy, niż „kawaler“.

— Owszem, panie, — odrzekł Oleś — ale ja prosiłbym o większe, te są dla mnie zbyt małe.

Jubiler zdumiał się jeszcze bardziej, podsunął Olesiowi krzesło i rzekł:

— Zaraz znajdę, mam tu jedną parę kolczyków, ta akurat będzie dla szanownego pana. Niech pan będzie łaskaw tymczasem spocząć...

Oleś usiadł sobie najspokojniej, a jubiler szukał tej pary kolczyków, zachwycony przybyszem, w którym tak bogatego kupca ani się spodziewał, bo o cenę nawet nie pyta, bagatelna to widać rzecz dla niego. Jak to pozory mylą, myślał sobie jubiler, szukając owych kolczyków.

Znalazł je nareszcie i pokazał Olesiowi.

— O, te będą dobre, właśnie o takich myślałem! — krzyknął radośnie Oleś. — Ile mam za nie zapłacić? — przytem sięgnął do kieszeni po woreczek z pieniędzmi.

— Ostatnia cena, proszę szanownego pana — mówił jubiler — jest dwieście siedmdziesiąt rubli!

Oleś zdrętwiał, posiadał tylko pięć rubli, ani grosza więcej; szybko obliczył, że do dwustu siedmdziesięciu jeszcze mu dużo brakuje.

Zaczerwienił się wyżej uszu i rzekł:

— Przepraszam bardzo, sądziłem, że te kolczyki można będzie kupić najwyżej za pięć rubli.

Osoby, będące w sklepie, roześmiały się głośno, a rozgniewany jubiler zawołał:

— Można kupić nawet taniej, ale nie u mnie.

— A gdzie proszę pana? — pytał pomieszany Oleś.

— Za Żelazną Bramą! — odpowiedział z gniewem jubiler.

Oleś podziękował i wyszedł ze sklepu...

Nie prędko przyszedł do siebie ze zdumienia.

Toć żeby takie kolczyki mamusi kupić, on musiałby przez kilka lat dawać korepetycye i nic nie wydawać z tych pieniędzy, tylko co do grosza je odkładać.

— Hm... — mówi Oleś do siebie — ten pan mówił, że za Żelazną Bramą dostanie nawet taniej, jak za pięć rubli... Chyba niepodobieństwo?! Może żartował ze mnie — myśli nieborak — ale co to szkodzi spróbować?

— W samej rzeczy — przypomina sobie Oleś — przecież mamusia wszystkie materyały dla siebie na suknie rozmaite, na szlafrok, rzeczy najrozmaitsze do domu zawsze za Żelazną Bramą kupuje, bo mówi, że tam najtaniej, a w sklepach to niczego dokupić się nie można, bo taka w nich straszna drożyzna!

Oleś zły jest na siebie, że zapomniał o tych słowach mamusi i że odrazu nie poszedł za Żelazną Bramę.

Chociaż niepodobna, aby tak straszna różnica była w cenach, ale Oleś pójdzie i przekona się, a jeżeli uda mu się dostać kolczyki za pięć rubli, dopieroż to mamusia cieszyć się będzie!...

Szedł więc śpiesznie z bijącem sercem i wkrótce znalazł się u celu.

Tłok i gwar panował tu nie do opisania. Każdy przekupień zachwalał swój towar i, żeby lepiej być słyszanym od innych, darł się w niebogłosy.

Oleś bacznie przyglądał się wszystkiemu, ale nigdzie upragnionych kolczyków nie widział.

Gdy już zgryziony chciał wracać do domu, spostrzegł nagle żydka, wykrzykującego:

— Do zegarki! do gziebieniów! do kolciki! do pierścionki!!

Olesiowi żywiej serce zabiło: żydek coś mówił o kolczykach!

Przez chwilę Oleś walczył z sobą, obawiał się, czy znów go taka kompromitacya, jak w sklepie, nie spotka, wreszcie przemógł się, podszedł do żydka i, uchylając czapeczki, zapytał:

— Przepraszam pana, czy pan ma brylantowe kolczyki?

— Za co ni mam mieć? — odrzekł skwapliwie żydek z nizkim ukłonem, — ja wsistko mam, niech wielmożny pan zobaci!

— Ale ile kosztują? — zapytał przezorny Oleś.

— Już mi sze zgodziem, niech wielmożny kawaler spojzi!

— Nie będę patrzył, dopóki ceny nie będę wiedział.

— Ja panu co powiem, u mnie są rozmaite fain kolciki!

— Ale po ile?

— Może bić za pół rubla!

— Ale brylantowe? — zapytał niespokojnie Oleś.

— Brylantowe tyś może być za pół rubla.

— Pokaż pan! — krzyknął radośnie Oleś...

— Mamusia prawdę mówiła — pomyślał—wszystko teraz za Żelazną Bramą kupować będę.

Żydek wydobył kolczyki i pokazał Olesiowi.

— Ile te kosztują? — zapytał drżącym głosem Oleś, z oczyma rozszerzonemi, w których radość i niepokój naprzemian błyskawicznie się zmieniały .

To kośtuje sieść złotych — mówił żydek, który już po zachowaniu się Olesia zaczął miarkować, z kim ma do czynienia i czuł, że dobry interes zrobi.

— Tylko sześć złotych?! — krzyknął radośnie... — Wyobraź pan sobie ,— mówił dalej zachwycony — że za takie same w sklepie u jubilera ode mnie chcieli dwieście siedmdziesiąt pięć rubli!

Żydek aż się w język ukąsił, że tak małą cenę podał.

— Ja panu co powiem — rzekł — te kolciki, to są nic warte, co ja wielemożnemu panu teraz pokazałem, ja już widzę, co one są bzidkie i wielemożnemu panu wcale sze nie podobają.

— Ależ śliczne są i tanie — mówił z zachwytem Oleś — i zaraz panu zapłacę.

— Ja zaraz witłomaczenie zrobie wielemożnemu panu, te brylanty, co ja wielemożnemu panu kawalerowi potrziebował pokazać, to nie są wcale brylanty, to jest gałgaństwo, bo to jest zwiczajne śkło, ja mam inne prawdżywe brylanty; te kolciki to som dobre dla kucharki jakiej, albo dla bidne zidówke, a dla pańskie dziecko, to ja mam tu prawdziwe kolciki z takim duzim brylantem, co aj waj! Uni trochę drozi kośtuje, ale po co wielemożny pan

ma szwinstwo kupić, o, niech wielemożny pan kawaler popatrzi te kolciki i te kolciki, co to za różnica je!

Oleś trochę stracił na minie.

— Prawda — myślał sobie — że te większe znacznie i ładniejsze, ale też pewno ze sto rubli kosztują...

— Patrz pan — kusił żydek dalej — co to za ogień, aż parzy, — mówił, kierując szkiełka na promień słoneczny — a teraz patrz pan na tamtych kolcików, jakie oni szwiństwo, śkło zwyczajne, a jakie te fajn, pan sze zna, ja odrazu wiem, co pan je kupi, to trochę drozi koštuje, ale co fajn, to fajn, ja nawet teraz nie wiem, ci sprzedać, może lepiej dla mojej Ryfki zostawicz?

— A ileż za te kolczyki? — zapytał Oleś, chcąc prędzej dobić targu, bał się bomiem, aby żydek się nie rozmyślił i rzeczywiście dla swojej Ryfki tych klejnotów nie zachował.

— Dla pana ostatnie cene jest dzeszęć rubli!

— Ja mogę dać tylko pięć — szepnął z żalem Oleś.

— Oszem rubli — mówił dalej żydek, a widząc, że Oleś nic nie mówi, wyrzekł nareszcie:

— No, bierz pan, sieść rubli, na moje sumienie ja tracę, mnie samego więcej kosztuje, niech ja sam skonieje, jeżeli kłamię.

— Kiedy, proszę pana, ja mam tylko pięć rubli i ani grosza więcej dać nie mogę.

— Pan kawaler tak mi sze podobał, zie niech stracę, weź pan, może na dobry początek, może na jakim głupim co zarobię! Aj waj, jak pan umie kupować, wsiscy sze będą dżywować, co tak tanio.

Oleś zapłacił pięć rubli, wziął od żydka kolczyki, schował do kieszonki i pobiegł z zadowoleniem do domu,

błogosławiąc żydka za jego dobre serce, że tak tanio mu sprzedał takie duże i takie piękne kolczyki...

A żydek z dobrem sercem aż pluł na ziemię z radości i nos ręką ucierał, bo takiego kupca, który dawałby na takiej bagatelce zarobić przeszło czterysta procent, nigdy w życiu jeszcze nie miał, lecz wkrótce znów słychać było jego głos monotonny, zmęczony:

— Do pierścionki, do gziebienie, do brylantowe kolciki!

Do wyrazu „kolczyki“ uważał za stosowne dodawać: „brylantowe“...

XXVII.

Wieczór wigilijny.

Z początku Oleś miał zamiar dopiero po wigilijnej wieczerzy doręczyć mamusi swój wspaniały prezent, ale nie mógł wytrzymać do wieczora. Paliła go ciekawość, jak mamusia przyjmie ten jego dar; ucieszy się pewno i długo cieszyć się będzie, czemuż więc tej chwili nie przyśpieszyć, czemuż zwlekać tak długo?! Więc kręcić się zaczyna niespokojnie, zachodzi do kuchni, zagląda mamusi w oczy...

— Cho, mamusia ani się spodziewa, jaką jej niespodziankę zgotowałem! — myśli Oleś, powraca do pokoju, przygląda się kolczykom, układa je na stole zrazu blizko jeden drugiego, potem dalej, przygląda się, a namyśla, jakby tu je ułożyć, żeby piękniej wydać się mogły...

— Mamusia zdziwi się, jak zobaczy!—mruczy z zadowoleniem pod nosem.

Ułożył wreszcie kolczyki na środku stołu, który przedtem ciemną nakrył serwetą, z daleka jeden od drugiego, myśląc, że im rzecz więcej miejsca zabierze, tem efektowniej się przedstawi i zaczął czyhać na chwilę, kiedy mamusia wejdzie do pokoju.

Chwili tej niedługo oczekiwał...

Gdy mamusia weszła, Oleś wziął ją za ręce i z bijącem sercem zaprowadził do stołu...

— Mateczko! — przemówił, — to gwiazdka od syna dla matusi najdroższej.

Pani Korczyńska spojrzała i w tejże chwili łzy radosne błysnęły jej w oczach, chwyciła Olesia za szyję, mocno przycisnęła do siebie i nic mówić nie mogła, tylko po twarzy jej spływały brylanty błyszczące, tak cenne, że za żadne skarby świata kupićby ich nie można było: to łzy radości i dumy matczynej!...

Z wielkości mniemanych brylantowych kolczyków i z jakości ich obrobienia, pani Korczyńska odrazu oceniła wartość faktyczną prezentu, jednak, patrząc na serce nie na cenę, ucieszyła się bardzo i całowała Stasia serdecznie...

Oleś cieszył się niewymownie, a widząc, że mamusia wyjmuje z uszu stare kolczyki z jakiemiś czerwonemi kamieniami i wkłada te, co dostała od niego, wpadł w doskonały humor i wnet, skacząc koło mamusi, żywo zaczął opowiadać, ile to on zmartwienia miał, zanim uczynił wybór ostateczny; jak to on do sklepu jubilerskiego poszedł, ale tam chcieli za takie same kolczyki dwieście siedmdziesiąt pięć rubli... Oszukańcy jedni!... Jak to on

w porę przypomniał sobie słowa mamusi, że wszystko najlepiej kupować za Żelazną Bramą; jak to on tam poszedł; jak długo szukał i nic znaleźć stosownego nie mógł; jak nareszcie spotkał poczciwego żydka, który mu najpierw chciał sprzedać brylanty ze szkła za sześć złotych, a potem namówił go, żeby lepsze kolczyki kupił, bo tamte, to dobre są dla jakiej kucharki, albo dla biednej żydówki, a nie dla niego; jak to ów żydek pokazał mu te właśnie kolczyki, które mamusia teraz już ma w uszach; jak żydek chciał aż dziesięć rubli za nie, a ostatecznie za pięć odstąpił, bo Oleś nie głupi, nie chciał więcej zapłacić, a zresztą chociażby chciał, to nie mógł, bo tylko pięć rubli miał przy sobie, które zarobił w sekrecie przed mamusią, tak, że mamusia ani się domyślała; gdyby miał dziesięć rubli, albo i piętnaście, to też by z ochotą wszystkie pieniądze oddał, gdyż koniecznie chciał, żeby jego mamusia miała takie same kolczyki, jak mama Edzia i Władzia.

Pani Korczyńska, usłyszawszy, że Oleś za te szkiełka aż pięć rubli, ciężką pracą zdobyte, zapłacił, omal nie krzyknęła z przerażenia i żalu, ale wnet się pohamowała, bo jakże tu dziecku tłómaczyć, że padło ofiarą niecnego oszustwa, że tyle pieniędzy na marne wyrzucił. Niechże on ma to przeświadczenie, że w rzeczywistości cenną rzecz nabył, zmartwiłby się z pewnością, gdyby się prawdy dowiedział.

Więc pani Korczyńska rozrzewniona głaskała Olesia po głowie i całowała, a po chwili zapytała, w jaki to sposób ukochany synek tyle pieniędzy zarobił?

Tu dopiero Oleś z dumą oznajmił, jak to on już w październiku zaczął myśleć o gwiazdce dla najukochań-

szej mateczki, jak w tajemnicy przed nią od miesiąca dopiero, bo wcześniej nie mógł, wystarał się o nową korepetycyę i wszystkie pieniądze otrzymane za nią poświęcił na prezent dla mamusi.

Pani Korczyńskiej znów łzy się w oczach zakręciły: żal jej było, że Oleś padł ofiarą oszukaństwa, z drugiej zaś strony dowód głębokiej w tak młodym wieku miłości synowskiej, czynił jej te bezwartościowe szkiełka droższemi nad najprawdziwsze brylanty.

Olesia również wielka czekała niespodzianka... Mamusia, która już, według niego, przyszła do siebie ze zdumienia i dosyć się w lustrze naprzeglądała z założonemi w uszy brylantowemi kolczykami, odsunęła szufladkę w biurku, wyjęła z niej śliczny srebrny zegarek męski z takąż dewizką i oddała go w ręce Olesiowi.

— Masz, synu kochany, od matki na gwiazdkę; będziesz mógł teraz ciągle śledzić, jak czas chyżo pędzi. Często człowiek chciałby zatrzymać one wskazówki i to tik-tak! zegarowe, gdyby i czas tym sposobem zatrzymać można; ale daremna to praca, czas wciąż naprzód mknie w szalonem tempie, nie wracają chwile, które przeszły, więc nie trać ich marnie, synu kochany, pamiętaj, że kiedyś będziesz musiał zdać rachunek z każdej chwili...

Lecz Oleś tych słów nie słyszał; od chwili, gdy zrozumiał, że zegarek mieć będzie, już plackiem na ziemi leżał, nogi mamusi najdroższej całując i płacząc, jak bóbr z rozczulenia...

Podczas skromnej wieczerzy wigilijnej, nastrój był bardzo pogodny. Oleś, wpatrzony w kolczyki, które on

sam za swoje pieniądze kupił mamusi, i które mamusia naprawdę miała w uszach, opowiadał o sprawach szkolnych, a pani Korczyńska z zachwytem wpatrywała się w ożywionego jedynaka i pobłażliwie uśmiechała się, gdy Oleś co chwila na zegarek własny spoglądał, i co minuta prawie oznajmiał, że ta a ta godzina teraz...

XXVIII.

List.

Najdroższa Mateczko!

Ogromnie jestem zmartwiony, Matuchno droga, bo Edzio powiada, że te brylantowe kolczyki, które ja dla Mamusi za pięć rubli kupiłem, nic nie są warte, i że Mamusia będzie się wstydziła napewno chodzić w nich na ulicę.

Takie kolczyki z prawdziwymi brylantami i takimi dużymi, jak ja naumyślnie wybrałem, żeby ładniejsze były, kosztują paręset rubli, a ja wszystkiego zapłaciłem za nie aż pięć rubli i to jeszcze Edzio powiada, żem napewno przepłacił, że ten zły żyd z za Żelaznej Bramy mnie oszukał, bo są podobno i fałszywe brylanty, o czem ja, jak Mamusię kocham, wcale nie wiedziałem, i te fałszywe brylanty są bardzo podobne do prawdziwych, ale i takie kamienie to trzeba kupować w porządnym sklepie, a nie u takiego pierwszego lepszego żydka za Żelazną Bramą.

Edzio mówił, że żadna porządna osoba, nic za Że-

łazną Bramą nie kupuje, ale ja mu powiedziałem, że nieprawda, bo moja Mamusia dla siebie wszystko tam kupuje; i pończochy, i buty, i materyał na szlafrok i na suknie, a przecież Mamusia jest porządna osoba.

Odrazu go przekonałem i przyznał mi zaraz, że by mylnego zdania. Edzio strasznie mnie żałuje, żem te pięć rubli, jak w błoto rzucił, bo on dobrze wie, że ja jestem biedny i nie mam pieniędzy i że dla mnie pięć rubli może więcej znaczy, niż dla innego kilkaset.

Więc ja przepraszam Mamusię, żem taki prezent na gwiazdkę dla Mamusi kupił, co go nosić nie warto, ale dobrze mi tak! Pocom głupi? Pocom się nikogo starszego nie poradził?! Przez to teraz wstyd mi tylko i żal w sercu czuję duży i tyle...

Edzio i Władzio podostawali masę prezentów na gwiazdkę, ale ja wolę swój zegarek, on mi droższy nad drewniane konie, gry i zabawki rozmaite, nawet wolę go, jak Mamusię kocham, niż welocyped, co Władzio dostał na gwiazdkę od swojego ojca, taki na trzech kołach, i codzień na nim jeździmy wszyscy po mieszkaniu.

Opowiadał mi Edzio, że u nich wieczerza wigilijna przeszła niezbyt wesoło, gdyż na parę godzin przedtem, Władzio pobił się ze swoim kolegą Piórkiewiczem, który, tak samo, jak ja do Edzia, przyjechał do Władzia.

Oni bawili się w bitwę pigułami ze śniegu, i Piórkiewicz, rzuciwszy ogromną pigułę, trafił Władzia w oko. Władzio myślał z początku, że mu oko wypłynęło i zaczął krzyczeć, że nie ma oka, a przerażony Piórkiewicz zaraz do niego przyleciał i patrzył, czy to prawda, a potem powiedział Władziowi, żeby nie krzyczał, bo oko ma całe.

Władzio, jak się dowiedział, że ma oko, przestał

krzyczeć i zaczął bić swojego kolegę, gdzie popadło, i po twarzy i po głowie, potem go przewrócił na śnieg i zupełnie śniegiem go zasypał, tak, że biednego Piórkiewicza wcale nie było widać, krzyczał przytem: „A masz, a masz, złodzieju!“

Na szczęście niedaleko znajdował się Edzio i usłyszał te krzyki. Myślał, że naprawdę złodzieja złapano. Ale gdy przybiegł, ujrzał tylko Władzia, który śnieg na jedną kupę rękami sypał i ciągle te wyrazy powtarzał. Więc Edzio zaraz się zapytał, do kogo on to mówi, a Władzio odpowiedział, że do Piórkiewicza, co leży pod kupą śniegu, za to, że mu o mało co oka nie wybił.

Dopiero Edzio Władzia powstrzymał, śnieg rozgrzebał i wydobył z pod niego skostniałego z zimna i zmoczonego do nitki Piórkiewicza, bo Mamusia pewno wie, że ciało jest ciepłe i dlatego śnieg się topi, jak go trzymać w ręku, więc Piórkiewicz wyglądał jak nieboskie stworzenie. Edzio zaprowadził ich obydwóch do domu.

Pan Bielicki słusznie się na nich gniewał i dziwił się, że Piórkiewicz dał się całkowicie zagrzebać w śniegu, ale on powiada, że Władzio byłby go zabił chyba, tak go walił, więc wolał leżeć spokojnie, chociaż zimno mu było strasznie, bo śnieg mu i w kamaszki i za rękawy i za kołnierz powłaził. Musiał się cały przebierać od stóp do głów i przy kolacyi Władzio cicho siedział z podwiązanem okiem przez cały czas nachmurzony, a Piórkiewicz miał siniaki na całej twarzy, tylko mu nie spuchła wcale, bo śniegiem był przysypany, więc niby miał zaraz zimne okłady, ale za to mówił, że go twarz tak pali, jakby ogniem ją polał.

Pan Bielicki strasznie się gniewał na nich obydwóch,

a Władziowi wymówki robił, że gościa swojego pobił, a pan Stadnicki za karę nie pozwolił jeść Władziowi klusek z makiem i dlatego chłopczyk siedział taki zachmurzony.

Prawda, Mamusiu, że jak się gdzie przyjedzie, to nie można się bawić w takie łobuzowskie zabawy? Ale ja się dziwię Władziowi, że gościa swojego pobił tak strasznie, bo to już ogromnie brzydko. Ja dobrze pamiętam, co Mamusia moja najdroższa opowiadała mi o naszej gościnności narodowej, że my przecież nawet mamy swoje piękne przysłowie: „Gość w dom, Bóg w dom!“ Więc szanować gościa potrzeba i kochać bardzo i przyjmować wszystkiem, co się ma najlepszego, prawda Mamusiu? A już nazywać gościa złodziejem i bić go, to chyba grzech śmiertelny, i Władzio, jak pierwszy raz do spowiedzi pójdzie, to pewno za to rozgrzeszenia nie dostanie, prawda Mamusiu?

Tak dużo już napisałem, a nic nie napisałem o tem, że mi tutaj bez mojej ukochanej Mamusi smutno strasznie i tęskno, ale teraz to nie dwumiesięczne wakacye i za dwa tygodnie z czemś już moją Mamusię zobaczę.

Zapomniałem jeszcze Mamusi napisać, że od pana Bielickiego dostałem na gwiazdkę śliczny kałamarz, ozdobne pióro, piórnik bardzo ładny, dwanaście kajetów w ślicznych okładkach ze złotymi wyciskami i książkę pod tytułem: „Życiorysy znakomitych ludzi“ w ozdobnej bardzo pięknej oprawie ze złotymi wyciskami. Od pana Stadnickiego dostałem tak samo książkę pod tytułem: „Księga najsławniejszych odkryć geograficznych“, ale w zwyczajnej oprawie bez wycisków, a od Edzia to dostałem bardzo ładny album w jasno-niebieskiej aksamitnej oprawie, do przepisywania wierszy i drugi taki sam do tego, żeby

się koledzy wszyscy tam podpisywali, taki, jak to Mamusia ma z pensyi, co mi Mamusia pokazywała kilka razy, pamięta Mamusia?!

Jak mi to wszystko dali, zaczerwieniłem się bardzo, bom się nie spodziewał niczego, bo i z jakiej racyi mogłem się spodziewać, i ucieszyłem się wskutek tego ogromnie, podziękowałem serdecznie, ale zaraz się zasmuciłem bardzo, że aż wszyscy to spostrzegli i pytali, czegom ja tak odrazu przestał się cieszyć. Więc im powiadam, że mi smutno bardzo, że ja nie mam pieniędzy, żeby im tak samo co kupić, że przepraszam ich za to, ale oni zaczęli się śmiać ze mnie i powiedzieli, że się obrażą, jak takie głupstwa będę plótł.

Więc już nic nie mówiłem, żeby się na mnie nie obrazili, tylko się zmieszałem, bo nie wiedziałem, co mam powiedzieć i tylko pocałowałem w rękę panią Bielicką, pana Bielickiego i pana Stadnickiego, a Edziowi rzuciłem się na szyję i całowaliśmy się długo i głośno, że aż mama Edzia się śmiała i powiedziała, żeby dać pokój, bo deszcz będzie.

O jej, już miejsca na papierze brakuje, a ja jeszcze mojej kochanej najdroższej Matusi rączek nie zdążyłem ucałować i nie podziękowałem jeszcze raz za mój najdroższy zegarek, na który ciągle patrzę i nie podziękowałem jeszcze za to, że Mamusia tych kolczyków, co nic nie są warte, nie wyrzuciła za okno, żeby mi przykrości nie robić, ale jeszcze włożyła w kochane uszki i calutki dzień je nosiła.

Dziękuję Mamusi za to serdecznie; ja głupi jestem, wiem dobrze, ale to oceniam Matusiu, żeś mnie zmartwić nie chciała, moja święta Matko kochana!

Oby Bóg dał, żebym jaknajprędzej niezręczność moją mógł naprawić i prawdziwe brylanty Matuchnie najdroższej kupić!

Całuję ukochane rączki Mamusi milion milionów razy

przywiązany syn

Aleksander Korczyński.

XXIX.

Trzeci kwartał.

Czy ferye trzytygodniowe ujemnie na chłopców wpłynęły, czy wyszli przez ten czas z rutyny i trudniej im było przygotowywać lekcye, czy czas zimowy nie sprzyjał nauce, czy też przedmioty stawały się coraz trudniejsze, a nauczyciele więcej zadając, bardziej byli wymagający, dość, że faktem było, iż w połowie lutego w dziennikach uczniów panowała straszna mieszanina stopni dobrych i złych ze znaczną, niestety, przewagą ostatnich.

W wielkich dziennikach klasowych iskrzyło się od dwójek a nawet pałek z extemporaliów i ćwiczeń z różnych przedmiotów.

Najwięcej ofiar liczyły języki klasyczne, bywały strony w dziennikach, gdzie widniały już nie szeregi, ale całe kolumny dwójek i pałek.

Pod tym względem przewyższał wszystkich Żelski, który tak sumiennie wziął się do roboty, że nawet

żadnej trójczyny nie miał, a czwórek i piątek nawet z lupą dopatrzeć się nie można było.

Więc Żelski machnął już ręką na wszystko, opuścił się zupełnie i tylko zdobywał się na tyle poświęcenia, że przychodził do klasy.

Oleś nieraz gorąco przemawiał do Żelskiego, by nie tracił jeszcze nadziei i wziął się raźno do roboty, obiecując mu nawet swą pomoc, ale Żelski kiwał głową tylko i ręką machnął, mówiąc, że głową muru nie przebije i że „promy na pe“ nie dostanie.

Bywały chwile, że budziło się w nim sumienie i przychodził do gimnazyum jako tako przygotowany, ale cóż, kiedy już sobie taką markę u nauczycieli wyrobił, że, naprzykład, „Niemiec“, wyrywając go do lekcyi, już mu dwójkę z góry pisał, zanim się o cokolwiek zapytał, a chociaż Żelski tego dnia wypadkowo nawet nieźle się przygotował, i chociaż z trudem, ale wyjąkał tłómaczenie bez błędu żadnego, „Niemcowi“ dwójki już się poprawić nie chciało, wjechał wbrew zwyczajowi swemu na gramatykę i naturalnie Żelskiego, który wiele dawnych grzechów na sumieniu dźwigał, w kozi róg zapędził, bo każda gramatyka, według słów Żelskiego, nawet z „porządnego“ przedmiotu była jego słabą stroną, a cóż dopiero mówić o niemieckiej, która u niego leży pod piecem w mieszkaniu nietknięta od samego urodzenia, kartki nawet nie są porozcinane, bo ktoby się tam takiej „głupiej“ gramatyki uczył.

Olesiowi też ciężko szło w trzecim kwartale.

Stopnie miał jednak bardzo dobre, a wobec tego, że klasa wogóle znacznie gorzej się uczyła, niż w prze-

szłem półroczu, mógł mieć nadzieję, że pchnie się jeszcze wyżej, lub conajmniej utrzyma się w miejscu...

Oleś pracował bardzo dużo.

Wróciwszy do domu, zjadał obiad i ruszał zaraz na korepetycye; koło siódmej, gdy Edzio już w połowie miał lekcye pokończone, zabierał się do roboty, do późnej nocy się ucząc.

Daremne były prośby pani Korczyńskiej, by Oleś rzucił korepetycye, by nie pracował tak nad siły, ale malec uważał sobie za punkt honoru zarobić parę rubli na miesiąc i oddać je matce na jedzenie, chociaż pani Korczyńska z pieniędzy tych nie korzystała i skrupulatnie składała je do kasy oszczędności.

Widząc jednak, że przedmioty w trzecim kwartale coraz są trudniejsze, że gruntowne przygotowanie lekcyi wymaga coraz więcej czasu, uległ w połowie prośbom mateczki i odstąpił pięciorublową „korkę“ jednemu z kolegów, sam dla siebie drugą, jako korzystniejszą zatrzymując.

Grała w tem ustępstwie rolę i pewna ambicya. Oleś koniecznie chciał się utrzymać na zdobytem miejscu, poświęcił więc owe pięć rubli miesięcznie i, zyskawszy dwie godziny czasu, zaraz po piątej mógł zabierać się do lekcyi.

Edzio pracował też bardzo wiele, aczkolwiek znacznie mniej od Olesia, bo gruntowniej przedmioty wszystkie posiadał, a Oleś, forsownie wysunąwszy się naprzód, ciągle musiał cofać się, by jedno i drugie bądź przypomnieć sobie, bądź wyjaśnić.

W tych razach ogromną był mu pomocą Edzio, który tylko czychał na to, aby go Oleś o wyjaśnienie tej lub owej kwestyi zaczepił.

Więc Oleś coraz bardziej przywiązywał się do ukochanego kolegi, coraz był dumniejszy, że jemu w udziale przypadło być najbliższym przyjacielem tego, który ze wszystkich największą w klasie cieszył się sympatyą.

Pan Stadnicki, widząc, że ci dwaj chłopcy sami się garną do nauki, że rozumieją jej potrzebę i najmilszą dla nich nagrodą jest dobry stopień, coraz częściej zostawiał Edzia samego, kwestyi trudniejszych coraz mniej mu objaśniał, starając się, by chłopiec sam do rozwiązywania ich dochodził, marzył bowiem o tem, aby powoli przyzwyczaić chlubę swoją, jak Edzia nazywał, do samodzielnej pracy, by wszystko wyłącznie sobie mógł zawdzięczać.

Więc gdy trafiło się ćwiczenie jakie, nie dawał żadnych wskazówek, tylko Edzio sam musiał pisać, a później dopiero pan Stadnicki czytał, miejscami chwalił, to znów ganił, tam zarzucał brak jasności, to miejsce zbyt słabe mu się wydawało, a Edzio kreślić musiał, poprawiać i dobrze się napocić, zanim pan Stadnicki osądził, że ćwiczenie obecnie jest napisane dobrze. Zaprawiał chłopca do myślenia!...

Czasem próbował ganić to nawet, co dobrze było napisane, chcąc wywołać dyskusyę, rozwinąć w chłopcu zdolności do dysput, jednak rzadko mu się to udawało, bo Edzio święcie wierzył w wiedzę pana Stadnickiego, i gdy ten powiedział jeden tylko wyraz: „źle“, bez namysłu przekreślał wszystko, a później godzinami łamał sobie głowę, jak napisać.

A gdy nie mógł dać sobie rady, bo inaczej napisać

nie mógł i nie umiał, pan Stadnicki całował Edzia serdecznie, mówił, że ćwiczenie napisane jest dobrze, a zganił umyślnie, by Edzio gimnastykował swój umysł i przyzwyczajał się bronić własnego zdania. Edzio odchodził zadowolony, podziwiając mądrość i dobroć pana Stadnickiego.

XXX.

Dyktando.

Mniej znacznie mając teraz do roboty z Edziem, gdyż ten sam sobie doskonale radę dawać zaczynał, pan Stadnicki całą swoją uwagę zwrócił na Władzia, a chociaż malec wykręcał się, jak wąż, od towarzystwa pana Stadnickiego, całe godziny z nim spędzał.

Widząc, że obcowanie z Piórkiewiczem zły wpływ na Władzia wywiera, parę razy bez ceremonii wypraszał za drzwi częstego gościa.

Piórkiewicz obrażał się i przez kilka dni nie przychodził, ale po niejakim czasie znów się zjawiał, bo Władzio usilnie go prosił, aby przychodził, obiecywał dać mu karmelków lub ciastek z kremem, a że Piórkiewicz takich rzeczy nigdy w domu nie dostawał, gdyż synem był biednych rodziców, i że łakomy był przytem bardzo, więc przychodził.

Chcąc rozbroić pana Stadnickiego, Władzio mimowoli złapał się sam w pułapkę, a właściwie wsadził do niej Piórkiewicza.

Zaczął się żalić przed panią Korczyńską, że pan Stadnicki ma takie złe serce, że nie pozwala mu zadawać się z Piórkiewiczem, dlatego widocznie, że ten jest biedny; że przecież panu Stadnickiemu nie ubyłoby zdrowia przez to, gdyby Piórkiewicz, mógł siedzieć przy lekcyi możeby nawet Piórkiewicz trochę skorzystał, bo teraz tak sie źle uczy, ponieważ nigdy nie ma się kogo o co poradzić i t. p.

Pan Stadnicki, dowiedziawszy się o tem, zdumiał się bardzo, że posądzany jest o brak serca, ale szybko zrozumiał grę Władzia i postanowił z tego skorzystać.

Jednego dnia przyszedł Piórkiewicz, zwabiony obietnicą karmelka przez Władzia; Władzio właśnie miał pisać dyktando. Pan Stadnicki bardzo grzecznie przyjął gościa, poprosił, żeby usiadł przy stoliku, dał Piórkiewiczowi pióro i atrament i zaproponował pisanie dyktanda...

Piórkiewicza dreszcz przeszedł od stóp do głów, złorzeczył chwili, w której tu wszedł, bo niedosyć, że w szkole nieznośne dyktanda pisać musi, to jeszcze, jak do przyjaciela z wizytą przyjdzie, znów musi pisać; ale cofać się nie wypadało, więc zacisnął usta, usiadł i umaczał pióro w atramencie, a umaczał tak mocno, że stalka się złamała.

Pan Stadnicki zrozumiał, o co chodzi, i, żeby przekonać Piórkiewicza, że ten manewr na nic mu się nie przyda, wyjął całe pudełko stalek i z zimną krwią pokazał Piórkiewiczowi, mówiąc:

— Na szczęście jest tu parę stalek jeszcze, proszę, weź sobie nową, kochanku!

A „kochanek“, który był mistrzem w grze w stalki, aż usta otworzył i wyszeptał ze zdumieniem:

— O, raju, co lopek!

Pierwszą myślą jego było po ujrzeniu tylu stalek, żeby to on kiedy w życiu tyle nowych „lopek“ (t. j. stalek) mógł wygrać.

Pan Stadnicki zaczął dyktować...

Władzio pisał, a Piórkiewicz z ciężkiem westchnieniem też kreślić litery na papierze zaczął, za każdym wyrazem zaglądając do Władzia, tak się już bowiem przyzwyczaił do „ściągania“ od Władzia w klasie, że nie zadawał sobie najmniejszego trudu z zastanawianiem się nad tym lub innym wyrazem, tylko literalnie, w dosłownem znaczeniu tego wyrazu, przepisywał, a do tak szalonej wprawy w manewrowaniu oczyma doszedł, że pan Stadnicki dopiero po kilku minutach spostrzegł, co się święci.

Z zimną krwią, jak gdyby nic nie zauważył, kazał przynieść drugi stolik, Władzia odsadził na nowe miejsce, i Piórkiewicz pozostał sam; zgrzytnął tylko zębami, ale zaraz oburzył się na pana Stadnickiego i rzekł:

— Cóż pan myśli, że ja ściągam?!

Pan Stadnicki odpowiedział, że nigdy go o taką brzydką rzecz nie posądził, tylko zauważył, że ciasno im przy jednym stole było, więc dla wygody obydwóch, przesadził Władzia na inne miejsce.

Chociaż Piórkiewicz mówił, że jak „matkie kocha i ojca rodzonego“, było im bardzo wygodnie, pan Stadnicki postanowienia nie zmienił, zrobił tylko uwagę, że nie mówi się „matkie“ tylko „matkę“ i że zaklinać się na rodziców, to bardzo brzydko, zwłaszcza, dla lada błahostki.

Rezultat dyktanda był taki, że Władzio napisał je

bardzo dobrze, ale u Piórkiewicza błąd na błędzie siedział; Władzio dostał czwórkę, a Piórkiewicz pałkę z ogromnym minusem, bo zrobił dwadzieścia kilka błędów ortograficznych.

Tłómaczył się Piórkiewicz zawstydzony, że nie umie w domu pisać dyktanda, tylko w klasie.

Pan Stadnicki dla uniknięcia monotonności w zajęciach, zaprojektował, aby chłopcy zadania arytmetyczne porobili na dzień jutrzejszy również na oddzielnych stolikach...

Piórkiewicz nie posiadał się z gniewu i rozgoryczenia, bo prawie zawsze zadania w klasie przepisywał, gdyż mówił, że do arytmetyki jest bardzo zdolny i dlatego jemu samemu nie opłaci się zadań robić w domu, daleko większa korzyść dla niego, jak odrazu przepisze w klasie, bo przynajmniej w domu ma więcej czasu wolnego.

Gdy chłopcy zadania rozwiązali, pan Stadnicki zobowiązał ich, że nauczą się wierszy, zadanych na dzień jutrzejszy, a sam poszedł na przechadzkę, mówiąc, że za godzinę wróci i przesłucha ich; prosił także Władzia, by kolegę na herbatę koniecznie zatrzymał.

Kiedy pan Stadnicki wyszedł za drzwi, przyjaciele o mało się nie pobili. Piórkiewicz oburzony począł wprost wymyślać Władzowi, że takie przyjęcie mu zgotował, ale pogodzili się wkrótce i zdecydowali, że nauczą się szybko wierszy, a potem się zabawią w co porządnego.

Nauczyli się wierszy bardzo szybko. Nagle Władzio uderzył się w czoło i rzekł do przyjaciela:

— Wiesz co, to ja już wszystko na jutro mam zrobione, tylko przepisywanie jeszcze mi pozostało.

— A i ja tylka mam przepisywanie!—zawałał rado-

śnie Piórkiewicz, — bo wiersz już umiem, zadania zrobiłem, a religia, to jutro w klasie zrobi się.

— A ja i Historyę świętą już umiem! — chwalił się Władzio.

Pan Stadnicki, wróciwszy do domu, przesłuchał obydwóch chłopców i bardzo był zadowolony, że w tak szybkim czasie wierszy się nauczyli; prosił, żeby Piórkiewicz codzień na lekcyę przychodził, to chętnie pomagać mu będzie.

Piórkiewicz pomyślał sobie:

— Nie głupim przyłazić dyktanda pisywać; ale powiedział niby zadowolony, że przyjdzie.

XXXI.

Piórkiewicz.

Szczęśliwy traf zrządził, że pan Stadnicki na ostatnie dyktando wybrał ten wyjątek, który nazajutrz pisać miała cała wstępna klasa.

Piórkiewicz, usłyszawszy pierwsze słowa, doznał przyjemnego zdziwienia, a że nauczyciel powziął słuszne podejrzenie, ż Piórkiewicz „żywcem“ przepisuje wszystko od Władzia, o czem nie omieszkał mu oznajmić, Piórkiewicz postanowił skorzystać ze sposobności, z całą czelnością wstał i powiedział:

— Panie profesorze! ponieważ pan profesor w ostatnich czasach jakoś mi nie ufa i ciągle mówi, że ja wszystko przepisuję od Bielickiego, ja bardzo proszę o zmianę miejsca, a nawet gotów jestem usiąść na katedrze i być zupełnie oddzielonym nie tylko od Bielickiego, ale od wszystkich kolegów... Raz nareszcie będę mógł przekonać pana profesora, że pan profesor mylnego jest o mnie zdania.

Nauczyciel zdziwiony był taką propozycyą i żałował, że sam na tę myśl nie wpadł, a nic nie podejrzewa-

jąc, zgodził się z zadowoleniem, wszyscy zaś koledzy zdumieni byli krokiem Piórkiewicza, wiedzieli bowiem doskonale, że żyje on tylko z tego, co mu się uda „ściągnąć“ od którego z sąsiadów.

Dla odwrócenia podejrzenia ze strony nauczycieli miał zwyczaj Piórkiewicz nigdy kajetu nie oddawać razem z Władziem, chociaż tuż przy nim siedział; zawsze musiał jeszcze bibułę przyłożyć, żeby się atrament nie zamazał, lub nazwisko swoje na kajecie napisać, bo wcześniej zapomniał to uczynić, a przez ten czas zniecierpliwiony nauczyciel odbierał kajety od innych uczniów i tym sposobem kajet Piórkiewicza, w którym skopiowane było dyktando Władzia, oddzielony był od niego kilkoma innymi kajetami.

Nauczyciel, mając zwykle do poprawienia blizko sześćdziesiąt kajetów, dochodząc z kolei do kajetu Piórkiewicza, o błędach, które był porobił Władzio, już zapomniał i przepisania wskutek tego dostrzedz nie mógł.

Dawniej, bo jeszcze w pierwszym kwartale Piórkiewicz innego sposobu używał: przepisywał dla pewności i od sąsiada z lewej i od sąsiada z prawej strony, słusznie bardzo sądząc, że co dwie głowy, to nie jedna. Zabierało mu to jednak czasu zbyt wiele, prócz tego narzekał potem, że oczy go bolały, a często zdarzało się, że był między Scyllą i Charybdą, bo gdy jeden z sąsiadów „ó“ pisał, drugi najspokojniej w świecie w tem samem miejscu trzymał się zasad innej ortografii i pisał z całem namaszczeniem „u“.

W tych razach nieborak Piórkiewicz nie wiedział, czego się trzymać.

Miał on wprawdzie na taki wypadek znów dwa

sposoby, których kolejno na zmianę używał, pisał mianowicie naprzód „u“, a potem przerabiał na „ó“, potem znów „u“, na tem samem miejscu pisał i znów na „ó“ przerabiał, tak, że ostatecznie sam Salomon nie mógłby odgadnąć, coby to takiego być mogło, a przy zwracaniu dyktanda, gdy miejsce to podkreślone było czerwonym lub niebieskim ołówkiem, co zawsze się zdarzało, Piórkiewicz, dowiedzawszy się już, jak pisać należało, z całą bezczelnością wmawiał w nauczyciela, że on w samej rzeczy z początku źle napisał, ale potem po głębokim namyśle poprawił tak, jak być powinno, i teraz najwyraźniej jest dobrze, więc tu błędu żadnego niema, a co za tem idzie i stopień powinien być lepszy.

Drugi sposób był daleko łatwiejszy, bo w miejscu wątpliwem Piórkiewicz niby nienaumyślnie robił poprostu kleksa, a później tłómaczył nauczycielowi, że to nie jego wina, bo on dobrze napisał, gdyż takie „głupie“ słowo, jak to, które znajduje się pod kleksem, najgorszy osieł w klasie bez błęduby napisał.

Parę razy udało mu się i nauczyciel, przyznawszy mu słuszność, poprawiał stopień, zmniejszając jeden minus albo plus do stopnia dodając.

Ale do czasu dzban wodę nosi.

Pewnego razu Piórkiewicz użył pierwszego i drugiego sposobu po pięć razy w jednem i tem samem dyktandzie, nauczyciel wszystko popodkreślał i pałkę mu postawił, mówiąc, że więcej się oszukiwać nie pozwoli.

Miało to ten skutek, że Piórkiewicz zdecydował się przepisywać wszystko, bez żadnych poprawek, od Władzia, więcej mu bowiem ufał, niż sąsiadowi z drugiej

strony, gdyż Władzio w trzecim kwartale, dzięki usilnym staraniom pana Stadnickiego, uchodził w oczach kolegów za jednego z lepszych znawców ortografii.

Dlatego zaś, by się nie „wsypać“, oddawał kajet zawsze przed Władziem, albo po Władziu, a nigdy jednocześnie z nim, bacząc, by co najmniej kilka kajetów przedzielało jego dyktando od dyktanda Władzia.

Ten trzeci sposób, jak go nazywał Piórkiewicz, długi czas okazywał się w praktyce najlepszy.

Niestety, zdarzyło się raz, że roztrzepany Władzio skutkiem swojejej nieuwagi napisał zamiast „spragniony człowiek pije wodę“ — „spragniony człowiek bije wodę“.

Piórkiewicz, aczkolwiek zdanie przy takiej zamianie słów żadnego sensu nie miało, wierny swemu ostatniemu sposobowi, nie zwracał uwagi żadnej na słowa, które nauczyciel dyktował, nad sensem zdań nie miał czasu się zastanawiać, on tylko rzetelnie z całą sumiennością przepisywał wszystko, co Władzio napisał, bacząc jedynie na to, aby nauczyciel nie złapał go na gorącym uczynku.

Skończyło się na tem, że owo nieszczęsne „bicie wody“, znalazło się i u Piórkiewicza i naturalnie zdradziło go.

Nauczyciel bowiem, przeglądając dyktando Władzia, zdziwił się mocno, jak nawet uczeń wstępnej klasy mógł napisać zdanie, tak rażąco sensu pozbawione.

Można sobie wyobrazić jego zdumienie, gdy, przeglądając później jakiś dziesiąty kajet, znów trafił na zdanie, które opiewało, że spragniony człowiek „bije“ wodę.

Prędko naturalnie wpadł na myśl, że rolę grać tu

musi przepisywanie, spojrzał na nazwisko wypisane na okładce kajetu, gdzie ślicznie wykaligrafowane było: „Piórkiewicz, uczeń wstępnej klasy“, a przypomniawszy sobie, że Piórkiewicz i Bielicki siedzą obok siebie, postawił Piórkiewiczowi pałkę.

Nie pomogły zaklinania się Piórkewicza, że nie „ściągał“, że mógł się przesłyszeć tak, jak i Bielicki, że wreszcie przypomina sobie doskonale, że nauczyciel najwyraźniej dyktował „bije“, i że on się zdziwił, ale napisał, choć się zdziwił „bije“, bo cóż miał robić, że on zawsze sam wszystko robił i robi, na co dawał nawet słowo honoru, pałka została pałką, a w dodatku Piórkiewicz za kłamstwo kozę odsiedział.

Otóż tedy dzisiaj, postanowił Piórkiewicz skorzystać ze szczęśliwego trafu, przekona nareszcie nauczyciela, tego niewiernego Tomasza, że on nigdy nic nie przepisywał, a potrafi tak dobrze napisać, jak i Władzio.

W samej rzeczy, aczkolwiek we wczorajszem dyktandzie dwadzieścia kilka błędów zrobił, ale pan Stadnicki kazał Władziowi prawidła danej pisowni przy każdym błędzie wytłómaczyć, przez co Władzio sam sobie wszystko poprzypominał i mimowolnie cały kurs ortografii powtórzył.

W kwestyach trudniejszych, pan Stadnicki osobiście jeszcze każdą rzecz chłopcom wytłómaczył, a Piórkiewicz dotąd musiał każde prawidło powtarzać, póki go dobrze nie zapamiętał.

Piórkiewicz miał pamięć dobrą, tylko leniuchem był wielkim, i tu leżała główna przyczyna wszystkich jego dwójek i pałek.

Dyktando napisał bez błędu, a zdumiony nauczyciel, postawił mu piątkę i Władzia z kolei począł podejrzewać o przepisywanie od Piórkiewicza, bo pamiętne „bicie“ wody spać mu nie dawało, i postanowił przy następnem dyktandzie Władzia śledzić, posadziwszy przy nim Piórkiewicza, bo Władzio znów przez nieuwagę jakieś dwa błędy w dyktandzie ostatniem zrobił i znacznie gorzej tem samem od Piórkiewicza napisał.

Piórkiewiczowi tego tylko do szczęścia było potrzeba, bo gdy cała uwaga nauczyciela skoncentrowana była na osobie Władzia, on znów najspokojniej do starego sposobu powrócił, uważając już jednak, by nie być nigdy tak wojowniczego usposobienia, by nawet „wodę bić“.

Przepisywanie, a więc korzystanie z owoców cudzej pracy, weszło mu już w nałóg. Może i samodzielnie mógłby jako tako napisać, ale mając dużo grzechów na sumieniu i przyznając się w duszy do lenistwa, nie miał wiary w siebie.

Rady na to przynajmniej na razie żadnej nie było.

Piórkiewicz był zachwycony, że udało się odwrócić podejrzenia nauczyciela, a że tego samego dnia za wiersze, których się razem z Władziem nauczył, również piątkę otrzymał, zasmakowała mu ta wspólna nauka ogromnie i postanowił regularnie chodzić na „robienie“ lekcyi do Władzia i „kuć“ straszliwie, aż „nakuje“ całą masę piątek, bo, pierwszy raz w życiu piątkę otrzymawszy, miał sposobność ocenić, jaka to jest przyjemność ogromna.

Jak postanowił, tak zrobił.

Uczył się od tego czasu razem z Władziem i szło

im to dosyć sporo, mieli przytem w bród czasu i na figle, których im nikt nie bronił, figlowali sobie ze spokojnem sumieniem, bo już po odrobieniu wszystkich lekcyi, więc myśl o jutrze nie zatruwała im żadnej zabawy.

Bądź co bądź, pchnąwszy takiego Piórkiewicza na lepsze tory, pan Stadnicki dokazał sztuki nielada.

XXXII.

Pierwsza dwójka.

Już na dwa tygodnie przed cenzurami w kwartale trzecim walka o palmę pierwszeństwa roztrzygnęła się stanowczo na korzyść Edzia, bo ostatnie zadanie z algebry Staś Barwiński mylnie rozwiązał, a że „Ostryga“ słynął ze sprawiedliwości, więc nie ulegało najmniejszej kwestyi, że Staś otrzyma tymczasem stopień niedostateczny i już żadnym sposobem przy piątce z matematyki na cenzurze się nie utrzyma, a co za tem idzie, musi Edziowi ustąpić pierwszego miejsca, które w niższych klasach wyłącznie dla siebie zabierał i którem wbrew swej woli dzielić się z nim był zmuszony przez pierwsze dwa kwartały w klasie czwartej.

Jakoż w samej rzeczy Barwiński otrzymał za klasowe zadanie stopień niedostateczny, a zarazem uroczyste zapewnienie „Ostrygi“, żeby się z piątką na cenzurę pożegnał.

Chociaż Staś spodziewał się tego rezultatu już od chwili, gdy dowiedział się, że zadanie źle zrobił, jednak,

jak tonący chwyta się źdbła każdego, tak i on łudził się czas jakiś jeszcze, że „Ostryga“, pomny na jego dawne zasługi, na nieszczęsny ten wypadek uwagi nie zwróci i przy piątce na cenzurze go zostawi.

Słowa „Ostrygi“ obaliły i tę wątłą podporę, na której zawisła cała nadzieja Stasia, i oto ujrzał się nagle zepchniętym z miejsca, o które tak uporczywie przez dwa kwartały walczył z Edziem, uważał się za najnieszczęśliwszego ze wszystkich ludzi na świecie, chociaż bluźnił, tak myśląc, bo każdy z pozostałych kolegów dumnym byłby, gdyby taką cenzurę, jak Staś, mógł przynieść do domu. Wszak drugim być uczniem również zaszczyt jest wielki a i sztuka nielada, zwłaszcza gdy różnica między stopniami jego i prymusa jest tak mało znacząca, jak w danym razie.

Ale Staś był innego zdania; wszak i ta okoliczność, że pierwsze miejsce w klasie dzielić musiał z nienawistnym rywalem, była nieprzyjemną do tego stopnia, że gryzł się bezustannie, tracił ochotę do zabaw, cały czas nauce poświęcając; oddychał, żył tylko tą myślą, że z czasem rywala zwycięży!

I oto teraz staje się rzecz wręcz przeciwna: Staś upada w walce, pobity na głowę, rywal jego tryumfuje. Jakże on musi cieszyć się z nieszczęścia Stasia! O, tak, cieszyć się musi niezawodnie bardzo, cieszy się tak, jak Staśby się cieszył, gdyby zwycięzcą został, cieszy się tak bardzo, jak bardzo Staś cierpi...

A Staś bardzo, bardzo cierpiał...

Lecz mylił się Staś, posądzając Edzia o radość z jego nieszczęścia. Edzio nie cieszył się wcale, przeciwnie, posmutniał jakoś, a gdy koledzy bliżej z nim żyjący po-

częli mu winszować pewnego już, jak się zdawało, zwycięstwa, prosił, żeby mu dali pokój, że to wypadek tylko sprawił, że Barwiński zadania nie zrobił, bo może nawet lepszym od niego jest matematykiem, że tu żadnej jego własnej zasługi niema, że i jemu jeszcze taki sam wypadek w przyszłości zdarzyć się może, więc niema z czego się cieszyć i niema czego winszować.

Edzio domyślił się, co się dziać musi w duszy Stasia, do jak niebywałych rozmiarów urośnie jego nienawiść i żałował bardzo, że kolega zadania nie zrobił, bo wypadek ten nie zbliżał ich ku sobie, lecz, przeciwnie, jeszcze dalej rozdzielał, potęgując w Stasiu bardziej uczucia nieprzyjazne, które ten dlań żywił.

Pragnąłby się zbliżyć do Stasia, wyrazić mu swoje współczucie, ale brakowało mu odwagi; zresztą, kto wie, Barwiński wziąłby to może za ironię, chęć naigrawania się z niego i większą jeszcze nienawiścią zapałał. Więc Edzio zamyślił się i czuł, że mu jakoś ciężko i niewesoło na duszy.

A Staś, widząc, że Edzio ani się uśmiechnie, lecz chmurny taki, wpadł na myśl, że Edziowi mało jeszcze tego, co się stało, on napewno chciałby duszą całą, żeby Staś miał więcej gorszych stopni... z pewnością! Naturalnie!! Wtenczas dopieroby głowę do góry zadarł, z góry na Stasia spoglądał i śmiałby się, śmiał na całe gardło...

Tak Barwiński tłómaczył sobie pochmurny wyraz twarzy swego najzaciętszego przeciwnika!

Nagle przemknęło Stasiowi przez głowę, że do cenzur dwa tygodnie jeszcze pozostaje, że bardzo możebne, że i Edziowi przez ten czas noga się jeszcze po-

winie, wszak oczekują jeszcze całą klasę extemporalia greckie i łacińskie, z dnia na dzień coraz trudniejsze, najeżone licznymi wyjątkami z wyjątków, które zapamiętać coraz trudniej i wskutek tego na każdym kroku, przy najmniejszym braku uwagi, potknąć się można, pozostaje jeszcze przecież ćwiczenie z języka rosyjskiego klasowe i domowe, też przecież nie fraszka. Więc niema potrzeby już teraz rozpoczać, i nadzieja znów zabłysła w umyśle Stasia!

I lżej mu się na duszy zrobiło; może Bóg dobry sprawi, że i Edzia nieszczęście spotka, że jeszcze wraz z nim pierwsze miejsce w klasie zajmie, a może, może Edzio aż dwie czwórki na cenzurę dostanie, to w takim razie nawet w tyle za Stasiemby pozostał i kontentowaćby się musiał drugiem miejscem.

Ach, jakże Staś pragnął tego!

Ale przeszły extemporalia, minęło i ćwiczenie klasowe z języka rosyjskiego, a Edzio wszystko, niestety, świetnie napisał i piątki, również jak i Staś, otrzymał.

Pozostawało już tylko jedno, jedyne ćwiczenie domowe z języka rosyjskiego, bo żeby Edzio z ustnej odpowiedzi zły stopień dostał, Staś nawet nie marzył.

Iskierka więc nadziei już bardzo słabem światłem Stasiowi świeciła, tak, że ledwie, ledwie ją dojrzeć można było, wszelkie zachodziło prawdopodobieństwo, że zgaśnie wkrótce; Staś dochodził do szaleństwa, gdy nagle jasnym buchnęła płomieniem...

Temat do ćwiczenia, o którem wyżej była mowa, nosił tytuł: „Opis wiosny“.

Oleś z zachwytem opowiadał kolegom, że ćwiczenie, wyszłe z pod pióra Edzia, przedstawia maleńkie ar-

cydzieło, i twierdził, że Edzio napewno literatem sławnym zostanie, bo on, Oleś, nigdy nic podobnego w życiu, jak to ćwiczenie nie czytał, a już napisaćby nie mógł takiego za nic w świeciee, choćby mu kto nawet aż rubla zapłacił...

Rzeczywiście, ostatnie ćwiczenie udało się Edziowi znakomicie, sam pan Stadnicki mu to przyznał.

Edzio zaczął od tego, jak przykre i przygnębiające wrażenie zima sprawia, natura cała śpi tylko, a przecież zdaje się, że sen to śmiertelny, wieczny! Mrozy ukuły na ziemi, jakby trumny wieko, i źle jej pod tą twardą powłoką, bo smutno tak jakoś naokół, ni ptasząt śpiewania, ni zieloności na drzewach żadnej, a gdzie tylko okiem rzucić, wszystko białym całunem okryte. Śmierć na obrazkach zwykle w białym rysują płaszczu, i sama ona jest biała, to też zima hojnie tą barwą szafuje i wszędzie biało i biało, aż straszno od tej białości, a smutno i ponuro... jakby na cmentarzu!

Lecz oto pod wpływem ciepłych wiosennych promieni pęka wieko trumny, i wszystko budzi się do życia.

Słonko coraz raźniej i weselej jakoś świeci; drzewa przywdziewają, jakby na gody jakie, nowe i barwne szaty, pokrywając się kwieciem przeróżnem; ptaszęta śpiewem witają porzuconą na czas pewien krainę; a pięknie śpiewają, chcą widocznie nagrodzić krzywdę, którą jej wyrządziły, pozbawiając ją na tak długi czas swojej obecności; zjawia się niezliczona ilość owadów, które także na przeprosiny z miejsca z koncertem odwiecznym występują; łakomy bocian poważnie stąpa, chcąc zabrać znajomość z zielonemi żabkami, które w żywych podskokach uciekają przed jego dużym dziobem; bieda-

cy nie potrzebują już oddechem ogrzewać zziębniętych i trzęsących się dzieci swoich; czuć lekkość w powietrzu i wesele; cała natura śle do Stwórcy hymn dziękczynny za te ożywcze promienie słoneczne; rolnik ze śpiewką wychodzi na pole i kraje pługiem pulchną ziemię, a nie musi to być bolesna dla niej operacya, bo chętnie jej się poddaje, spełniając włożone na nią zadanie i radując się przyszłym bogatym planem...

Wszystko, wszystko raduje się, uśmiecha, weseli...

Wiosna — to dziecię, które radośnie do wszystkich rączęta wyciąga, a wszyscy z uśmiechem patrzą na jego figielki przeróżne i promień szczęścia z oczu im tryska.

Przeszedł następnie Edzio do onych figielków, które wiosna sprawia, jak to z pod ciemnej powłoki ziemnej źdźbła małe ciekawie główki na świat pokazują, a widać podoba im się na świecie, bo coraz śmielej i śmielej wychodzą z ukrycia, i oto już pola całe pokryte zielenią, a trochę później już całe łany zboża przy muzyce wiatrów w takt się kołyszą i taniec poważny, uroczysty zgodnie tańczą, przechylając drogocenne główki to w tę, to w tę stronę...

Najbardziej być dumną ze wszystkich pór roku, kończył Edzio, może być wiosna, spełnia bowiem najważniejsze i najwdzięczniejsze zadanie, budząc z letargu uśpioną naturę, budząc ją do nowego życia.

Oleś, uproszony przez kolegów, odczytał głośno podczas wielkiej pauzy ćwiczenie Edzia, które przyję-

te zostało owacyjnym oklaskiem i okrzykami zachwytu...

Nie przyjmował tylko w tej owacyi żadnego udziału Staś Barwiński, który widział, że jego ćwiczenie jest cokolwiek gorsze; więcej może posiada szczegółów, ale brak mu tego bogactwa myśli i tej szczypty poezyi, którą okrasił Edzio swoje króciutkie wypracowanie.

Nie klaskał również Zelski, bo nie miał na to czasu. On właśnie podczas wielkiej pauzy pisał dopiero na gwałt ćwiczenie, chwytając od jednego z kolegów początek, od drugiego środek, a koniec jeszcze od kogoś innego.

Podobało mu się jednak ćwiczenie Edzia, a na dowód tego bez ceremonii żadnej poprzeplatał tu i owdzie swoje ćwiczenie zdaniami Edzia, które tak wyglądały wskutek pośpiesznej jego roboty, jak kwiaty piękne przy szpetnym kożuchu.

Po wielkiej pauzie przypadała lekcya gimnastyki, a później język rosyjski.

Widocznie myśl jakaś nagła powstała w umyśle Stasia Barwińskiego już przy kończącej się lekcyi gimnastyki, która dzięki pięknej dnia tego pogodzie odbywała się na gimnazyalnem podwórzu, bo pochmurna twarz jego rozjaśniła się na jedno mgnienie oka, wymówił się przed nauczycielem nagłym bólem głowy i jak strzała popędził na górę do klasy...

W klasie nie było nikogo, dla pewności Staś zajrzał pod ławki, a upewniwszy się, pobiegł szybko do ławki, w której leżał tornister Bielickiego.

Traf zrządził, że nauczyciel gimnastyki zwolnił dnia tego uczniów wcześniej, niż należało, a czego Staś nie mógł się spodziewać; większość została na podwórku, ale Oleś podążył szybko do klasy, chciał bowiem jeszcze powtórzyć sobie wiersze, które na ten dzień były zadane.

Gdy wszedł do klasy, uderzyło go to, że Staś siedział na miejscu Edzia i szybko coś chował do jego tornistra, ale Oleś nic złego nie podejrzewał, Barwiński mógł sobie usiąść, gdzie mu się podobało, co zaś do chowania czegoś, to widocznie Olesiowi się przywidziało, bo cóżby taki Barwiński mógł chować lub brać stamtąd; ot, usiadł sobie byle gdzie i tyle...

Staś Barwiński, ujrzawszy Olesia, zmieszał się bardzo, szybko odszedł na swoje miejsce, rzucając nań niespokojne spojrzenia, ale Oleś wyjął książkę i wiersze powtarzać zaczął.

— Nie widział! — szepnął z zadowoleniem.

Po chwili coraz więcej uczniów do klasy przybywało, wkrótce nastąpiła pauza, później wszedł inspektor i zaraz odebrał ćwiczenia, oznajmiwszy uczniom, że jutro już będą je mieli zwrócone, poprawione i opatrzone stopniami.

Po lekcyi rozeszli się wszyscy do domów, rozmawiając o blizkich cenzurach i o tem, że Bielicki teraz „weźmie Barwińskiego „na pe“, bo pierwszy będzie miał na cenzurze same „piony“, a Barwińskiemu „czwóra“ od „Ostrygi“ wszystko pobróździ.

Staś Barwiński niedobrze spał tej nocy...

Czy pewne już, jak wszyscy sądzili, zwycięstwo

Bielickiego spać mu nie dawało?! Chyba nie, bo teraz Staś był przekonany, że o zwycięstwie tem nie może być mowy: Bielicki z ćwiczenia swego napewno piątki nie dostanie na cenzurę, on wie o tem doskonale, więc martwić się nie ma potrzeby i spać może spokojnie. A jednak coś spędzało sen z oczu Stasia, ale co?!...

XIXXII.

Ćwiczenie domowe.

Nazajutrz, gdy wszedł do klasy inspektor, dźwigając pod pachą kajety z poprawionemi ćwiczeniami, serca niektórym silnie bić zaczęły: inspektor przynosił ćwiczenie, które miało wywrzeć decydujący wpływ na stopień cenzurowy. Wielu było takich między czwartoklasistami, dla których trójka z tego ćwiczenia była ostatnią deską ratunku, nic więc dziwnego, że niepokój odbijał się na ich twarzy, bo inspektor był najbardziej wymagający napewno ze wszystkich nauczycieli pod słońcem, za jeden błąd ortograficzny pałkę stawiał, boć czwarta to, co prawda, była klasa. Zaciekawienie więc było ogromne, jakie stopnie na ten raz inspektor postawił, a że ćwiczenie było domowe, i że aż dwa tygodnie czasu na przygotowanie go uczniowie mieli przeznaczone, więc skala wymagań inspektora będzie jeszcze surowszą.

— Szczęśliwi Bielicki albo Barwiński, oni nigdy od inspektora mniej niż piątkę nie otrzymywali, nie potrzebują niczego się obawiać!

Tak myślano powszechnie i dziwiono się, że Staś Barwiński pobladł znacznie przy wejściu inspektora do klasy i niespokojnym wzrokiem śledził jego ruchy.

— Musiał jakiś błąd zrobić Barwiński, to mu się wiedzie!—pomyślał Oleś, który również, jak inni, zauważył niepokój Stasia.

Ale mylne było jego mniemanie: inspektor pierwszemu Stasiowi kajet oddał, dodając zarazem, że jest to jedyna piątka w klasie.

Szmer zdumienia przeleciał po sali...

Bielickiemu pierwszy raz coś podobnego się zdarzyło, a przecież ćwiczenie jego Oleś wczoraj głośno odczytał, wywołując ogólny wśród kolegów zachwyt. Wszyscy spojrzeli na Edzia, na którego twarzy malowało się wzruszenie, pobladł nieco, ale nic nie mówił, chociaż czuł to, co i wszyscy czuli, że krzywda mu się stała.

— Nie poznał się inspektor na ćwiczeniu Bielickiego — szeptano sobie do ucha — i widać czwórę mu z plusem „łupnął“, ale następny teraz kajet z pewnością jego będzie — bo inspektor miał zwyczaj układać kajety według stopni, najlepsze ćwiczenia leżały na górze, najgorsze na samym dole.

Wskutek tego Żelski był już zupełnie spokojny, już serce silniej bić mu nie potrzebowało, on już wiedział, że w najlepszym razie pałki się może spodziewać, bo poznał swój kajet, leżący pod samym spodem. A łatwo go było poznać, miał żółte okładki, przyozdobione wielką ilością plam wszelakich: i atrament barw różnych tam się znajdował, ktoś głodny bardzo i masłoby znalazł i szmalcu nieco, a praczka każda, gdyby jej tak wyplamioną bieliznę dawano do prania, wyrzekłaby się swojego fachu.

Inspektor, jakby igrał z niepokojem i ciekawością uczniów, wolniutko zapisał stopień Barwińskiego do dziennika, a potem rzekł:

— Barwiński na cenzurę piątka! — i nakreślił piątkę na arkuszu, specyalnie na stopnie cenzurowe przygotowanym.

Wszyscy nauczyciele posiadali takie arkusze, pisali na nich ostateczne stopnie, a później oddawali je gospodarzowi klasy, który potem robił z nich ogólny wyciąg, przedstawiał go na sesyi, tworzył listę według pierwszeństwa, a później dopiero z wyciągu tego przepisywał już stopnie na cenzury uczniów.

Inspektor już był się spóźnił z oddaniem arkusza, więc podczas lekcyi teraźniejszej miał go wypełnić i oddać zaraz „Łacinie", który do wieczora powinien był wyciąg zrobić z arkuszy wszystkich nauczycieli, bo na dziś wieczór zwołana była przedcenzurowa sesya.

Barwiński widocznie za bardzo był przyzwyczajony do piątek, bo oznajmienie inspektora żadnego na nim wrażenia nie wywarło, był tak jak przedtem niespokojny jakiś i pomieszany.

Zdziwienie uczniów nie miało granic, gdy inspektor uwiadomił ich, że następne ćwiczenie ocenione jest na trójkę z plusem i należy do Korczyńskiego.

— Cóż się stało z ćwiczeniem Bielickiego? — szeptano dokoła.

— Korczyński na cenzurę cztery! — mówił inspektor, zapisując mu ten stopień.

Ale Oleś, chociaż zdobywając czwórkę z rosyjskiego języka, jednego z głównych przedmiotów, był celem zazdrości wielu, wielu kolegów, chociaż stopień ten przy

prawdopdoobnych piątkach z języków starożytnych od „Łaciny“ decydował o drugiem lub trzeciem miejscu w klasie, bo matematyka słabą stronę Olesia stanowiła, tak, iż czwórki dochrapać się nie mógł, więc o pierwsze miejsce z dotychczasowymi prymusami konkurować nie był zdolny, — nie zwrócił na słowa inspektora najmniejszej uwagi, on chwycił tylko ukochanego Edzia za rękę, szepcąc:

— Bój się Boga, co się stało? Czyś czasem ortograficznego błędu nie zrobił?

Edzio odrzekł niepewnym głosem:

— Zdaje mi się, że nie, a jednak to tylko możebne.

— Przysiągłbym, że nie!—szeptał rozgorączkowany Oleś, — przeglądałem je uważnie, a i pan Stadnicki przecież przeglądał, a on najmniejszego przecinkaby nie przepuścił. Co to jest?

I Oleś z bijącem sercem wpatrywał się z żalem w inspektora, który sięgał ręką po następny kajet.

Ale, niestety, i ten kajet do Edzia nie należał; nie należały doń i kilka następnych, które zaledwie na trójki ocenione były.

— Dzięki Bogu! — krzyknął jeden z wymienionych przez inspektora uczniów, gdy się o trójce dowiedział, radość nieopisana te słowa w usta mu włożyła, i za takie głośne odezwanie się w obecności inspektora zapisany został przezeń do kozy, bo inspektor lubił w czasie lekcyi taką ciszę, żeby słychać było, jak mucha przelatuje.

Następowały teraz trójki z minusami...

Były to ćwiczenia pod względem treści dobre, w których jednak bystre oko insepktora dopatrzyło brak prze-

cinka lub średnika, wreszcie mylne różnych znaków pisarskich kładzenie. Błędów takich mogło być dwa najwyżej, bo już za trzy inspektor stawiał dwójkę nawet bez plusa, mówiąc, że tu o żadnem zapomnieniu lub niedopatrzeniu mowy być nie może, i uczeń o używaniu znaków pisarskich najmniejszego nie ma pojęcia.

Taksę inspektora uczniowie już znali na pamięć.

Kajetu Bielickiego i między tą kategoryą ćwiczeń nie było.

Szły następnie ćwiczenia ocenione na dwójkę, które tę miały wadę, że, jak wiemy już, trafiało się w nich sporo błędów co do znaków pisarskich.

Już któryś dwójkę z trzema minusami otrzymał, lada chwila serya pałek miała się rozpocząć, a kajetu Edzia jeszcze inspektor w ręku nie dzierżył, gdy nagle Oleś, który cały we wzrok się zamienił, wpił gwałtownie paznokcie w rękę Bielickiego i szepnął mu do ucha:

— Teraz twój kajet!

Edzio mienił się na twarzy, bladł i czerwieniał naprzemian...

A inspektor spojrzał na niego i nie śpieszył się wcale, owszem, czekał chwilę, zapewne chcąc, aby ten się uspokoił.

I patrzyli tak na siebie czas jakiś i wszechpotężny w swej mocy inspektor z kamiennym na twarzy spokojem, którego jedno pociągnięcie pióra decydowało nieraz o całej przyszłości uczniów i jedno z tych ziarnek piasku, jeden z tych uczniów właśnie, ale taki, którego dotychczas moc inspektora nie zgniotła, który jednak czuł już jej ciężar na sobie i pełen niepokoju pod nim uginać się

zaczął, bo spuścił oczy, nie mógł znieść wzroku, w którym pewnego rodzaju zadowolenie dojrzał.

A inspektor, jakby na to czekał, wolno wyciągnął rękę po kajet i rzekł:

— Teraz następuje kajet Bielickiego! Jego ćwiczenie pod względem treści najlepsze jest ze wszystkich, najlepszy w niem styl znalazłem i wiele poetycznych porównań. Ćwiczenie to napisane jest z wielkim talentem i gdyby nie to, żem przywykł już do podobnych ćwiczeń Bielickiego, który i z klasowemi wypracowaniami w podziw mnie wprowadzał, sądziłbym, że je pisał ktoś starszy. Będzie z ciebie człowiek mój Bielicki!

Tu inspektor zatrzymał się, a Oleś szczypał radośnie Edzia i szeptał:

— To nas nastraszył dopiero, „pionę“ masz, mój drogi!

Ale inspektor mówił dalej z uśmiechem:

— Niestety, pomimo tylu zalet, znalazłem błąd ortograficzny, taksę moją znacie dobrze, więc nie potrzebuję stopnia wymieniać...

— Jezus, Marya!—szepnął przerażony Oleś—knota ci wlepił.

A inspektor uśmiechnięty zapisywał stopień do dziennika.

Czy uśmiechał się, wiedząc, że stopień taki niewiele Edziowi zaszkodzi, czy kontent był z wrażenia, które w klasie sprawiedliwością swoją wywarł, dość, że uśmiechał się.

Uczniowie mówili, że inspektor w takich razach zawsze się uśmiecha, bo najlepiej lubi pałki stawiać, jednak nigdy, uczniowie oddawali mu tę sprawiedliwość, nie dał

się unieść tej przyjemności, posiadał dla każdej klasy oddzielną swą taksę, a dopiero, gdy mógł danego osobnika podciągnąć pod nią, wtenczas dopiero „używał“ i na cal grube jednostki pisał.

A inspektor ciągnął dalej:

— Nie mogłem wyjść z podziwienia, że udało mi się złapać takiego Bielickiego i to jeszcze na błędzie podwójnym, boś pierwotnie dobrze napisał, a potem błędnie poprawiłeś, odrazu to widać, bo podskrobanie w tem miejscu tak jest znaczne, że omal dziury nie zrobiłeś!

Gdy inspektor słów tych domawiał, jeden z uczniów spadł z ławki na podłogę i ani się ruszył. Sąsiad jego nachylił się nad nim, uczeń leżał na ziemi z zamkniętemi oczyma, a trupia bladość widniała na jego twarzy.

Przerażony sąsiad powstał i krzyknął:

— Panie inspektorze, Barwiński zemdlał!

Porwał się z miejsca przestraszony inspektor, zrobił się tulmut, Barwińskiego wyniesiono z klasy, inspektor udał się śpiesznie za nim.

Oleś zrozumiał teraz wszystko, przypomniał sobie, jak Barwińskiego wczoraj złapał był prawie na gorącym uczynku, wracając niespodziewanie z lekcyi gimnastyki na górę, jak mu się zdawało, że Barwiński chował coś do tornistra Edzia, jak potem zerwał się śpiesznie i odszedł, gdy Olesia wchodzącego zobaczył, jak niespokojny był dzisiaj od samego rana i jak teraz oto zemdlał, nie mogąc widocznie znieść wyrzutów sumienia.

Ale Olesia to ostatnie bynajmniej nie wzruszyło, wskoczył na ławkę i z gniewem zawołał do kolegów:

— A wiecie wy dlaczego Bielicki pałkę dostał, wiecie, czyja to wina, wiecie, kto jego kajet podskrobał, kto

błąd umyślnie zrobił, a raczej kto dobrze wyraz napisany na błąd przerobił, wiecie? Barwiński to zrobił, ten podły Barwiński, co teraz zemdlał. O, tak, nie patrzcie na mnie, jak na waryata, przysięgam wam, koledzy, na Boga, na matkę moją ukochaną, na wszystko co chcecie, że zrobił to podły Barwiński; rękę, szyję dam sobie uciąć, że to on!

Usłyszawszy te słowa, Edzio zdumiał się ogromnie, oczy mu się otworzyły, czuł że Oleś mówi prawdę, ale wątpił jeszcze, serce żalem mu się ścisnęło, szybko jednak otrząsnął się, wskoczył na ławkę, chwycił za rękę Olesia i krzyknął:

—Zamilknij, gdzie masz dowody?! Jak można kogoś gołosłownie o tak wielką podłość posądzać?! Toć chłopiec taki nie byłby wart, żeby kolegą go nazwać, żeby mu rękę podawano! Barwiński, chociaż mnie nienawidził, nie mógł tego zrobić!!

Ale Oleś nie dał się zbić z tropu, lecz gniewnie zawołał:

— Więc może ja podskrobałem, boś ty tego nie zrobił, wiesz dobrze o tem; a ktoś przecież podskrobać musiał! Komuż z nas zależało na tem, byś zły stopień otrzymał? Żaden z tobą nie rywalizował, jemu jednemu jesteś solą w oku, a jeśli tego ci jeszcze mało, to słuchaj, słuchajcie i wy wszyscy, a przekonacie się!

Ale zewsząd odezwały się głosy:

— Ma racyę Korczyński! Barwiński to zrobił, nie ulega kwestyi!

Tu Oleś, chociaż go Edzio powstrzymywał, opowiedział ze wzrastającem oburzeniem o tem, jak Barwińskiego wczoraj złapał na miejscu Edzia, jak on tam coś prędko schował, widocznie podskrobany już kajet, ale Oleś na to

uwagi na razie nie zwrócił, bo nawet przez myśl mu nie przeszło, żeby coś podobnego można było zrobić.

— Zdradził się tem, że zemdlał — krzyknął Żelski — ale zobaczmyż ten nieszczęsny kajet.

Rzucono się do kajetu, chodziło o jedną jedyną literę...

Prędko ją znaleziono, podkreślona była grubo przez inspektora czerwonym ołówkiem.

Oleś, ujrzawszy ją, krzyknął:

— Macie dowód najlepszy, litera ta nie jest pisana ręką Bielickiego, tak, tak!! O Boże, jak można być tak nikczemnym!! — rozpaczał Oleś.

Przyniesiono kilka kajetów Barwińskiego, wyszukano literę, o którą chodziło; niestety przekonano się dokładnie...

Była to ręka Barwińskiego...

Zapomniał zmienić charakteru pisma...

Teraz nie było już żadnej wątpliwości, nie było już także dla Stasia żadnego środka obrony...

XXXIV.

Sąd koleżeński.

Nie prędko powrócił inspektor do klasy ze zmienionym na twarzy Stasiem Barwińskim, który pragnął pozostać w gimnazyum, chociaż zatrwożony inspektor usilnie namawiał go, by pojechał do domu. Ale Staś wiedział doskonale, że zdradził się zemdleniem, że mogło silne nań paść podejrzenie, bo Edzio prawdopodobnie kwestyi tej bez wyjaśnienia nie zostawi, a skoro inspektor podskrobanie spostrzegł, Edzio ma wyborny punkt do obrony i powie inspektorowi, że padł ofiarą podstępu. Bytność więc w klasie jest dla niego koniecznością. W domu niepokoiłby się srodze, jaki sprawa wzięła obrót, tutaj zaś, gdyby go publicznie przed inspektorem oskarżono, wyparłby się odrazu wszystkiego; i tego ostatniego postanowił Staś trzymać się.

Wracając do klasy, poznał, że koledzy już są na śladzie, a nie przypuszczając, by pewność już mieli, obojętną miną starał się odwrócić podejrzenia. Więc siląc się na uśmiech, poszedł wolnymi krokami na miejsce, usiadł,

oparł się na ręku i, udając silny ból głowy, siedział, jakby nie słysząc słów, które jak sztylety kłuły mu serce.

Słowa te były straszne:

— Zdrajca, wąż, podły!!...

Inspektor od czasu do czasu spoglądał na Barwińskiego, pytał się troskliwie, czy mu już lepiej, czy zupełnie już do siebie przyszedł, i rozdawał ćwiczenia w dalszym ciągu...

Ostatni kajet był Żelskiego, który dwójkę na cenzurę dostał, a z ćwiczenia okrągłe zero. Wcale nie był nawet ciekawy zaglądać do środka kajetu, oddarł z okładki swoje nazwisko, zapytał inspektora, czy można okno otworzyć, bo to będzie zdrowiej dla Barwińskiego, a gdy inspektor z chęcią na to przystał, otwierając okno, wyrzucił przez nie kajet ze swojem ćwiczeniem, myśląc sobie. że zero to jest „nic“, a kiedy „nic“, to niech naprawdę „nic“ będzie.

Oleś był ciągle nad wyraz wzburzony, wyrwał kartkę z brulionu i coś na niej ołówkiem pisał.

Edzio siedział strapiony, bo popierwsze inspektor zapowiedział mu, że więcej nad trójkę postawić mu na cenzurę nie może, powtóre bolało go to bardzo, że stał się mimowolną przyczyną popełnienia przez jednego z kolegów swoich tak hańbiącego czynu...

Po lekcyi inspektora następowała wielka pauza.

Zaledwie inspektor wyszedł z klasy, Oleś wskoczył na katedrę i donośnym głosem poprosił kolegów, by wszyscy na miejscach pozostali, a gdy uczyniono zadość jego żądaniu, przeczytał z kartki, co następuje:

— Panowie! Domagam się sądu koleżeńskiego! Oskarżam niniejszem pana Stanisława Barwińskiego

o popełnienie czynu, wołającego o pomstę do nieba! — (na sali głosy: „tak, tak, ma racyę!“) — Panowie! — czytał, zapalając się, Oleś, zachęcony potakiwaniem kolegów, — nie mogąc zwyciężyć drogą prostą, uczciwą — (głosy: „mądrze mówi“) — rywala swego, którym był dlań kochany i szanowany, panowie, przez nas wszystkich bez wyjątku, znany ze swej prawości i uczciwości Edward Bielicki, — (głosy: „racya, mądry chłop, dobrze gada!“) — chwycił się podstępu i podstępem jak żmija jaka, panowie, ukąsił, gdy nikt się tego nie spodziewał. A że gady takie, panowie, zabijać i tępić należy — (głos Żelskiego: „nie można Barwińskiego zabić, bo nas do ula wsadzą“; różne głosy gniewne: „cicho bądź, nie przeszkadzać tam“)—proponuję wam ,panowie, abyśmy obecnego tutaj pana Stanisława Barwińskiego za kolegę już nadal nie uważali — (głosy: „zgoda, zasłużył na to!!“) — abyśmy uroczyście sobie przyrzekli, że ręki podawać mu nie będziemy i słowa doń nigdy żaden z nas nie powie. Niechaj każdy z nas, panowie, kolejno doń podejdzie i wręcz w oczy mu powie, że wyrzeka się koleżeństwa z nim — (głos Żelskiego: „święcie to zrobię“), — bo pan Barwiński postępkiem swoim tak splamił mundur, który wszyscy nosimy, że za kolegę uważać go nadal nie możemy!

Głośny szmer uznania, zgody i aprobaty przebiegł po klasie.

Edzio siedział milczący, przerażenie słowa mu w ustach więziło, chciał protestować i nie mógł, chciał wstać, i nogi odmówiły mu posłuszeństwa...

A Staś Barwiński zerwał się na równe nogi i słuchał słów Olesia z przestrachem, który i jemu słowa w gardle

krępował, i nie pozwalał przerwać strasznego acz słusznego żądania Olesia.

Dopiero gdy Oleś skończył, Staś zdobył się na wykrzyknik:

— Jak śmiesz oskarżać mnie o coś podobnego?!

Oleś niezmieszany i nieubłagany, jak straszny sędzia, odpowiedział zapytaniem:

— A coś robił wczoraj na miejscu Bielickiego, gdym wszedł niespodziewanie do klasy? Coś chował śpiesznie do jego tornistra, jeżeli nie kajet już podskrobany? Dlaczegoś tak śpiesznie odszedł, gdyś mnie zoczył? Dlaczego byłeś taki pomieszany? Dlaczego od rana dziś byłeś taki niespokojny! Dlaczegoś zemdlał dzisiaj?! Widzisz, sam nie mogłeś przenieść swojej podłości!

Tu Oleś powietrza nabrał, bo wszystkie te pytania jednym tchem z ust wyrzucił i zawołał znów:

— A kto to w drugim kwartale odgrażał się, że w środkach żadnych przebierać nie będzie, by zwyciężyć Bielickiego? Co?

— Barwiński się odgrażał! — huknął nagle Żelski, bo zazdrość go już porywała, że Oleś tak wielką rolę odgrywa, a on cicho musi siedzieć i tylko słuchać.

— To wszystko nieprawda! — jęknął Staś, padając na ławkę, — byłem chory od rana i dlategom zemdlał, to niczego nie dowodzi...

— A dlaczego twoją rękę poznano w kajecie Bielickiego, zbrodniarzu?! — krzyczał na całe gardło Żelski, który koniecznie miejsce Olesia w tym całym sądzie chciał zająć i na pytaniach nie myślał poprzestać, bo zakasywać począł rękawy, zacisnął pięście i przyskoczył do Stasia, krzycząc:

— Przedewszystkiem, mój bratku, ja ci za to zapłacę!

Ale Oleś odepchnął go silnie, kilku na pomoc przybiegło i Żelskiego odciągnięto w głąb klasy.

Teraz znów Oleś zbliżył się do Stasia i rzekł:

— Wobec tego wszystkiego przysięgam, żeś mi nie kolegą od dziś, nie znam cię wcale i ręki ci mojej podawać nie będę, póki życia!

Oleś, zazwyczaj spokojny i uległy, dzisiaj zadziwiał kolegów swoją stanowczością, energją i wymową, ale bo też wyprowadzono go z równowagi, krzywdząc tak strasznie tego, którego nad wszystko ukochał.

A Żelski tymczasem szamotał się w kącie z kilkoma, którzy go za ręce trzymali, i wydostać się nie mógł.

Puszczono go dopiero, gdy dał słowo, że Stasia nie uderzy, obiecywał tylko, że mu parę słów powie...

Więc stanął przed nim, ręce w kieszenie włożył i rzekł, nie dobierając słów, jak zwykle:

— Jesteś prymusem, to prawda, ale z tobą bym się za nic pomieniać nie chciał. Wolę być ostatnim osłem w klasie, niż taką pierwszą osobą, jak ty. A że jestem sam człowiekiem, — prawił dalej — więc zapowiadam, że tobie nigdy ręki nie podam, choćby dlatego, że mógłbyś mi podać nie rękę, ale tylko zawalane błotem kopyto!

Tu Żelski plunął na ziemię, spojrzał po twarzach kolegów i rzekł z ukontentowaniem:

— Dobrzem mu powiedział? Co?!

Teraz jeden za drugim przystępowali kolejno czwartoklasiści, a każdy słowa straszne miał na ustach, każdy wyrzekał się koleżeństwa, wyrzekał się wszelkiej ze Stasiem znajomości i ślubował, że nigdy jego ręka nie splami

żej znieść tej katuszy, wyskoczył z ławki na środek i z rozpaczą zawołał:

Nastrój panował w klasie uroczysty. Po Żelskim nikt już nie puszczał się na złośliwe docinki, nie było żartów i śmiechów, powagę wszyscy mieli na twarzach i w ruchach, co podnosiło do zenitu grozę sytuacyi...

Nawet wielki zbrodniarz ugiąłby się pod ciężarem takiej kary, a cóż dopiero Staś Barwiński, który pierwszy raz w życiu czyn nieszlachetny popełnił i wczoraj już żałował go z duszy serca, więc ryknął naraz płaczem tak strasznym, że aż wszystkich dreszcz chwilowy przeszedł od stóp do głów, lecz nie zatrzymało to zmieniających się kolejno kolegów i okropny wyrok wypełniany był dalej i dalej...

Już dwudziestu pięciu uczniów wyrzekło się koleżeństwa ze Stasiem, gdy nagle Barwiński, nie mogąc już dłużej znieść tej katuszy, wyskoczył z ławki na środek i zrozpaczą zawołał:

— O, Boże, czyż żaden z was, okrutni, ręki mi w teraźniejszem strasznem nieszczęściu nie poda, czyż nikt się za mną nie ujmie?!

Zamilkli wszyscy, cisza w klasie zapanowała, przerywana tylko łkaniem Stasia Barwińskiego, gdy nagle rozległ się odgłos szybkich kroków i usłyszano głos:

— Ja się ujmę za tobą, ja ci rękę podaję i przysięgam, że powrócę ci miłość kolegów! Jesteście zbyt okrutni, moi przyjaciele, odstąpcie od niego!

Zdziwili się wszyscy: mówiącym te słowa był Edzio Bielicki...

Staś chwilę stał, jakby oszołomiony, nagle rzucił się Edziowi na szyję i zapłakał, ale teraz innym już płaczem:

nie był to płacz rozpaczy, ale jeszcze bardziej żałosny, jeszcze bardziej serce szarpiący...

Edzio tak był wzruszony, że również łez powstrzymać nie mógł, i stali tak w długim uścisku obaj płaczący...

Staś ściskał serdecznie wzruszonego Edzia, tego swego nienawistnego rywala, a Edzio obejmował i całował swego najzaciętszego nieprzyjaciela...

Chwila była nad wyraz rzewna...

Czuli to wszyscy, i tym, którzy już byli przysięgli zerwać z Barwińskim, łzy w oczach zabłysły, i zawstydzeni stali z pospuszczanemi głowami, bo oto jak karać uczył ich Edzio, który, tak jak i oni, codziennie w modlitwach powtarzał owo najwznioślejsze, najpiękniejsze ze zdań wszystkich mędrców zdanie, które sam Chrystus Pan ludziom w usta włożył:

— I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom!

Czuli to wszyscy, że Edzio jest jakiś inny, jakiś lepszy i wyższy nad nich, więc z podziwem i uwielbieniem spoglądali na niego, jakby na jakiegoś nadzwyczajnego człowieka.

Ci, którzy jeszcze nie wyrzekli się Stasia, odczuwali silne zadowolenie, że do nich kolej jeszcze nie doszła, bo zrozumieli już wszyscy, że piękny przykład Edzia godzien jest naśladownictwa.

Nagle Staś wyrwał się z objęć Bielickiego i pędem wybiegł z klasy, a gdy wszyscy zdziwieni byli tym jego krokiem niespodziewanym i najprzeróżniej go sobie tłómaczyli, po jakich dziesięciu minutach powrócił rozpromieniony i rzekł pewnym głosem:

— Panowie, wyznałem inspektorowi wszystko, Bie-

licki będzie miał piątkę na cenzurę. Czy i teraz jeszcze nie pozwolicie mi się nazywać kolegami?!

Staś ani się spostrzegł, gdy na ustach jego zawisł Oleś Korczyński, który ze łzami całował go i ściskał bez upamiętania, krzycząc:

— Daruj, mój drogi, lepszy jesteś od nas wszstkich, wybacz, żem taką surową karę ci wyznaczył!...

A Staś skrzywił się ogromnie, jakby kto dotknął świeżej i bolesnej na nim rany i rzekł:

— Nie wspominajcie już nigdy o tem, czyn mój przez całe życie palić mi będzie czoło!

I chociaż wszyscy, nie wyłączając Żelskiego, odwołali uroczyście zerwanie stosunków ze Stasiem, on już dnia tego nie uśmiechnął się wcale, tylko wdzięcznym wzrokiem na Edzia od czasu do czasu spoglądał...

Edzio czył się szczęśliwym, jak nigdy przedtem.

— Oto teraz dopiąłem celu — myślał — niema nikogo w klasie, coby mnie nienawidził...

W kilka dni później rozdano cenzury...

Pierwszym uczniem był Edward Bielicki, drugim z czwórką z matematyki Stanisław Barwiński, trzecim z piątkami z łaciny i greckiego, czwórką z rosyjskiego i trójką z matematyki — Aleksander Korczyński, czterdziestym siódmym (po raz pierwszy w tym roku szkolnym) Roman, Bonawentura, dwóch imion Żelski, który również jak Edward Bielicki, przy tych samych stopniach i godnościach, co i w drugim kwartale pozostał.

———

XXXV.

Nowi Robinsonowie.

Piórkiewicz, który nigdy żadnej książki do ręki nie brał, oprócz tych, które wziąć musiał, przypadkowo dorwał się do „Robinsona Cruzoe“, którego Oleś Korczyński pewnego razu bardzo w jego obecności zachwalał i z Władziem, który też o tych cudownych rzeczach nie miał pojęcia, jednym tchem połknęli tę pełną awanturniczych przygód książkę.

Przez kilka nocy z rzędu śnili im się dzicy ludzie, rady sobie poprostu z nimi dać nie mogli i wskutek tego mniej się do nauki przykładać zaczęli: myśl o Robinsonie towarzyszyła im wszędzie.

Bogata w awanturnicze plany główka Władzia, nie mogła długo znosić balastu, który jej ciężył niemiłosiernie.

Myśl jedna pędziła za drugą w szalonem tempie, a że wszystkie podobne były do siebie, gdyż owego Robinsona za osnowę swą miały, nic dziwnego, że zestrzeliły się

w jedno marzenie: uciec z Warszawy na bezludną wyspę i zostać Robinsonem za jakąbądź cenę.

Jak z wszystkich planów tak i z tego zwierzył się Piórkiewiczowi, który zamiast powstrzymać przyjaciela od szalonego kroku, sam, zapalona głowa, z okrzykiem zachwytu i uwielbienia ofiarował mu się towarzyszyć, mówiąc, że Piętaszkiem mu będzie, i że odrazu Władzio ciężkich chwil samotności uniknie.

W gorącej wodzie kąpany Władzio oznaczył już dzień wyjazdu, mianowicie na nadchodzącą niedzielę, i dwaj malcy w ogromnym sekrecie szykować się do drogi zaczęli.

Postanowiono wziąć dwa pudełka zapałek, bo Piórkiewicz już trzy godziny tarł dwa kawałki drzewa jeden o drugi, i ogień się nie pokazywał; prócz tego Władzio miał wziąć żelazny pogrzebacz do pieca, żeby w razie napadu dzikich miał się czem bronić, a Piórkiewicz miał potajemnie zabrać z domu w tym samym celu olbrzymi nóż kuchenny.

Z prowiantów w przeddzień wyprawy kupiono funt karmelków, czternaście serdelków i bochenek chleba...

Oprócz tego zaopatrzono się w mapę Europy, chociaż ani Władzio, ani Piórkiewicz nigdy w życiu mapy nie mieli, ale przecież nie święci garnki lepią, a mapa koniecznie im do wyprawy potrzebna, jak mówił Władzio.

Na drogę do bezludnej wyspy, Władzio miał pięć rubli, które był dostał od ojca w czasie wielkanocnego pobytu, a Piórkiewicz miał, jak mówił, trochę mniej, bo siedmnaście groszy...

Niedziela upragniona nadeszła.

Pogoda dopisała w całem znaczeniu tego słowa. Samo słońce sprzyjało widocznie wyprawie chłopców, bo świeciło pięknie i wesoło, i ranek majowy zapowiadał dzień prześliczny.

Koło godziny piątej rano, dwaj nasi podróżni oczekiwali już na dworcu kolei Wiedeńskiej.

Wybór marszruty należał do Władzia, który przez ubiegłe parę dni zasypywał pana Stadnickiego pytaniami z dziedziny geografii, a pan Stadnicki, zadowolony, że Władzio takiej nabrał ciekawości, dużo mu rzeczy naopowiadał.

Ponieważ Władzio pytania niesystematycznie zadawał, więc i z odpowiedzi pana Stadnickiego chaos prawdziwy w jego główce powstał. Uporządkowawszy go, o ile możności, Władzio wykombinował, co następuje:

Najbliższe morze leży za granicą; najwięcej osób jeździ za granicę koleją Wiedeńską, więc do Wiednia trzeba się przedewszystkiem dostać, a tam się morze już znajdzie...

Władzio poszedł do klasy trzeciej i zażądał dwóch biletów na całą przestrzeń, nie wymieniając nazwy stacyi.

Najbliższy odchodzący pociąg należał do tak zwanych pociągów miejscowych, które kursowały tylko między Warszawą i Skierniewicami, więc kasyer wydał Władziowi dwa bilety do Skierniewic, ten wziął bilety, zapłacił i zwrócił się do Piórkiewicza, mówiąc:

— No, mam już bilety do Wiednia, siadajmy!

Piórkiewicz dźwigał chleb, serdelki i ów nóż olbrzymi, który matce z domu pokryjomu zabrał, Władzio niósł cukierki i mapę.

W wagonach natłok był wielki, tak, że chłopcy, chociaż radzi byli zająć miejsca przy oknie, aby wyglądać przez nie w czasie drogi, usiąść musieli gdzieś w środku wagonu, wskutek czego droga im się strasznie dłużyła i doczekać się końca nie mogli.

— To ci dopiero daleko do tego Wiednia! — jęczał Piórkiewicz.

— A ty chciałbyś, żeby to było zaraz koło Warszawy? — odpowiedział Władzio.

Dla rozrywki Piórkiewicz zaproponował, żeby zjeść po serdelku, bo bez śniadania wyjechał z Warszawy, a że Władzio w tem samem był położeniu, więc zezwolił z przyjemnością, zastrzegając, że najwyżej po jednym zjeść mogą.

Piórkiewicz rzucił się do serdelków, lecz na tem miejscu, gdzie je złożył, już ich nie było.

Wysoce rozgarnięty malec, nie mogąc nigdzie wolnego znaleźć miejsca w pobliżu, bo wszystkie półki obok literalnie zawalone były pakami i paczkami innych podróżnych, włożył chleb i serdelki pod ławkę, z czego jakiś piesek, którego właścicielka tam właśnie przed okiem służby kolejowej ukryła, naturalnie nie omieszkał skorzystać i właśnie ostatni serdelek już dojadał.

Piórkiewicz o mało nie zemdlał, ujrzawszy co się dzieje, ale że Władzia bał się okrutnie, więc, jak gdyby nic, usiadł na swojem miejscu i radził, żeby lepiej zostawić jedzenie na później, to na dłużej im wystarczy; on pra-

gnął tylko, żeby Władzio jak najpóźniej o nieszczęściu się dowiedział.

Władzio, aczkolwiek niechętnie, ale przystał, a Piórkiewicz cały pogrążył się w myślach, jakby tu przed Władziem najkorzystniej sprawę z tymi serdelkami przedstawić, żeby go nie wytłukł na kwaśne jabłko.

— Ładnie się zaczyna! — myślał z rozpaczą.

A że żal mu było takiej masy serdelków, więc silnie nogą pchnął psa w łeb, aż ten zaskowyczał, a właścicielka jego z oburzeniem spojrzała na Piórkiewicza i wymówki mu robić zaczęła.

— Słuchajno! — przemówił Władzio, — żeby serdelków nam to psisko nie zjadło!

— Eh, co ma zjeść? — odrzekł Piórkiewicz.

A w myśli, dodał:

— Kiedy już tam nic niema.

— Lepiej wydostań!

Piórkiewicz nachylił się, chcąc niby wydostać serdelki, długo, długo niby ich szukał, wreszcie rzekł z przerażeniem, spoglądając na Władzia:

— Już złodziej pies zjadł!

Władzio oniemiał z przerażenia, pięść Piórkiewiczowi pokazał i rzekł:

— Dostaniesz za to, to twoja wina!

Piórkiewicz bronił się, że przecież to nie jego pies, ale Władzio tak groźnie nań spojrzał, że zamilkł, i już do końca drogi ani się odezwał...

Mijali tak stacya za stacyą, nudząc się śmiertelnie i oczekując z niecierpliwością końca tej podróży...

— Już chyba z pięć godzin jedziemy! — mruknął wreszcie Władzio.

Piórkiewicz kiwnął tylko głową na znak, że i jemu się tak zdaje, ale nic nie mówił, bojąc się wywołać nowe niezadowolenie Władzia.

Nareszcie pociąg miejscowy przybył do stacyi przeznaczenia, to jest do Skierniewic, i Władzio, wraz z Piórkiewiczem lekko wyskoczyli z wagonu, objaśnieni przez konduktora, że pociąg już dalej nie idzie.

XXXVI.

Dalszy ciąg.

— A więc jesteśmy już w Wiedniu! — zawołał z zadowoleniem Władzio.

— Aha! — mruknął Piórkiewicz.

Chłopcy ciekawie rozglądali się po stacyi, ale nic nadzwyczajnego nie widzieli, przeciwnie przyglądano im się bacznie, jakby oni coś niezwykłego stanowili.

Spostrzegł to Władzio i rzekł do Piórkiewicza.

— Wiesz co, lepiej umykajmy do miasta, tam łatwiej się ukryć, bo nie mamy paszportów, a tu na stacyi, to nas jeszcze do kozy Wiedeńskiej zapakują!...

Piórkiewiczowi o umykaniu dwa razy mówić nie było trzeba, zwłaszcza, że Władzio napomknął coś o kozie, więc przycisnął do siebie silniej bochenek chleba, który ciężył mu nielitościwie i z owym olbrzymim nożem kuchennym zaczął uciekać wzdłuż plantu, a tak raźnie się uwinął, że Władzio, który chciał, żeby to umykanie odbyło się nieznacznie, zląkł się nie na żarty i sykał nań, by

się zatrzymał, ale napróżno, bo Piórkiewicz, nie oglądając się, uciekał.

Rad nie rad, Władzio puścił się za nim w pogoń, podpierając się od czasu do czasu pogrzebaczem.

Ten właśnie pogrzebacz i nóż Piórkiewicza stanowiły przyczynę, że chłopcy powszechną na siebie zwracali uwagę, bo rzecz to niezwykła, by uczeń gimnazyalny, w mundurek przystrojony, z takiemi rzeczami chodził...

Kiwano głowami, wzruszano ramionami, tworzono najrozmaitsze przypuszczenia, ale nikt na ślad prawdy nie wpadł...

Z zaciekawieniem patrzono na Władzia, który gonił zaciekle uciekającego Piórkiewicza, wreszcie chłopcy zniknęli wszystkim z oczu.

Po niejakim czasie Władzio dogonił Piórkiewicza, gdyż ten objuczony chlebem prędko się zmęczył, a dogoniwszy, uważał za stosowne dać mu porządnie w kark, tak, że biedny Piórkiewicz przewrócił się, wypuszczając chleb i nóż z ręki...

Pogodzili się jednak prędko i zawrócili ku miastu, aby zasięgnąć tam ostrożnie języka, którędy to do morza najbliżej...

Gdy weszli do miasta i usłyszeli naokół mowę polską, niepomiernie się ucieszyli, chociaż Władzio wyraził swoje zdumienie, bo nie spodziewał się, żeby tak dużo Polaków w Wiedniu mieszkało, a Niemców tak mało...

Obawiając się trochę osób starszych, zaczepili jakiegoś wyrostka i zapytali, którędy mają iść do morza.

Wyrostek szeroko usta otworzył i ku wielkiemu zdziwieniu naszych chłopców, oświadczył im, że on tu piętnaście lat mieszka, a o żadnem morzu nie słyszał...

— Jakto być może, żebyś pan mieszkał w Wiedniu i morza nie widział? — zapytał z niedowierzaniem Władzio.

Ale wyrostek zaczął posądzać malców, że kpią z niego, więc odparł z gniewem:

— Tu nie żaden Wiedeń, tu Skierniewice!

— Nie może być! — odparł Władzio.

— A daj mi pokój, waryacie! — krzyknął wyrostek i szybko pomknął w swoją stronę.

Władzio i Piórkiewicz spojrzęli na siebie...

— Odrazu się domyślałem, że to nie Wiedeń! — zawołał wreszcie Władzio, bo za dużo tu po polsku gadają.

— Cóż zrobimy? — zapytał Piórkiewicz.

— A no, wracajmy na stacyę i pojedziemy dalej, a kasyerowi w Warszawie, jak kiedy wrócę nawymyślam, że mnie oszukał, bo wyraźnie żądałem biletu na całą przestrzeń...

Zawrócili i, dopytując się tu i owdzie, po długiem chodzeniu, przybyli na stacyę.

Na stacyi stał już pociąg, który za kilka minut miał ruszyć w drogę.

— Masz pieniądze! — komenderował Władzio, — leć do kasy po bilety, a kup dobre, pamiętaj, jeżeli nie do Wiednia, to gdzieindziej, byle za granicę, śpiesz się!

Piórkiewicz ze zdumieniem zapytał:

— Nie do Wiednia, więc dokąd?

Władzio zniecierpliwiony wyrwał pieniądze, które Piórkiewicz już trzymał w ręku i „poleciał“ do kasy.

— Proszę o bilet do Wiednia!... — rzekł Władzio.

— Teraz się nie sprzedaje! — odparł kasyer.

— Więc do jakiej innej stacyi! — krótko zadecydował Władzio.

— Do Warszawy, czy gdzie, bo nie wiem? — zapytał z kolei kasyer, który zdziwił się nieco żądaniem Władzia.

— O, w każdym razie nie do Warszawy! — prosił Władzio.

— Więc gdzież, do Rudy, do Grodziska, do Pruszkowa?

— Do Pruszkowa! — wypalił Władzio bez namysłu, któremu zaświtała wyśl, że Pruszków, to musi być miasto w Prusach.

— Sam kawaler nie wiesz, dokąd chcesz jechać!— mówił kasyer, odbierając pieniądze i wydając żądane bilety.

— Ale czy to napewno do Pruszkowa bilety? — pytał ostrożny już teraz Władzio, bojąc się, aby znów go kasyer nie oszukał, jak to z biletami do Wiednia miało miejsce.

— Ależ napewno!

— Prędzej, bo dzwonią już! — krzyczał Piórkiewicz, stojący za plecami Władzia.

Chłopcy wsiedli do pociągu, i wkrótce pociąg niósł ich za granicę do Prus, jak sądzili, a tymczasem odbywali drogę powrotną w stronę Warszawy; nieobznajmieni z miejscowością, ani spostrzegli, że przestrzeń tę już raz przejechali.

W Skierniewicach tragarze i posługacze kolejowi znów byli zdziwieni, bo po nożu i pogrzebaczu poznali naszych bohaterów i gubili się w domysłach, że tak wpadli ci dwaj waryaci mali, jak ich nazywali, jak po ogień,

gonili się, a teraz znów wracali nazad z nożem i pogrzebaczem.

— Rety! — krzyknął nagle Piórkiewicz — zostawiłem chleb na stacyi!

Władzio już nie mógł wytrzymać, tylko dał kuksa Piórkiewiczowi, sycząc przez zęby.

— Chcesz, żebyśmy z głodu zdechli!

Zagadkowe te słowa i niegrzeczne obejście się Władzia, wszyscy obecni w wagonie zauważyli, poczęli się litować nad Piórkiewiczem, który zalewał się łzami, bo już ta podróż dobrze mu się dała we znaki...

Głód doskwierał obydwóm malcom straszliwie...

W Pruszkowie wysiedli i, nie zwlekając ani chwili, ruszyli wzdłuż plantu, bo jakiś pan, który widocznie podsłuchał ich rozmowę, zmiarkował, że uciekli z domu i począł zadawać im różne pytania, dokąd jadą, po co i t. d.

Władzio kłamał, jak najęty, mrugając na Piórkiewicza, żeby mu potakiwał; opowiadali, że wyjechali się przejechać; przyjechali sobie do Skierniewic, a teraz jadą dalej, ale niedługo już wysiądą.

Pan ów postanowił mieć ich na oku, ale chłopcy tak zręcznie wysiedli z wagonu, że tego nie zauważył.

— Teraz jesteśmy już w Prusach, bo słyszałem, jak konduktor krzyczał: „Pruszków“, — mówił Władzio, ten pan domyślił się, żeśmy uciekli, więc trzeba jak najprędzej umykać, żeby nas nie złapali.

Piórkiewicz tylko ciągle mówił:

— Jeść! jeść!

Ale kawał już od stacyi odeszli, po drodze nic dostać nie można było...

— Pokazywałem ci, — mówił dalej Władzio, — na

mapie, gdzie leżą Prusy, któreśmy po długiem szukaniu znaleźli; sam widziałeś, że do morza już niedaleko, byleby tylko na okręt jaki trafić.

— A który ci tam okręt będzie akurat do bezludnej wyspy odchodził? — pytał zniechęcony Piórkiewicz.

— Wsiądziemy na byle który, uspokajał go Władzio, a potem może Pan Bóg da burzę, to się okręt rozbije, i woda wyrzuci nas sama na jaką bezludną wyspę.

— A jak utoniemy? — pytał Piórkiewicz.

— A Robinson utonął? Nie bój się!

Pytaniem swojem Władzio uspokoił obawy Piórkiewicza.

Szli i szli wciąż dalej, posuwając się ku Warszawie.

Coś morza nie widać! — biadał Piórkiewicz.

— Nie bój się, będzie! — uspokajał Władzio, ale i jego mrowie przechodziło na myśl, co będzie, jak morza nie znajdą.

— Daj choć karmelek! — jęknął Piórkiewicz.

— Prawda! — zawołał Władzio — zapomniałem, że je mam, to nas przecież posili.

Usiedli i zajadali karmelki z wielkim apetytem; funt karmelków znikł wkrótce, torba tylko została...

Władzio rozwinął mapę, z łatwością już odnalazł Prusy, pokazał Piórkiewiczowi i rzekł:

— Sam widzisz, jak już blizko do morza!

— Więc chodźmy! — zadecydował Piórkiewicz.

I znów szli, szli dobre pół godziny, a że karmelki nie bardzo ich posiliły, bo od samego rana nic w ustach nie mieli, a była już teraz godzina dwunasta, Piórkiewicz znów jęczeć począł, że mu się jeść chce.

— A dlaczegoś psu serdelki oddał, a chleb zosta-

wiłeś w Skierniewicach? Mnie samego mdli z głodu, — odparł Władzio.

Piórkiewicz nic nie odpowiedział, a na wspomnienie serdelków westchnął głęboko...

— Odpocznijmy chociaż! — jęknął po chwili...

Usiedli; nagle Władzio sięgnął pamięcią w przygody Robinsona i przypomniał sobie, że jadał on w chwilach głodu korzonki różne, skwapliwie zakomunikował to Piórkiewiczowi, który zaczął się tu i tam za korzonkami oglądać.

— Patrz, co za korzeń wspaniały o kilka kroków przed nami leży! — krzyknął Władzio, — dawaj nóż!

Rzeczywiście na drodze wystawał z pod ziemi gruby korzeń jakiegoś starego drzewa, rosnącego w pobliżu.

Władzio chwycił nóż, spocił się porządnie, zanim korzeń odrąbał, a odrąbawszy go, rzekł zadowolony do Piórkiewicza:

— Patrz, nie umrzemy z głodu!

Ale Piórkiewicz ogromnie niedowierzająco patrzył na ów przysmak, który Władzio w ręku trzymał, nie kwapił się jakoś do jedzenia.

Władzio również patrzał na korzeń, ale też przekonania doń nie miał, więc wyciągnął rękę do Piórkiewicza, podając mu korzeń, rzekł:

— Jedz!

— Spróbuj sam! — odrzekł Piórkiewicz, którego już na dobre gniewać zaczynała ta sprawa.

— Mnie się tam jeść nie chce, — odpowiedział Władzio, — mówiłeś żeś głodny, to ci daję śliczny korzeń, a nie chcesz, to rzucę i już!

— Ale jakżeż ja drewno będę jadł? — rzekł ze łzami w głosie Piórkiewicz, — zęby sobie połamię!

— Robinson jadł i nie połamał sobie zębów, — namawiał Władzio, bo chciał, żeby Piórkiewicz pierwszy zaczął jeść korzeń, sam tego uczynić nie mając odwagi, a gdyby Piórkiewicz jeść się odważył, to i on sam zjadłby z apetytem, bo również niemożliwie był głodny.

Ale Piórkiewicz nie dał się namówić, więc Władzio wpadł na myśl, żeby zrobić z korzenia marmoladkę.

— Tak, marmoladki naskrobiemy, — przemówił,— jak to, jakeśmy w Warszawie mieszkali, z jabłek skrobaliśmy.

Na wspomnienie jabłek Piórkiewiczowi aż mdło się zrobiło, ale nie zwlekając, zabrali się do skrobania marmoladki.

Naskrobali już bardzo dużo drobnych wiórów, ale żaden nie chciał zacząć jeść.

— Może masz jeszcze gdzie jaki karmelek? — błagał Piórkiewicz.

— Karmelka nie mam! — odrzekł Władzio, — ale zjedz marmoladkę z korzenia, mnie się tam wcale jeść nie chce.

Piórkiewicz, rad nie rad, wziął „marmoladkę“ w rękę, podniósł bardzo wolno do ust, ale za to szybko ją wypluł, mówiąc, że tego żaden człowiek jadać nie może i „złodziej“ Robinson „zełgał“, że się jada korzenie...

— Ach, żeby to już do morza się dostać! — szepnął Władzio.

— Więc chodźmy! — odpowiedział Piórkiewicz, i poszli.

Szli bardzo długo.

Władzio twierdził, że już chyba z dziesięć mil uszli i zrozpaczony był, że na morze trafić nie mogą, chociaż mapa najwyraźniej wskazywała, że do morza już z Prus niedaleko.

Chłopcy obydwaj w coraz gorszy humor wpadali, nic już do siebie nie mówili, tylko postanowili iść do upadłego, iść, iść dopóki na morze i okręt nie natrafią.

— Patrzno, coś widać! — rzekł Władzio.

— Aha! — jęknął Piórkiewicz, — jakieś miasto, co leży pewno nad morzem.

Przyśpieszyli kroku i znaleźli się na przystanku kolejowym Włochy. Piórkiewicz wytrzeszczał oczy, ale nadaremnie, morza nigdzie nie było widać...

Władzio rzucił okiem na napis, który widniał na budynku stacyjnym i z radością krzyknął:

— Piórkiewicz, czytaj bracie!

Piórkiewicz zapytał:

— Co czytać?

— A, o, gapo! — pokazywał Władzio.

Piórkiewicz odczytał: „Włochy".

— Nie wiesz, co to są Włochy?

— Nie wiem, — odpowiedział Piórkiewicz.

— Toś głupi! — tłómaczył Władzio.

— Widzisz, — dodał po chwili, — Włochy, a inaczej Italia, to jest zupełnie inne państwo, jak Warszawa.

— Nie wiedziałem, — odrzekł niechętnie Piórkiewicz, który nie mógł zrozumieć, dlaczego Władzio tak się cieszy, że coś na jakimś domu wyczytał.

Władzio rozwinął mapę i po długich poszukiwaniach natrafił na napis „Włochy".

— Patrz! — krzyknął radośnie, — jak stąd już blizko do morza!

— Pierw gadałeś, że z Prus blizko, a przeszliśmy całe Prusy, doszliśmy do Włoch i morza nie spotkaliśmy! — odparł, pessymistycznie zapatrujący się na mapę Piórkiewicz.

— Już wiem!—krzyknął znów radośnie Władzio,— dlaczegośmy do morza nie trafili!

— No? zapytał Piórkiewicz.

— Spójrz na mapę, o, widzisz, tu są Prusy, — pokazywał Władzio, — gdybyśmy byli poszli do góry, bylibyśmy doszli do morza, widzisz, jak niedaleko ono było, a myśmy tymczasem poszli na dół.

Władzio północ górą, a południe dołem nazywał.

— Czego ty mi głowę zawracasz! — ofuknął Piórkiewicz, — czy to my ptaki jakie, żebyśmy się do góry drapać mogli, a żeśmy po dołach nie chodzili żadnych, sam wiesz doskonale.

— Jakeś głupi, to ja na to nic nie poradzę, chodź, pójdziemy, a ręczę, że do morza cię doprowadzę...

Piórkiewicz wstał i powlókł się niechętnie za Władziem.

Szli jakiś czas w milczeniu, wreszcie Piórkiewicz osłabiony głodem i długiem chodzeniem, położył się na ziemi i rzekł z rezygnacyą:

— Zabij mnie, a ja już dalej ani kroku nie pójdę, nogi mnie bolą, głód mi w kiszkach marsza gra, położę się tutaj i umrę.

Władzio zląkł się trochę, ale nie pokazując tego po sobie, rzekł:

— Co masz umierać, odpoczniemy trochę, a potem

pójdziemy dalej, a kiedy cię nogi bolą, to ci ściągnę buty i tyle...

Ściągnął mu buty...

— Pić mi się chce okropnie!... — jęczał Piórkiewicz.

— A i jabym się czego napił, — mówił Władzio, oglądając się dokoła.

Na szczęście struga w pobliżu płynęła, Władzio pobiegł, nabrał w czapkę wody i przyniósł przyjacielowi.

Piórkiewicz napił się wody i oznajmił, że jest mu lepiej i że pewno zaraz nie umrze.

— Wiesz co? — przemówił po chwili Władzio, — prześpijmy się trochę, to sił nabierzemy.

Położyli się obydwaj, jeden obok drugiego i wkrótce snem smacznym zasnęli. Śniło im się obydwóm, że jadą na okręcie, że burza ogromna się zerwała, o którą Władzio długo się modlił, że woda wyrzuciła ich na bezludną wyspę. Oto są już na wyspie upragnionej i drogę do przygód mają otwartą...

Spali już dobrą godzinę; nagle Władzio, któremu śniło się, że dzicy na nich napadają, z przestrachu obudził się, i o, dziwo, nad sobą istotnie ujrzał nachylonego jakiegoś dzikiego człowieka, który kieszenie mu obmacywał.

Twarz dzikiego była straszna, prawie czarna; odzież była na nim poszarpana w strzępy, w ręku zamiast łuku trzymał kij sękaty, na głowie zamiast piór ptasich obdarty kapelusz...

Ujrzawszy twarz dzikiego, Władzio krzyknął przeraźliwie i rzucił się tak gwałtownie, że silnie potrącił

Piórkiewicza, który przetarł oczy i, ujrzawszy twarz obcą, krzyknął z przerażeniem:

— Dziki, Boże, ratuj nas!

A dziki człowiek stał trochę zmieszany tem, że chłopcy się obudzili, a widząc, że wrażenie, które wywarł na nich, jest bardzo blizkie przestrachu, wyciągnął rękę i zaczął mówić jakieś niezrozumiałe wyrazy.

Chłopcy teraz upewnili się, że mają z dzikim do czynienia, bo dźwięków, które wydobywały się z jego gardła, żaden z nich zrozumieć nie mógł.

Ów dziki człowiek był to włóczęga, żebrak okoliczny, dotknięty niemotą, prosił chłopców o jałmużnę, którą w czasie ich snu sam sobie z ich kieszeni chciał hojnie udzielić, chłopcy jednak, budząc się, przeszkodzili temu zamiarowi.

Niemowa znów wyciągnął rękę i wydobywał z gardła niezrozumiałe, a jak chłopcom zdawało się, groźne dźwięki...

— Pewno nas zaraz chce zjeść! — pomyślał Władzio, i krew mu się w żyłach ścięła.

Piórkiewicz dygotał, jak w febrze...

— Panie dziki, daruj nam życie! — prosił płaczliwie.

Ale „pan dziki", nie mogąc się jałmużny doczekać, odrzucił swój kij sękaty na bok, obejrzał się na wszystkie strony, a widząc absolutną naokół pustkę, złapał Piórkiewicza i zaczął zdzierać z niego odzienie:

Widząc to, zrozpaczony Władzio krzyknął do Piórkiewicza.

— Nie daj się, bracie, bo on cię zje żywcem!

Usłyszawszy te straszne słowa, Piórkiewicz krzyknął:

— Jezus! Marja!

I zaczął się wyrywać, ale nic to nie pomogło, dziki trzymał go silnie i ubranie w dalszym ciągu zdzierał...

— Ratuj, kto w Boga wierzy!—wrzeszczał Piórkiewicz, nagle zwisł na rękach włóczęgi i przestał się ruszać.

Władzio tak był przerażony, że ani myślał o ucieczce, nogi poprostu wrosły mu w ziemię, zresztą nie mógłby uciekać, bo jakże przyjaciela w ręku dzikiego zostawi...

Ujrzawszy, że Piórkiewicz już się nie rusza, Władzio pomyślał, że dziki musiał go ugryźć w serce, i że przyjaciel jego już żyć przestał.

Chęć zemsty owładnęła nim nagle, chwycił za kij sękaty, który włóczęga rzucił był na ziemię, bo o pogrzebaczu i nożu na razie zapomniał, i z całej siły uderzył żebraka w głowę.

Cios wymierzony był trafnie. Żebrak jęknął, wypuścił z rąk Piórkiewicza, który upadł na ziemię, lecz wciąż bezwładny leżał, i zwrócił się teraz ku swemu prześladowcy, ale Władzio odbiegł już parę kroków, chwycił kamień leżący na ziemi i rzucił w dzikiego.

Dziki znów jęknął, bo kamień w piersi go trafił, lecz, rozjątrzony, gonił zaciekle Władzia, który biegł, niczem sarna, zaledwie nogami ziemi dotykając; przestrzeń między nim a dzikim coraz się zwiększała, i, gdy Władzio sądził, że jest już ocalony, że ujdzie rąk i zębów ludożercy, ujrzał nagle, że jest zgubiony; w od-

dali spostrzegł jakąś bryczkę i pomyślał, że dzikiemu cała bryczka dzikich na pomoc nadjeżdża; jak zając zatem rzucił się w bok i obejrzał się, czy daleko znajduje się jego prześladowca.

Zdziwił się okrutnie, dziki już go nie gonił, ale sam, co miał siły, uciekał.

— Biali!—krzyknął Władzio radośnie i puścił się pędem ku bryczce, wołając:

— Na pomoc! na pomoc!

W bryczce usłyszano widać wołanie Władzia, bo zbliżała się bardzo szybko, konie szły w pełnym galopie...

Nagle Władzio stanął jak wryty, nie wiedział czy cieszyć się, czy zmykać: w bryczce siedzieli biali, ale jacy biali! Tacy, których w żaden sposób Władzio nie oczekiwał: byli to pan Stadnicki, Edzio i Oleś...

Gdy bryczka zrównała się z Władziem, wyskoczył z niej blady jak kreda, pan Stadnicki i zapytał:

— A gdzież twój kompanion!

— Umarł!... — wyszeptał Władzio, — leży tam dalej!

— W konie!—krzyknął rozpaczliwie pan Stadnicki, wsadzając Władzia i sam wsiadając do bryczki.

Piórkiewicz leżał na ziemi wciąż bez ruchu z zamkniętemi oczyma.

Pan Stadnicki wyskoczył, zbliżył się do Piórkiewicza, a ten w tej właśnie chwili oczy otworzył, ale patrzył niemi nieprzytomnie, nie poznał nikogo, tylko ujrzawszy ludzi, szeptał:

— Dzicy, dzicy... Boże, ratuj!

Odzież cała była na nim porwana...

— Co się stało? — zapytał pan Stadnicki.

A Władzio odparł:

— Dziki na nas napadł!... Ale skąd się tu pan wziął?

— Goniłem was, ośle! — objaśnił krótko pan Stadnicki.

Zdziwienie Władzia granic nie miało, gdy w godzinę później wjeżdżał do Warszawy, skąd? jakim sposobem? nie mógł sobie na razie wytłómaczyć.

Bezprzytomnego Piórkiewicza odwiózł pan Stadnicki do jego rodziców, którzy byli w rozpaczy że syn im uciekł, bo Władzio i Piórkiewicz pozostawiali w domu listy dla uspokojenia wszystkich, żeby się o nich nie martwiono, gdyż jadą naprzód do Wiednia, a potem na bezludną wyspę, i nic się im złego nie stanie.

Pan Stadnicki list ów koło godziny ósmej rano znalazł na stole, zrozumiał teraz cel niedawnych zapytań Władzia z dziedziny geografii, a że przyzwyczajony był do awanturniczych pomysłów Władzia, ani chwili nie wątpił, że ten postara się wykonać to, co w liście obiecywał.

Że daleko Władzio nie dojedzie, wiedział doskonale, jednak postanowił go ścigać, obudził Edzia i Olesia, szybko zorjentował się, że Władzio Wiedeńską koleją tylko mógł jechać, bo o Wiedeń najbardziej się dopytywał.

Na każdej stacyi wysiadał, ale nic o zbiegach dowiedzieć się nie mógł, już począł tracić nadzieję, gdy w Skierniewicach posługacze kolejowi uwiadomili go, że jacyś dwaj mali uczniowie z nożem i pogrzebaczem przyjechali jakieś trzy godziny temu z Warszawy, a wpół go-

dziny później wsiedli do pociągu, odchodzącego do Warszawy...

Dla pewności pan Stadnicki zwrócił się do kasyera i zapytał, czy nie pamięta, że sprzedawał dwa bilety jakiemu uczniowi.

— Wyobraź pan sobie, — mówił pan Stadnicki, — że mam pupila, któremu zachciało się jechać na bezludną wyspę i drogę wybrał na Wiedeń; mówiono mi na stacyi, że wracają już do Warszawy ze swoim kolegą, takim mądrym jak i on!

— Czekaj pan, — przemówił kasyer, — przypominam sobie doskonale; tak, tak, był taki, chciał naprzód biletów do Wiednia, ale że w tę stronę pociąg na razie nie szedł, więc odmówiłem mu sprzedaży biletu; wtedy zażądał biletu do jakiej innej stacyi; zapytałem go, czy do Warszawy, odpowiedział: o, w każdym razie nie do Warszawy! Wymieniłem kilka stacyi, najbardziej Pruszków trafił mu do przekonania i kupił dwa bilety do Pruszkowa; przypominam sobie doskonale, bo uderzyło mnie to, że malec nie wiedział, dokąd jechać.

— Dziękuję panu serdecznie za tyle ważnych informacyi i proszę o trzy bilety na najbliższy pociąg do Pruszkowa.

Gdy pan Stadnicki kupował te bilety, chłopcy nasi już dawno z wagonu wysiedli i częstowali się właśnie marmoladką z korzeni...

Przez drogę pan Stadnicki bił się z myślami, dlaczego Władzio, nie otrzymawszy biletów do Wiednia, Pruszków wybrał, jednak na kombinacyę o Prusach nie wpadł.

W Pruszkowie ślady znów się urwały...

Pan Stadnicki wpadł na myśl, że Władzio, nie mogąc dostać biletów do Wiednia, kupił bilet do Pruszkowa, bo na więcej pieniędzy mu widać nie starczyło, ale w każdym razie wracał do Warszawy.

— Może przechadzki malcy użyć chcieli? — myślał.

Gubił się jednem słowem w myślach. Pytał się tu i owdzie, nigdzie nic o malcach nie słyszano, dopiero pierwszy dróżnik, tuż za Pruszkowem, ważnej wskazówki udzielił, że widział dwóch „studentów“ małych, jeden szedł z pogrzebaczem, a drugi z nożem i coś strasznie się między sobą kłócili, szli prosto ku Warszawie...

Pan Stadnicki najął konie w Pruszkowie i jechał wślad za malcami, dopytywał się u dróżników wszystkich, ale ci nic mu powiedzieć nie mogli, bo Władzio z Piórkiewiczem, mając na myśli owego pana, zeszli trochę w bok i dopiero we Włochach na stacyi się znaleźli...

Ale we Włochach nie zwrócono na nich uwagi jakoś, i tutaj niczego się pan Stadnicki dopytać nie mógł.

Jednak, ufny w słowa owego dróżnika z pod Pruszkowa, czuł się nieco spokojniejszy, chłopcy wracają widać do Warszawy; może ich jeszcze dogonią, bo odpoczywać często będą musieli.

Ujechawszy wiorstę od Włoch, pan Stadnicki usłyszał krzyki, poznał głos Piórkiewicza i Władzia, kazał śpiesznie jechać i w sam czas przyjechał...

Piórkiewicz zachorował na zapalenie mózgu; kilka dni walczył między życiem i śmiercią. Zrozpaczony Władzio, o ile mu lekcye na to pozwalały, na krok towarzysza nie odstępował, trapiony ciężkimi wyrzutami sumienia.

— Widzisz, do czego nierozwaga doprowadza, mój

chłopcze, oto kolega uległ twoim namowom i teraz ciężko choruje; daj, Boże, żeby wyzdrowiał! Dobrze, że was ten obdartus, którego za dzikiego wzięliście, nie pozabijał! Widzisz, do czego doprowadzić może nieposłuszeństwo względem starszych, jakieś projekty i plany w sekrecie przed nimi wypełniane! Pamiętaj, chłopcze, zanim coś przedsięweźmiesz, zapytaj o radę starszych!

Ale Władzio tak dobrą na całe życie nauczkę otrzymał, że już morały pana Stadnickiego były zbyteczne, wiedział, ile zawinił, i jakie fatalne skutki pociągnęła za sobą jego głupota, bo tak już w duszy Władzio stan swojego rozumu nazywał.

* * *

Piórkiewicz przeleżał w łóżku całe egzaminy; wielu potrzeba było starań, by pozwolono zdawać mu po wakacyach, ale że był drugorocznym, więc dyrektor uwzględnił tę okoliczność, i Piórkiewicz zdał po wakacyach do pierwszej klasy, a zdał doskonale, bo pan Stadnicki usilnie nad nim całe wakacye pracował, chcąc mu wynagrodzić krzywdę, którą mu Władzio wyrządził.

Piórkiewicz wakacye spędzał bowiem w domu rodziców Władzia, a przestając ciągle w towarzystwie Olesia i Edzia, nabrał trochę powagi, mniej już o figlach, niż dawniej, myślał; a gdy roztrzepany Władzio wyskoczył z jakim szalonym projektem, przypominał mu wyprawę na bezludną wyspę, i Władzio zaraz tę myśl rzucał, tylko całował Piórkiewicza, i przepraszał, i całował bez miary.

Oleś i Edzio powtarzali przez wakacye kurs klasy czwartej pod kierunkiem pana Stadnickiego, przygoto-

wując się do klasy piątej, aby ją również chlubnie, jak czwartą ukończyć, Oleś nawet nie myślał poprzestać w piątej klasie na pochwale, ale zaczął już marzyć o nagrodzie w postaci książki.

Z Barwińskim Edzio całe wakacye korespondencyę prowadził, a Staś w każdym liście znalazł jakieś stosowne miejsce, w którem przypominał Edziowi, czem ten jego nieprzyjaźń zwyciężył...

KONIEC.

3632

Cgo
d